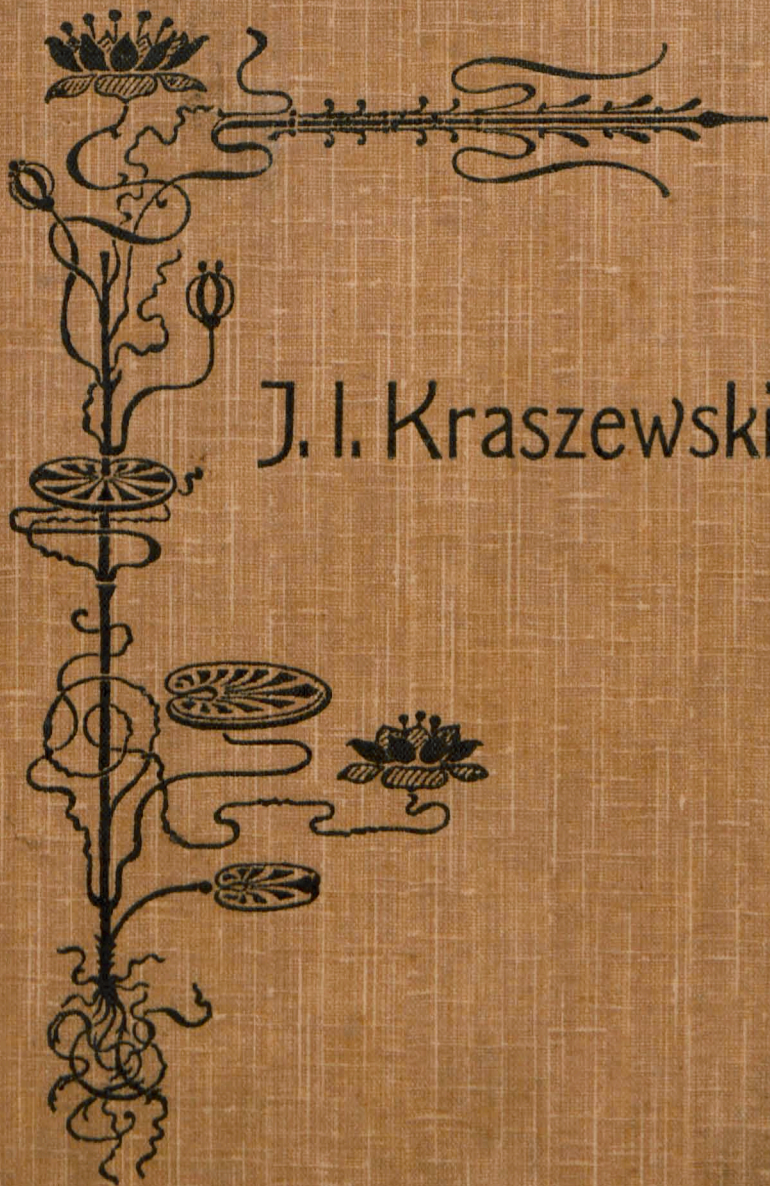




J. I. Kraszewski

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY.

POWIEŚĆ Z CZASÓW CHROBREGO.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM III.

Kraszewski

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Июня 1899 года.



114/11 261

I.

Po pierwszej swej wycieczce tak nieszczęśliwej do lasu, Jaksowie nie śmieli już wypraszać się więcej za furtę klasztorną. Nie tyle się lękali Domosula, który nie widywał nikogo, jak nieco lekkomyślnego Jaśka z Tęczyna, i nie bez przyczyny. Nie przeczuwali jednak, że to co mogło być niebezpieczeństwem, szczęśliwym obrotem do przyspieszenia ich wyzwolenia przyczynić się miało. Życie też klasztorne, zrazu tak straszne, znośniejszym się z każdym dniem stawało. Wszyscy ojcowie, z którymi się choć trochę rozmówić mogli, tak dla nich byli uprzejmi, tak weseli, tak dobrej myśli, że obcując z nimi, mimowoli smutku się pozbywało. Młody Odo był im tłumaczem i przewodnikiem, kilku też innych zakonników potroszę się już rozmówić umiało.

Nie zbywało na przedmiotach obudzających ciekawość.

Klasztor był ich pełnym. Każdy niemal z braci św. Benedykta miał jakieś zajęcie. Chodząc po celach, mogli się przypatrywać ze zdumieniem, jak się w rękach wprawnych kruszcze w żądane kształty wyginały posłuszne, jak się w ogniu topiły bezbarwne mieszaniny, żywemi krasząc kolory. Andruszka mniej był może ciekaw tych rzemiosł, które za poślednie majsterstwa uważał, niegodne, by się nimi wojak

zajmował; Jurgę zajmowały te tajemnice i bawiło przypatrywanie się mnichów zajęciom rozlicznym.

Szczególny jednak urok miało dlań pismo, te znaki nieme, tajemnicze, które myśl w sobie spowiniętą mogły mieć na drugi koniec świata i w wieki odległe.

Nie przystało mu uczyć się go, lecz patrzeć lubił w wielkiej izbie, gdy wszyscy ojcowie zajęci byli wielką robotą, jak to tam szła praca podziałem, różnie i pięknie. Niekiedy do ostatnich zajęć z ochotą się braciszkom ofiarował, a oni śmieli się wesoło z tego niezgrabnego nowicyusza.

W klasztorze benedyktynów, w których przepisywanie rękopismów było niemal głównem zajęciem, dzieliła się praca na kilka rąk i głów, poczynawszy od najposledniejszej do najważniejszej i najzawikławszej.

Jurga mógł się tu przypatrywać, jak o. Arnolf staruszek niezbyt już silny i przygarbiony, nie więcej nie robił, tylko atrament i kolory przygotowywał. Cały dzień czuwał nad niemi, odświeżał, rozrzedzał, dosypywał, dolewał. Znano go nawet lepiej pod nazwą Atramentariusza, niż pod jego imieniem zakonem.

Drugi braciszek siedząc u okna strugał trzciny i zaciął pióra. Ten miał młodsze oczy i pewniejszą rękę. Jak każdy inny i on od piór każdej godziny mógł być oderwanym do noszenia wody, albo nawet rąbania drew, i szedł z takim pośpiechem a ochotą, jakby do najmilszej sprawy.

Osobny stół miał ojciec Teodoryk, który pergamin czyścił i wygładzał. Tu i siły było potrzeba i zręczności.

Nad niejedną buntowniczą skórą dobrze się musiał namęczyć, lecz pociechę też miał, gdy szorstka i twarda w rękach jego stała się śnieżystą i połykającą.

Z niej dopiero inny brat wycinał pod miarę równe kartki, przeznaczone do złożenia kodeksu.

Z jednego kawałka szły często i ogromne karty do Chorałów i Graduałów, i malutkie zrynyki na posłedniejsze użytki.

Ze stołu tego przechodził pergamin do ojca Rubryki. Ojciec Rubryka siedział wygodnie i czerwonymi liniami kreślił na białych kartach przyszłe większe rękopismu. Dowodził on, jak zresztą każdy z ojców, iż najważniejszą ze wszystkich spełniał czynność. Śmiejąc się jedni po drugich dopominali się uznania, iż gdyby nie oni, nie byłoby rękopismów... a w istocie wszyscy się na nie składali.

Kilku młodszych braci pisało, i nad niemi Jurga stawał najdłużej, przypatrując się z podziwieniem jak pod ich palcami rodziły się te znaki dziwnie powyginane, niektóre rozrosłe, wystrojone w purpurę i złoto, otoczone floresami, jak dworem jakim, poczwarkami, stworzeńkami, dziwaczniemi wzory.

Czasem jeden z piszących miejsce zostawił próżne na tego magnata drugiemu bratu, który najzręczniejszemu umiał wypieścić naczelnika liter i wystroić go odświętnie. Jurga te wielkie głoski nazywał królami i książętami, resztę wojskiem, co szło za niemi.

Cóż dopiero było mówić, gdy wypadła cała karta zamalowana figurami, których znaczenie tłumaczyli mu ojcowie. Tu trzeba było misterstwa wielkiego i barw rozlicznych i świetnych. Nie jeden raz zmęczył się biedny kunsztmistrz na to, aby w końcu westchnął boleśnie, znajdując dzieło swe innem, niż je w duszy nosił. Boleść Chrystusowa nie dość mu była bolesną, piękność Matki Boskiej nie dosyć piękną, anioly nie dosyć powietrzne... Więc smucił się on, drudzy go pocieszali, a Jurga podziwiał, jak ręka ludzka w tak drobnych rozmiarach tyle pomieścić mogła.

Szło potem dzieło pracy rąk tylu do tego, co je czytał po głosce i poprawiał, mozołąc się więcej może niż ten, co je popisywał.

Naostatek w rogu pod oknem siedzący z pomoc-

nikami staruszek wiązał rozpierzchłe karty, zbijał je w całość i okrywał okładzinami, do wartości kodeksu zastosowanymi. I było się tu czemu napatrzeć, bo choć często prosta deska drewniana służyła dla ochrony, obciążano ją kosztowną materią jedwabną, obijano klamrami srebrnymi i mosiężnymi. Rękopisma przeznaczone dla książęcych i pańskich kaplic ubierano w kość słoniową, blachy srebrne i kamienie drogie.

A gdy w pocie czoła wywiedziona na świat księga skończoną była i odnieść ją miano do przeora, co za radość. Jak się każdy cieszył, co się do tego choć w części jakiejś przyłożył... Pysnił się ojciec Atramentarius, i braciszek Rubryka, i ten co gładził skórę, i ten co pióra zacinał...

Nikt powiedzieć nie mógł, ażeby skarb ten drogi był jego dziełem, składali się nań wszyscy. Może też zwyczaj tego podziału pracy u ojców benedyktynów miał na celu właśnie, by nią żaden dumnym być nie miał prawa. Wiadomo z reguły zakonnej, iż ilekroć postrzegał przerażony, że braciszek zręcznością w kunszcie jakim mógł się wbić w pychę, odejmował mu pracę tę, a dawał inną, aby pokorę przypomniat i nauczył jej.

Jurga bawił się z braćmi, i zabawiał ich razem. Nie wzbraniano mu przesiadywać w tej izbie, którą był sobie upodobał. Znajdował go tu często przeor i uśmiechał mu się zapytując, czy się też czego nie nauczył.

— Nic, przewielebny ojcie—śmiał się wojak sam do siebie—jedno co umiem, to krew czerwienią od najpiękniejszych z tych farb przelewać...

— A żebyś to wiedział, jak śliczne rzeczy, jak ciekawe, nawet dla rycerza znajdują się w tych skórkach — mówił przeor — jakie się tu opisują przygody osobliwe, czyny wielkie, boje sławne...

Odo, który był przytomny, dodał pocichu.

Żeby nasz gość mógł przeczytać lub usłyszeć tę

śliczną historię Walthera, którą mnich w San Gallen tak pięknie wierszem opisał.

— Tem ciekawsząby ona dla niego była — dodał przeor — iż tu pono na Tyńcu ów Walther swe życie miał zakończyć...

— O historii Walgierza Wdalego — przerwał Jurga — już mi Jaśko z Tęczyna wspominał, ale jej nie znam...

— Tak, mówią, że ów Walther i Walgierz jedną są osobą... — dodał przeor — baśnie o nim prawią. Najpiękniejsza jednak ta, którą nasz brat z San Gallen ułożył wierszem godnym dawnych poetów...

Tego dnia skończyło się na pobieżnej wzmiance o Walgierzu, lecz Jurga wyszedłszy z biblioteki, zaniósł znudzonemu Andruszcze wiadomość o historii, o której mu wspomniano, a ten mocno się nią zajął, jako czynny rycerskie i nadzwyczajne przygody opiewać mającą.

Nieszczęściem trudno tu było kogo uprosić, coby płynniej mógł zrozumiałym językiem wytłumaczyć braciom poemat o Walgierzu. Odo, choć dobrej woli, źle mówił po polsku, inni ani czasu, ani języka po temu nie mieli.

Jurga chodząc do księży ciągle się o tego Walgierza dopytywał. Ten i ów coś mu więcej o nim przebaknął, lecz tylko ciekawość podrażnił a nie zaspokoił. Przeor aż się śmiejał litował nad Jurgą, iż tak pięknej baśni nie będzie mógł poznać, gdy przypadek nastąpił niespodzianego i ochotnego pośrednika między spragnionymi a niedostępnym dla nich źródłem.

Jednego dnia Odo wbiegł z oznajmieniem o księdzu z Krakowa, który się ofiarował wieczorem, w izbie gościnnej opowiedzieć im szeroko dzieje owego pana na Tyńcu, tak sławnego w świecie całym.

Andruszka szczególnie się tem ucieszył, lubił on bardzo słuchać nawet baśni starych dziadów i opowiadań bab starych, coż dopiero gdy mu rycerskie

dzieje obiecywano. Oczekiwano spełnienia, a gdy godzina wieczorna nadeszła, Jaksowie pośpieszyli do gospody, gdzie i przeor się znalazł, a temu nie o znaną baśń chodziło, ale o przysłuchanie się językowi, którego pilno wyuczyć się starał *).

Ow ksiądz z Krakowa w odwiedziny przybyły, niemłody już człowiek, a bywały na świecie i po dworach, wesoło i ochoczo powitał swoich słuchaczy i siadł u komina przy kufelku, zapewniając przeora, iż mu opowiadanie, choćby nie jeden wieczór potrwać miało, samemu uczyni przyjemność.

— Al! zaprawdę—rzekł—godna rzecz posłuchać historii tej, w której niejedna pożyteczna dla ludzi światowych nauka się mieści, szczególnie co do obejścia się z niewiastami, i jako losy człowieka zmienne są, a szczęściu własnemu nigdy zawierzać zbyt, ani go na płoczej miłości niewieściej opierać się nie godzi.

Ten tedy Walgierz możny pan a komes na Tyńcu, gdy do nas już światło wiary zaglądać zaczęło, a seme wojny uczyły, iż na Zachodzie rycerstwo i wszelka umiejętność zakwitała, której my jeszcze doma nie mieliśmy, wyprawił się był dla nauki wojennego rzemiosła i dobrego obyczaju, na dwór króla francuzkiego.

A był mężem urodziwym, roztroptym, odwąжным i wszelkiego dobra cheiwym. Tam przybywszy na

*) Historia Waltharius'a i Hilgundy wierszem łacińskim opisana przez mnicha Sanctgallen, prawdopodobnie Ekehard'a w X wieku, którą wydał J. Grimm i A. Schmeller (1438), a później Edelstand du Ménil (1443) przypomina wprawdzie nazwiskiem bohatera i bohaterki nasze podanie o Walcerze (Walgierzu), ale analogia jest tylko w założeniu powieści, której rozwinięcie Grimm nawet nazywa czysto i charakterystycznie słowiańskim. Idziemy tu za duchowną nam starą legendą taką jaką opisał Paprocki, mało co (w początku) posługując się Walthariusem.

dwór królewski naprzód jał się przypatrywać, jako drudzy z orężem, końmi i w obyczaju sobie poczynali, a łatwo to wszystko pojawiały i przyswoiwszy, w krótkim czasie innych niemal wyprzedził, tak że go wszyscy wysoko szanować zaczęli. A jako był w latach młodości i krewkości, nie mógł też widzieć codziennie córki królewskiej Heligundy, nie powziawszy dla niej miłości gwałtownej. I ta mu też na nią wzajemnością zdawała się odpowiadać, ale zdala tylko widywać się i oczyma z sobą rozmawiać mogli.

Piękna królewna innym też na dworze pozawracała głowy, między którymi szczególnie niejaki Arinald się odznaczał, który u niej wcale łaski nie miał, chociaż pilno starał się o nią.

Walgierz widząc, że mu dziewczka przeciwną nie była, u króla też jej ojca o wzięcie się starał i tego sobie zyskać potrafił.

Przyjęty na dwór, otrzymał nawet urząd podczaszego i u stołu posługując tem łatwiej mógł do królewnej się zbliżyć, która przypatrując mu się więcej, coraz serdeczniej skłonną dlań być zaczynała i okazywała mu to jawnie, mając sobie od ojca nadaną swobodę wielką.

Walgierz, chcąc ją sobie bardziej pozyskać, ponieważ z domu wyniósł umiłowanie pieśni i głos wdzięczny, a wiedział iż się w śpiewie niewiasty lubują, który lepiej od słowa do serca ich przemawia, nocą się podkładał pod okna królewnej, śpiewał i grał na gęśli jak mógł najwdzięczniej, a Heligunda rada się temu przysłuchiwała. Wstawała jak skoro usłyszała głos jego i dopóki nie odszedł nie ustępowała na chwilę, chociaż z pieśni poznać go nie mogła, a noc dożyć nie dozwalała, kto był onym śpiewakiem. Stróżów, którzy pod oknami wartowali kupiwszy sobie Walgierz, umówił ich, aby nikomu nie wyjawiali, kto pod oknami królewnej pieśni zawodził.

Trwało to nocy kilka, królewna pieśniami miłosnymi coraz więcej ujęta, gwałtownie zapragnęła

wiedzieć, kto je nucił. Przywołano stróżów z jej rozkazu, dopytując koniecznie, a ci odpowiedzieli, że nie wiedzą i nie znają śpiewaka, który z zakrytą twarzą przybywał i odchodził. Gdy nalegania aby go wydali próżne były, królowna do więzienia stróżów kazała wtrącić i zagroziła im, iż na gardle będą karani, jeżeli nazwiska tego człowieka nie wydadzą. Ci uląkłszy się wyznali, iż Walgierz śpiewakiem był.

Uradowała się tem wielce Heligunda, której serce rozdwojone było, bo Walgierza już miłowała wprzód, a pieśniami ją ujął tamten... więc podwójną miłością przystało ku niemu. A gdy się zbliżyli ku sobie i porozumieli; królowna potajemnie zaczęła go do siebie wzywać na rozmowę, co w obojgu poczętą już miłość jeszcze więcej wzmocniło. Postanowili tedy i umówili się napewno do ucieczki, gdyż zezwolenia królewskiego na małżeństwo spodziewać się nie mogli.

Arinald zaś odepchnięty przez pannę inaczej pojąć jej nie mogąc, gdy wyszedł i podpatrzył schadzki i umowy, podsłuchał, że się uciekać sposobili; jako człowiek chytry i przewrotny, nie zdradzając ich przed królem ojcem, wołał korzystać z tego na inny sposób.

Ponieważ droga uchodzącym nieodmiennie przez kraj jego prowadzić musiała, którą rzeka znaczna płynęła i przewóz na niej był do niego należący, Arinald pożegnawszy króla, jechał do domu, zasadzkę na uchodzących uczynić postanowiwszy.

Rozkaz tedy surowy dany był przewoźnikom, ażeby gdy ujrzą z Francji przybywającego rycerza z panną, któremu zapewne śpieszno będzie od pogoni inaczej go nie przeprawili przez rzekę, jak żądając za to grzywnę złota. Pewien był, iż Walgierz posłyszawszy cenę w spór się miał wdać i kłótnię z ludźmi u przewozu, a tymczasem danoby znać Arinaldowi, który nadbiegłszy, przyparty do rzeki Walgierzowi pannę miał wydrzeć.

Stało się tak jak przewidział, wszakże nie po myśli jego.

W istocie w kilka dni potem spiesźnie uchodząc przypadł Walgierz do rzeki owej Renu, zdala głosem pańskim i rozkazującym o przewóz co rychlej wołając. Przewoźnicy ludzie prości, uląkłszy się rycerza groźnie występującego, zapomnieli o rozkazie i niezwłocznie przewieźli go na brzeg drugi. Zażądali grzywny złota, lecz Walgierz się nie wadząc, rzucił ją im, aby dalej pośpieszać.

Odbiegł był już od brzegów dosyć, gdy Arinaldowi znać dano, grzywnę odnosząc, iż rycerz z panną już przejechał. Wpadł wtedy w gniew niezmierny niemiec i, zebrawszy ludzi czemprędzej, w cwał konie puścił, aby dognać uchodzących, którzy już dla ciężaru jaki z sobą wieźli, już ze zmęczenia zbytniego popołgowali nieco, i tylko co się byli w miejscu pewnem, bezpiecznem, na spoczynek układli, gdy Arinald nadbiegł ze swojemi.

Walgierz, jako był rycerz ostrożny, choć się już bezpiecznym sądził, nie domyślając napaści żadnej, dla wypoczynku wybrał wzgórek, z którego daleko widać było do koła, aby z nienacka go nie zaskoczyło. Nie zrzucił też z siebie pancerza, ani odpasywał miecza, a jeśli zasypiał na tarczy swej ległszy, Heligunda czuwała, tak na przemiany odpawali warty oboje.

Gdy więc Arinalda ujrzał zdaleka Walgierz wnet go poznał po helmie, domyślając się co mu tu gotuje, i Heligundę wraz z końmi za sobą postawiwszy, sam spokojnie przybycia jego oczekiwał... Chociaż sam był jeden przeciwko kilkunastu Niemcom, nie stracił serca bynajmniej.

Nadbiegł Arinald ze swojemi powołując zdala.

— Mam cię zdrajco! Córkę królewską ukradłeś, a przez ziemie moje jedziesz i przewozuś nie zapłacił, głowę mi za to dasz!

— Złeś rzekł—odparł Walgierz—królownej nie

ukradłem, anim ją siłą porwał, gdyż dobrowolnie zenną ujechała, za przewóz zapłaciłem, a głowy ci nie dam, póki jej nie weźmiesz.

Słyszając to i widząc silnego i mężnego rycerza, ludzie Arinaldowi odradzać poczęli, aby raczej okup wziął i dał im jechać, nie stawiając życia na grę niebezpieczną.

Lecz Niemiec słuchać ich nie chciał, tchórzami ich obmierzłemi bezczeszcząc. Wystąpił tedy pierwszy przeciwko Walgierzowi z orszaku Arinalda Gamelo, i tarczą skórą troistą okrytą na rękę wzięwszy, włócznię rzucił. Wczas się opatrzywszy Walgierz uchylił się tak, że na ziemię padła bezsilna, on zaś swoją, w chwili gdy Gamelo miecza miał dobywać, rękę mu przebił i do konia przygwoździł... Chcąc wyrwać pocisk, raniony tarczę cisnął i lewicą chwycił zań. gdy Walgierz padł na niego i mieczem przebił, tak że on i koń razem runęli.

Gdy się to działo, stojący najbliżej siostrzan Gamela, Gimo z boleści nad losem zabitego, oburącz dzidę na Walgierza rzucił, który stał nieustraszony i nietknięty.

Oba pociski nie mu nie uczyniły, chybił jeden, z drugiego się otrząsnął Walgierz, gdy Gimo z mieczem nań natarł, lecz ciał na próżno, bo żelazo się oparło, a włócznia Walgierza bod brodę wbiwszy się napastnikowi z siodła go wysadziła... Umierającemu Walgierz, wnet głowę uciął, która się na ziemię potoczyła.

Arinaldowi ludzie stali trwogą zdjęci, lecz on tem mocniej się wściekał, a gwałtowniej zemsty domagał. Wystąpił tedy Werinhord z łukiem i strzałami, które od twardej tarczy, ledwie ją drasnawszy odpadały.

— Umiesz się zakrywać od strzał—zawołał—nie ujdiesz miecza mojego.

— Czekam właśnie, abys go dobył—rzekł Walgierz. I zarazem konia jego w piersi uderzył. Spiał

się koń. Werinhorda obalił na ziemię, biorąc pod siebie. Tuż poskoczył rycerz, hełm mu zdarł, za jasne włosy pochwycił, głowę podniósł i od karku odrabiał...

Trzy trupy pobitych, gniewem okrutnym zapaliły Arinalda, który wołać począł i zaklinać swoich, aby ukarali zuchwalca... Wyszedł tedy po innych Eckefried, sas, który możnego pana w swym kraju zamordowawszy, schronienia u Arinalda szukał i na dworze jego przebywał. Począł się sas odgrażać i lajać, na co mu w tąż Walgierz odplacił, wyzywając go aby lepiej mieczem niż językiem poczynął.

Eckefried, który dzidę miał całą żelazem okutą, cisnął nią na Walgierza, lecz od tarczy się odbiwszy zawisła mu na ramieniu, a włócznia Walgierzowa skruszywszy tarczę jego, rozłamaną na dwoje, w piersi mu się wbiła.

Padł sas załany krwią, a konia jego rycerz ujawny odwiódł zaraz na stronę.

Za nim pośpieszył Hadawart, piąty z kolei, a że przez trupy, które zawałyły drogę przystępu nie było i koń się skakać wzdragał, ruszył pieszo przeciwko Walgierzowi. A nim szedł, wyprosił u Arinalda, jeżeli zwycięży, aby mu się dostała malowana pięknie tarcza, którą Walgierz się zasłaniał.

— Śmiały jesteś i żal mi cię!—zawołał do niego Walgierz.

— Al ty węzu chytry—krzyknął Hadawart—pociski i strzały cię nie biorą, jak żmija opasałeś się wałem... ale cięcia mojej ręki nie ujdiesz. Chcesz dobrej rady? Arinald mi tarczę twą podarował, odłóż ją na bok, abym jej nie popsul. A podobala mi się bardzo... Nie zwyciężę cię ja, stoją jeszcze insi za mną, którzy w końcu za wszystkich się pomszczą....

Walgierz jednak tarczy się pozbyć niechcąc, na mężnego przeciwnika czekał, słowa z nim mieniając, któremi wzajem w sobie gniew coraz większy budzili; aż Hadawart przypadł z mieczem, Walgierz włócznią się bronił i silnem pchnięciem z dłoni mu go wytrącił,

padł w trawę, schylił się po niego Hadawart, gdy Walgierz pochylonemu kark przygniół nogą do ziemi i przebił leżącego...

Ledwie odetchnąć miał czas rycerz, gdy ujrzał przeciwko sobie lecącego Putafryda z włócznią w ręku wymierzoną... Pocisk gwałtownie rzucony poleciał daleko i padł aż u nóg królowej Heligundy, która ze strachu krzyknęła.

— Życzę ci ustąpić! — zawołał Walgierz — nie uczynisz mi nic.

W gniew wielki wprawiony Putafryd nieopatrznie mieczem poczał wywijać, od którego tarcza zasłaniała Walgierza. Sam prawie zajadły, na włócznię mu się natknął i padł zabity.

Na dzielnym koniu siedzący Gerwig, zmusił go przez trupy przeskoczyć i zaledwie Walgierz czas miał głowę poległemu uciąć, gdy z obosiecznym toporem frankijskim runął na niego zajadły. Szczęściem wypróbowana tarcza ciosy odbijała...

Walgierz skrwawiony swój miecz uskoczywszy wetknął w trawę, aby osychał, a z włócznią znowu szedł na napaśnika. W chwili gdy Gerwig tarcze swe do góry uniósł, pehnął go i przebił.

Wnet, wedle obyczaju, głowę odrąbawszy, stanął...

Arinaldowi po tylu trupach, już szczęścia i sił nie mieli ochoty próbować, ale on choć sam do walki nie śpieszył, poczał wołać o srom, i pozostałych do boju pędzić... Mamyż tak powracać straciwszy tylu ludzi ze wstydem? z rękami próżnemi? Żadnego już nie ma męża, coby się z tym zmęczonym i okrwawionym zbrojem ośmielił próbować.

Walgierz słuchając spoczywał.

Hełm mu głowę palił, zdjął go, aby pot z czoła otrzeć i powiesił na gałęzi drzewa, gdy nagle na szybkim koniu nadbiegł nań Randolf i ciężką żelazną sztabą uderzył go w piersi, ale pancierz nie dał jej głębiej przeniknąć, Walgierz pochwycił tarczę, hełmu

wdziwiał nie miał już czasu... i niemiec w głowę odkrytą godząc, dwa długich włosów uciął mu kosmyki. Drugi cios odbił Walgierz tarczą, a żelazo wbiło się w nią tak głęboko, iż Randolf wyrwać go nie miał siły. Ujrzawszy to rycerz pociągnął gwałtownie, i nagle potem padłszy nań na ziemię obalił. — Za moje włosy musisz głowę przypłacić, abys się przed narzeczoną z tem nie chwalił. I łeb mu urąbał.

Dziewiąty jeszcze wystąpił Helmnót, który miał trójzębny pocisk w ręku. Sądził, że cisnąwszy nim, gdy się w tarczę wbije, łącznie z nią pociągną Walgierza i na ziemię rzuca... Świsnął trójzębny pocisk, a Arinaldowi z radości w dłonie klaskać zaczęli, ale Walgierz stał nieporuszony jak dąb chociaż trzech ludzi szmer od trójzęba z całych sił wyprężony — ciągnęli... sam Helmnót, Trog dziesiąty, Tanast i Arinald dwunasty. Walgierz się ogromnym gniewem zapalił w końcu, i z odkrytą głową, wpadł na Helmnota naprzód mieczem ciąższy go przez łeb i kark, i hełm rozłupawszy na dwoje, Trog oplątał się był sznurem od pocisku, i nie mógł pochwycić wezas za oreż, był więc bezbronny, Walgierz podciął mu nogi i jego tarczę porwał, nim on po nią mógł sięgnąć... Raniomy podniósł z ziemi ogromny kamień i rzucił nim z taką siłą, że własną swą tarczę rozbił. Wlokącego się po trawie, aby wyrwać miecz w nią wetknięty, Walgierz dobiegł i rękę mu odrąbał. A tuż oreż swój złożony na uboczu, śpiesznie wzięwszy, biegł Tanastus, lecz nim się walka rozpoczęła, Walgierz już mu bok rozplątał...

Trog z odciętą ręką żyw jeszcze lajał i sromocił zwycięzcę, czego wytrzymać nie mogąc dłużej, dobił go, aby mileżał.

Został jeden Arinald.

— Spróbujemyż się miły towarzyszu — krzyknął ku niemu Walgierz... — Bywaliśmy na jednym dworze, biesiadowali razem nieraz, znamy go dobrze, aleśmy się z sobą nie mierzyli, choź więc, poprobujemy się.

Bracia Zmartwychwstańcy T. III.

WZD
21K
ROMANOWIE
261

Arinaldowi z wściekłości i żalu po towarzyszach, których utracił, mowy zabrakło; konia więc zmuszał, aby po trupach szedł, i skoczywszy z nim nieszczęśliwie, pod nogi niemal Walgierzowi się obalił.

Mógł naówczas rycerz leżącego jednym ciosem łatwo się pozbyć — lecz śmiechem tylko przyjąwszy ostatniego zapaśnika dał mu czas podnieść się do walki.

— Łatwego nie chcę zwycięstwa — odezwał się — miecza dobywaj.

Gdy tych słów domawiał Walgierz, już Arinald siekł co siły po puklerzu, napróżno starając się nieokrytego schwycić przeciwnika. Dał mu czas znużyć się spokojnie stojący Walgierz, aż wreszcie tarczą go napierając następować nań zaczął i pchał tak, aż na stos trupów, o który oparłszy się Arinald, zachwiał i padł na nie. Naówczas schylił się rycerz i łańcuchem, który miał na szyi udusił go — poczem jak innym tak jemu głowę od karku odciął, a tarczę rzucawszy, obrócił się ku Heligardzie prosząc jej, aby mu dla ochłody wina podała.

— To była — rzekł opowiadający ksiądz, — pierwsza przygoda zwycięzka Walgierza...

— Zaprawdę — przerwał Andruszka — my cośmy też w bojach bywali, i na niejedno patrzyli, a nigdyśmy nie podobnego na oczy nie widzieli. Człowiek ten musiał mieć siłę nieludzką, oręż nadzwyczajny.

— I miłość dla królowej wielką! — dodał Jurga — bo dla ocalenia jej, tak bohaterstwo walczył.

Uśmiechnął się staruszek.

— W pieśni i bajce łącono się cuda dzieją — rzekł — chociaż są ludzie, jak to wiemy z podań starych, nadzwyczajną obdarzeni mocą, którym nikt podobać nie potrafi.

Lecz, zważajcie tylko, ażali człowiek co się na takie ważył niebezpieczeństwa dla onej królowej,

nie wart był, aby ona mu miłą a wierną pozostała małżonką?

Niewiecie serca są zmienne, jak to zaraz ujrzycie.

Zabrawszy tedy łup znaczny z zabitych, po wypoczynku jechał Walgierz na Tyniec z królowną, i szczęśliwie tu przybył.

Podczas bytności na dworze króla francuzkiego, szerokie majątności jego trzymał we władaniu swem niejaki Wiślimir, z rodu Popielowego, który sam na Wiślicy siedział. Gdy Walgierz powrócił, witając go nadbiegli ludzie ze wszech włości z żalami i skargami, jak okrutnie przez niego uciemiężeni byli...

Zatrulo to zrazu powrót szczęśliwy do domu rycerzowi, a niechcąc sądzić nie wysłuchawszy, stał naprzód z dobrem słowem do Wiślimira, wzywając go, aby się tłumaczył i opowiadał jak ta sprawa stała. Na to jednak otrzymał dumną i gniewną odpowiedź, iż się mu tłumaczyć nie myśli, ani jechać do niego, niech się stanie jako chce.

Walgierz też nie był skłonny połknąć gorzkie słowo, nie pozywając do rachunku o nie.

— Niechce on do mnie, pójdę ja do niego — ozwał się na to. — I zebrawszy ludzi swych, gdy tamten bezpiecznie sobie tuszył, że się nań nie waży, naszedł Walgierz Wiślicę, wpadł na gród Wiślimira związać kazawszy, powiózł go z sobą na Tyniec, gdzie go na wieży zamkniętego osadził.

Niechciał mu życia brać, gdyż byli dawniej przyjaciółmi, tylko go wolności pozbawiwszy, skarał więzieniem. Czas jakiś upłynął — aż na wojnę zawołano...

Musiał Walgierz z pocztem iść na rozkaz pański. Gdy nadeszło rozstanie, a Heligardę miał żegnać, ta z boleści wielkiej i żalu niezmiernego, prawie odchodziła od zmysłów, narzekając na wojnę, na króla i na własny los, który ją w obcym kraju na samotność skazywał, tak że Walgierz zaledwie ją uspokoiwszy —

mógł odjechać z tą pewnością w sercu, iż miał w niej najprzychylniejszą małżonkę, pocieszając się tem, iż go nad życie miłowała.

Alieści od króla Salomona czasów wiadomo światu całemu, iż na wielkiej miłości szczęście budować trudno, gdyż częstokroć im gwałtowniejszą jest, tem prędzej uchodzi. Stało się tedy, gdy wojna się pociągnęła, a Walgierz nie powracał, że we łzach tonąca Heligarda, srodze tęsknić sobie poczęła i samotnością na zamku nudzić. Co widząc sługa jej, rada pani się przypodobać — wspomniała o więźniu, który na wieży siedział zamknięty, a był człek urodziwy i młody, iżby go dla rozmowy i rozerwania w tęsknicy, gdy się ludzie pośpią, puszczać można, na dzień go znowu zamykając.

Opierała się zrazu królowna, ale namowom sługi wreszcie oprzeć nie mogąc i nie myśląc, aby rozmowa do złego doprowadzić mogła — zezwolila. Z czego korzystając Wiślimierz, począł się jej zalecać, co nie trudnem było, gdyż niewiasta była piękności wielkiej i dowcipu. Nieznacznie tedy z owej rozmowy niewinnej, doszli do poufałości coraz większej, tak że Heligarda zapomniawszy na przysięgę pierwszemu uczynioną, dała się gachowi namówić, i z więzienia go uwolniwszy, ujechała z nim Wiślicy.

Po skończonej wojnie wrócił Walgierz z łupem i czcią do domu, a gdy w podwórzu stanął, zdziwił się mocno, widząc, że wedle obyczaju, żona przeciwko niemu nie wyszła. Spytał sług dla czego się to stało — ci odpowiedzieli mu zaraz, iż pani nie było, gdyż z Wiślimierzem na Wiślicę ujechała.

Wpadł tedy w gniew niezmierny Walgierz i prawie z konia nie zsiadłszy, natychmiast do Wiślicy za wiarołomną jechał. Tu, że się go wcale niespodziewano, wrota stały otworem i na zamek wpadł tem łatwiej, że na nim pod ten czas gospodarza nie było — gdyż na łowy w puszcę wyjechał. Ujrzawszy go Heligarda, ze strachu do nóg mu padła, prosząc łaski

i miłosierdzia, tłómacząc się, iż sługa ją na szwank naraziła, że była niewinną i zdradzie tylko uległa. Wielkiego serca mąż, dał się ująć łzom i prośbom niewieścim. Heligarda zaś, wrzekomo do zemsty mu chcąc dopomódz namówiła go, aby się sam ukrył w komorze i ludziom swoim pochować kazał, aż by Wiślimierz wrócił, że mu go wydać miała.

Stało się tak jak chytra chciała niewiasta. Walgierz zamknąć się dał w komorze. Tuż i Wiślimierz nadjechał z łowów, a ona przeciwko niemu wybiegłszy, natychmiast mu opowiedziała, kędy Walgierz był ukryty. Wpadł nań Wiślimierz ze sługami swojemi, przemocą opanowawszy, związać kazał, i do więzienia wrzucić. Życia mu odbierać nie chcąc, ciężkimi tylko okowy go obarczył, przykutemi do ściany. Na większą boleść i męczarnię, klatkę, w której go posadzono z oknem ku sypialni swej wychodzącem uczynić kazał, tak iż Walgierz nieustannie na oczach miał pieszczoły Wiślimierza z Heligardą, i mógł słyszeć, jak się z jego niedoli urągali oboje.

Lękając się sług własnych i mniej im ufając, Wiślimierz straż nad więźniem zlecił rodzonej siostrze swej Ryndze, która klucze miała od klatki i oków, a gdy więźnia pod strażą wywodzono, pilnowała. A była Rynga ta niewiasta z twarzy i postawy tak brzydka i odrażająca, że ją nikt za żonę wziąć nie chciał, chociaż od dawna lata miała po temu.

Ta ustawicznie patrząc na pięknego Walgierza, w końcu litość czuła nad nim, i dnia jednego, gdy nikogo na zamku nie było, odezwała się doń, iż radaby wolność mu dać, gdyby ją chciał wziąć sobie za żonę.

— Wziąłem był dla piękności jedną, która mię o zgubę przypawiła — rzekł Walgierz — dla czegożbym drugiej nie miał brać do serca? Niech się stanie jako chcesz, hylebym wolnym był!

I nie dziw, że jakimkolwiekby kosztem chciał być wolnym Walgierz, srom i niewolę bowiem cierpiał wielką. Nie dość, że żelazem okuty był i w klatce

jako zwierz zamknięty, ale na żelaznym wole siedzieć musiał, a przez okno patrzeć i słuchać niewiernej, która wraz z gachem z niego nielitościwie szydziła.

Rynga w umówioną chwilę, pootwierala zamki w okowach i klatce, a Walgierz uprosił też miecz, który mu potajemnie przyniosła... Siedział jednak czekając, ażeby oboje do sąsiedniej izby przyszli, jak to bywało codziennie... a gdy się do snu zabierali, Walgierz przez okno głowę wynurzywszy — zawołał.

— Wiślimierzu — a gdybym też ja potargawszy okowy, sromu mojego i krzywdy przyszedł się na was pomścić?

Krzyknęła przerażona Heligarda, lecz Wiślimierz, pewien będąc oków i żelaza, śmiać się z tego począł.

— Mścij się — zawołał — mścij jako możesz, już ci odpuszczę, choćbyś mnie i zabił!

Pewnym był bowiem wierności w siostrze swej, i na niewieściem przywiązaniu się gruntował. Gdy ich już bezpiecznie spoczywających ujrzał Walgierz, skoczył prędko z mieczem do izby i oboje przebił... tak, iż krzyknąć nawet czasu nie mieli a w zamku nikt się nie domyślał co się stało. Rynga, która w bliskości oczekiwała, pomogła narzeczonemu do zabrania skarbów wszystkich i wywiezienia do Tyńca potajemnie, gdzie razem z nim wyjechawszy, mieszkali.

Tak się skończyła historia Walgierza, o którym drudzy powiadają, iż gdy ta żona zmarła, a życie mu ciążyło i obrzydło, majątności wszelkie oddawszy ludziom rodu swojego, sam szedł na starość Bogu służyć w klasztorze w sukni mniszkiej...

Gdy ksiądz dokończył, chwilę panowało milczenie — wszelako, jak nigdy się powieść bez dziwu lub pochwały nie obchodzi. Andruszka rzekł, iż cudowne były przygody rycerza, a no go to w podziw wprawiało, że ten, który dwunastu walecznym zapaśnikom

mógł sprostać, jednej kobiecie dał się tak haniebnie oszukać.

Zatem dziękowali księdzu za historię, którą zapamiętać obiecywali, a oba szczególnie opisem boju z dwunastu rycerzami zajęci, niemal noc całą spędzili na powtarzaniu sobie, jak mieczem, włócznią i tarczą dokazywał ów rycerz, jak nań pociskami, kute mi dzidami, trójzębami, obosieczną siekierą i wszelkim orężem nacierano.

— Wierzyć potrzeba temu — rzekł Andruszka — gdy ksiądz opowiada jako rzecz która się w istocie stać musiała — przecież Jurgo, mój miły, przypomnij wojny, a ze mną będziesz zgodnym, iż Walgierz osobliwą siłą musiał być obdarzony, która nie każdemu jest dana...

II.

Po wczorajszej rozmowie długiej, zaspali Jakowie na pierwszą mszę świętą, czego im wstyd było, a gdy obudziwszy się ujrzeli w oknie dzień wielki i słońce, poczęli się coprędzej odziewać, aby choć na drugie nahożeństwo stawić się mogli.

U ołtarzów i w chórze na niem nie zbywało. Wiadomo, iż wedle reguły benedyktyńskiej siedem razy w dzień zakonnicy zbierali się na modlitwę, a do południa msze jedne po drugich wychodziły. Tęsknica dojmowała wygnanym większa niż kiedykolwiek, bo wiosna się poczyniała właśnie i pora do ciągnięcia w pole i lasy. Gdy wróciwszy z kościoła, stanęli w oknie izby, a spojrzeli ku Wiśle, na łąki zielonujące, na lasy pączkami napęczniałymi czerwienie-

jące i lśniące, niemal na lzy się im zbierało, myśląc, jak długo może potrwać jeszcze niewola i od wszelkiego świata odłączenie bolesne. Dumali tak rozprawiając po słowie, gdy Odo wszedł, pozdrowił ich obu, i do Andruszki się odezwał, że w gospodzie nieznanym jakiś młody podróżny, domagał się usilnie widzenia z nim...

Odo zaręczał, iż w początku nazwiska i osoby żądanej zaparł się, wiedzieć o nich nie chcąc, ale mu podróżny, całując go po rękach i płacząc niemal zaprzysiął, iż żadnego złego zamiaru nie miał, a o bytności w klasztorze Jaksów napewno był uwiadomionym.

Oba bracia ulękli się mocno, domyślając zdrady jakiejś — strwożył się, widząc ich pomieszanie Odo i zapewnił, że do ostatka bytności ich zaprzeczał. — Radzili więc i uradzić nie umieli, kto by był ów młodzieniec z opisu się domysleć nie mogąc, a to właśnie podejrzenia zwiększało.

Po długich wahaniach ciekawość przemogła wreszcie i choć Jurga go powstrzymywał i zaklinał aby nie szedł, wyrwał się Andruszka do izby gościnnej.

Tu wszedłszy, ujrzał na ławie siedzącego, znuzonego drogą widocznie młodzieńca, którego lice mu się zupełnie wydało nieznanem.

Na widok Andruszki podróżny ów krzyknawszy na głos, wstał, podbiegł i do nóg mu padł, — nie mogąc się podnieść, gdyż omdlał ze wzruszenia. Gdy Andruszka usiłował go dźwignąć z ziemi, dopiero ze zdziwieniem niezmiernem acz wybladłą i schudzoną poznał w przebranym Antonie, niewolnicę swą grecką.

A że do klasztoru wchodzić nie było wolno niewiastom, wnet ujawszy ją pod rękę, wywiódł za obręb jego i tu dopiero na ławie u furty posadziwszy, rozpytywać począł, jak się to stać mogło, iż się tu znalazła. Niewolnica zaś, nie wiele mówić mogąc płakała, nogi pana ściskając i powtarzała tylko, iż mu ogołocnemu ze wszystkiego służby nie mającemu, chciała

być pacholkiem, niewolnikiem, posługaczem, byle jej od siebie nie odganiał.

Z trudnością mógł jej to wytłumaczyć Andruszka, iż oni oba skazani byli na siedzenie w klasztorze, którego progu niewieście nie wolno było przestąpić. Tknięty jednak tem przywiązaniem Jaksza, obmyślił, aby we wsi pod klasztorem Antonina pozostać mogła, dopóki by się losy ich nie rozstrzygnęły.

Tu, gdy do rozpytywania o dwór królewski przyszło, i o to, co się na nim działo, Antonina niewiele powiedzieć umiała. Jedno wiedziała tylko, że Teodora córka Sieciechowa wierną zawsze była Jurdze i nieustannie wspominała o nim, że Jaksowie przyjaciół wielu mieli, którzy nad przyszłością czuwali i pewno inn zginąć nie dadzą.

Zabawił się Andruszka na tej rozmowie dłużej niż sądził, a Jurga coraz niespokojniejszym nań oczekiwał, tak, że gdy powracając ukazał się w progu, rzucił się nań brat, nalegając żwawo o wytłumaczenie co się stało, z oczów mu już pragnąc wyczytać tajemnicę.

Oczy jednak nie mówiły tak jak nie, ani radości ni bólu nie zdradzając.

— Uspokój się — rzekł po cichu starszy — zgadnąć zaprawdę trudno było, kto za mną tu przyszedł. — Nie kto inny to jest, tylko Antonina.

Jurga krzyknął zdziwiony.

— Po męzku przebrana uszła ze dworu i z trudem wielkim a niebezpieczeństwem, aż tu się dowleka. Wyznała mi, iż Sieciechówna przed nią miejsce w którym schronieni byliśmy, zdradzała. Mówiła i o tem, że lepiej niżeli Heligarda o tobie stale pamięta, a na ciebie oczekuje.

Usłyszawszy to Jurga, uradował się wielce, bratu na szyję rzucając. Poczem oba umówili się, by Antonii nie wydając kto była, upatrzeć dla niej pewne schronienie — zdala się jednak trzymając, dopóki o losie ich nie rozstrzygnięto.

Gdy do jadalni zwołano po tem braci, musiał Andruszka, rumieniając się i belkocząc, nieforemną jakąś historję wiernego sługi zmyśleć, aby przybycie podróżnego tłómaczyć. Przeor go do klasztoru chciał wziąć, lecz Andruszka oświadczył, iż tego sobie nie życzył i miał tu tymczasowe schronienie sam opatrzyć. Jakoż z Jurgą oba wyszedłszy zaraz po stole, chatę wynaleźli w osadzie klasztornej, gdzie bezpiecznie przebywać mogła. Przy czem Andruszka surowo zakazał jej, ażeby się u furty pokazywać nie śmiała.

Jurga rozpytawszy o Sieciechównę swą, z najlepszą myślą wrócił razem z bratem, a obu się dnia tego usta nie zamykały, przeszłość wspominając i o przyszłości sobie wróżąc różnie.

Już wieczer późny nadszedł, gdy u furty usłyszeli wrzawę i postrzegli dwu jeźdźców przybywających. Odo, który im był przychylny, nadbiegł natychmiast z przestrogą, aby się nie ukazywali, gdyż posłańcy jacyś przybyli, jakby ze dworu królewskiego, którzy natychmiast się do przeora zgłosili z ważną sprawą.

W niepewności więc, wyczekując coby to być mogło, siedzieli u ognia milczący, gdy po kilku chwilach, kroki usłyszeli w korytarzu i przeor wszedł do nich.

Wstali ujrzawszy go w niezwyklej godzinie, mimowolną trwogą przejęci. Przeor twarz miał zasępioną a smutną, zdawał się wyrok jakiś przynosić z sobą, z którego objawieniem nie było mu pilno.

— Mężom zwiastować mając nowinę złą czy dobrą — nie będę jej słodził ni łagodził — rzekł. — Nadbiegł od opata naszego najprzewielebniejszego poseł umyślny, który mi rozkaz przyniósł, abyście z nim razem nie zwlekając nazad do Poznania powracali. Naprózno starałem się go badać, coby to znaczyć miało. Poseł sam nie więcej nie wie nad to, iż pośpiech nakazano i ostrożność wielką, abyście na drodze widzianemi nie byli.

Niech więc Bóg was prowadzi — dodał — jedźcie ufni w to, że opat, który do ocalenia was się przychylny, do ostatka nie opuści. — Zresztą ponieważ poseł uwiadomiony jest o was i towarzyszyć ma wam w podróży, przyszlę go tu, byście sami z nim mówili o jutrzejszej podróży.

Zaniemieli słuchając tych słów Jaksowie, poglądając na siebie, a przeor kilka słów pociechy dodawszy, wyszedł i wkrótce potem Odo dwu podróżnych wprowadził.

Oba byli komornikami ze dworu i posług królowej Emnildy, zaledwie z widzenia Jaksom znani. Starszy z nich, człek wielce wytrawny, małowówny, ostrożny, zwał się Samek, młodszy Odrzyn pod jego był rozkazami i śmiałością tylko wojaczą się odznaczał.

Pozdrowiwszy Jaksów, gdy pytać go niespokojnie zaczęli, Samek długo milczał zbierając się z odpowiedzią.

— W przededniu wyjazdu — rzekł — wezwała mnie miłościwa pani, nakazując ażebym sobie pewnego dobrał towarzysza i z nim się zgłosił do opata, który co mi powie, ma to być spełnionem, jak gdyby sama królowa jejmość dała od siebie przykazanie.

Wziąłem tedy Odrzyna, który tu oto jest (wskazał nań) bo go znam za dobrego towarzysza na którym poledz można i szedłem do opata Arona. Ten mi rzekł: konie weźmijcie dobre, zapas wszelki na drogę, jedźcie do Tyńca, nie mieszkając, znajdziecie tam dwu Jaksów, którzy na śmierć byli skazani ale żyją. Zgłoście się do przeora, aby was do nich doprowadził i powiedźcie, iż żądam by tu do Poznania wracali natychmiast, po drodze nigdzie twarzy nie okazując i nie wydając się z niemi.

Usłyszawszy to z ust Samka, Jaksowie nie odpowiedzieli nic. Na śmierć czy życie powracać było ich powinnością. Ci co ich ocalili, rozporządzać nie

mi mieli prawo. Nie pozostawało nic nad ślepe posłuszeństwo.

Wnet Andruszka i Jurga zajęli się wyborem na dzień jutrzejszy. Na myśl im zrazu nie przyszło, iż Antonii też los jakiś zapewnić należało. Wziąć ją z sobą czy zostawić—sami nie wiedzieli, a otwarcie o niej mówić się wstydzieli.

Przybyli posłowie opata w tej samej izbie pomieszczeniu znaleźli do jutra, a wieczór zszedł na rozpytywaniu o to, co się działo nad Cybiną. Samek jednak czy mało wiedział, czy nie bardzo chciał rozpowiadać, składał się nieświadomością, a Odrzyn do wojaczki tylko czując upodobanie, nad nią nic innego nie znał. Mógł więc o zapasach, o rycerskich próbach i zabawach w podwórzu rozpowiedzieć obszernie, więcej o niczem.

Jak świt Andruszka wysunął się z izby, bo nie chciał mieć na sumieniu opuszczenia niewolnicy, która chcąc mu służyć tak ciężką drogę odbywała. Ani zostawić jej, ani wziąć z sobą zrazu nie miał odwagi, lecz go płakać a prosić i zaklinać poczęła, by jej nie rzucił, pieszo się ofiarując iść za koniami. zdjęty litością Jaksza, musiał dla niej o koniu myśleć, na którym by jako sługa w drodze towarzyszyć mogła. Ściągnęło się z tego powodu niemal do południa, choć Samek o pośpiech naglił. Antonia za wrotami klasztorne czekała. Szli tymczasem Jaksowie żegnać przeora i braci, którzy gdy się o wyjeździe gości dowiedzieli, zebrali się niemal wszyscy, aby ich na podróż pobłogosławić. Umieli bowiem sobie oni zaskarbić miłość wielką, a pocziwy braciszek Odo tak się do nich przywiązał, iż w zakonie sam znajdując szczęście, ich też zaklinał by świat rzuciwszy, wracali tu używać spokoju jakiego on dać nie może.

Przeprowadzeni do furty wyjechali Jaksowie z posłami, wynosząc z tego gniazda wspomnienie, którego sami sobie wytłumaczyć nie umieli. Ludzie

rycerskiego rzemiosła, nawykli do ruchu i wrzawy z razu męczyli się w tem zamknięciu, potem widok zakonników zwolna działał tak na nich, iż niemal się przywiązali i do nich i do trybu ich życia. Wynosili ztąd wiele zapożyczonego, mimowolnie zmienieni w duszach choć sami odmiany tej nie czuli.

Teśknotę i niepokój wprędce podróż rozproszyła i widok tego wiosennego świata, który im dawne swobodne przypominał życie. Samek i Odrzyn ludzie byli myśliwi, a na dworze służbą niewolniczą znudzeni, i im się ta wędrówka manowcami po nocach, rankami, przez lasy rozwijające się uśmiechała. Jechało się więc rażno, niemal zapominając co w końcu drogi czekać mogło. Antonia milcząca z tyłu za niemi podążała.

Chociaż Samek lepiej jeszcze dróg był świadomy, bo w długim życiu szczególniej za młodu wiele się włóczył, zmuszeni będąc unikać głównych gościńców zbłądzili nieraz i podróż się zwlekała nad miarę.

Gdy się już ku Poznaniowi zbliżali, Andruszka dopiero spytał przewodnika, co przybywszy miał uczynić z niemi i jakie było przykazanie.

Stary odpowiedział, iż nocą wjechać mieli przez furkę u tumu, tak aby ich na dworze nikt nie widział, a tymczasowo pozostać w izbie, która na tumie dla nich była wyznaczona. Chociaż chwilami strach ich ogarniał, ufali jednak, iż opat i królowa nie sprawdzali by ich dla wydania i srogiej kary, jeden drugiego usiłował orzeźwić otuchą. Nie mogli uzyskać zupełnego przebaczenia może, spodzielali się przynajmniej życie ocalić, a w każdym razie lepszy był jakkolwiek koniec jawny, niż przeciągnięta losu niepewność.

Ostatniego dnia, ażeby za widna nie przybywać, przestali kilka godzin w lesie i tu o włos jeden nie spotkało ich nieszczęście wielkie. Właśnie w ostępie, w którym się rozłożyli, król polował dnia tego. Nie rychło zasłyszeli psów gony i myśliwską wrzawę tak,

że ledwie czas mieli koni z paszy dopaść i w cwał się oddalić aby ich nie pochwycono. Lowcy królewscy tentent koni schwyciwszy, sądząc, iż ktoś królewskiej zabawie przeszkadzał, puścili się w pogoń za uchodzącymi i byliby ich pojмали może, gdyby Samek przytomniejszy niż inni, nie wprowadził ich na moczary i gąszcze. Lecz w ucieczce tej Antonia mniej zręczna w obejściu się z koniem i trwożliwsza, pozostała gdzieś tak, że później nawołując i szukając po lesie znaleźć jej nie mogli.

Pocieszali się tem tylko, iż niedaleko będąc Poznania, mogła później ochłonawszy, sama do niego, znaleźć drogę.

Zamiasł przybyć wieczorem, ledwie po tem ostrożniej się już przekradając, w nocy zdążyli do grodu i furty i tumu. Stojąca w niej straż na rozkaz Samka puściła jeźdźców, a choć około tumu spali już wszyscy, dobudzono się stróża i izba do spoczynku się znalazła. Samek i Odrzyn spełniwszy co im przykazanem było, pożegnali się czule z Jaksami do których w ciągu podróży się przywiązali i powrócili na dwór królowej.

Ległszy na garści słomy, którą na posłanie dostali, znużeni podróżą, zasnęli bracia zapominając o wszystkim, a choć we snach wracała im twoga, nieobudzili się rychło, aż dzwony i ruch około kościoła sen im przerwały. Nie zjawił się nikt, musieli czekać długo, na przybycie stróża, który o pożywieniu pomyślał, zalecając im aby nie wychodzili, gdyż pobożnych w podwórcach było pełno.

Dzień cały upłynął na oczekiwaniu nadaremnie. Opat nie przybył. Nazajutrz z południa dopiero, ujrzeni go wchodzącego. Rzucili się oba do ucałowania jego ręki, czekając co im będzie zwiastować.

— Bóg łaskaw—odezwał się Aron—król miłościwie jest usposobiony. Godzinę tylko wybrać chce królowa, w której wraz z wami, stawić się będzie

przed nim, błagając o przebaczenie. Nie trwóćcie się więc, a czekajcie i bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy opat oznajmił im zarazem, iż z rozkazu królowej dostać mają szaty nowe, przystojne, w których by się królowi stawić mogli. Dnia ani godziny oznaczyć nie umiał opat. Radość wielka wstąpiła w serce Jaksów.

Innego uczucia doznawała pobożna pani Emnilda, mimo odwagi której opat jej dodawał, trwożyła się chwilami. Mógł król na widok winowajców unieść się gniewem, mógł wybuchnąć, mógł nareszcie przebaczyć Jaksom, cały swój gniew wywierając na żonę, która dała przykład nieposłuszeństwa i ośmieliła się pójść wbrew jego rozkazom. W tym razie na wszystko będąc gotową, królowa modliła się tylko, aby przynajmniej ofiary na śmierć przeznaczone, ocalone zostały...

Gdy nazajutrz po przybyciu Samka i Odrzyna, ujrzała ich Emnilda znowu pełniących służbę swoją, domyślał się, iż Jaksowie na grodzie już być musieli, a zbliżająca się chwila stanowcza strwożyła ją bardziej jeszcze.

Nie potrzebowała aby opat przyszedł oznajmić, iż należało króla przygotować do przyobiecane go cudu. A właśnie troska o koronę zachmurzyła czoło Bolesława i dni tych z obawą przystępowano do niego. Opat też nie przyszedł do królowej, zdala tylko oczyma dając znać, iż wszystko było w pogotowiu.

Pomimo niestałości króla, który się dopuszczał często uczynków ściągających strofowanie i upominanie od duchowieństwa, miał on poszanowanie wielkie dla Emnildy. Sama pobożność jej i łagodność rozbrajała go ilekroć gniew nim owładnął, sam widok tej pokornej służebnicy, zawsze spokojnej, uśmiechającej się, cierplivej, kazał mu się miarkować i zawstydział roznamiętnionego.

Wahała się jednak Emnilda, acz wiedzieć mogła o sile, jaką jej dawał żywot cały świątobliwością

i pobożnymi uczynkami zapełniony. Wzywała na pomoc opatrzność, aby jej do dzieła miłosiernego dopomogła i tym razem nie zawiodła się, ufając jej.

Wiosennego wieczora, król był samotny, brakło mu jego władków, tęsknił za rodzinami, które się od dworu oddaliły, w radzie zbywało mu na mężach do których się dawniej zwykł był odwoływać; miał służebnych poddostatkiem, przyjaciele i towarzysze opuścili go. Napróżno król sam i przez opata starał się skłonić ich do powrotu, wierni mu byli na posługach, słuchali rozkazów, ale nie szli jak dawniej z ufnością ku niemu...

Na chwilę takiego rozdrażnienia trafiła właśnie nadchodząca królowa. Ujrwszy ją Bolesław podniósł oczy ku niej.

— Mówią, że modlitwy ludzi świętobliwych są skuteczne—rzekł do niej—winna byś się pomodlić aby mi Bóg przyjaciół powrócił. Pusto koło mnie, nie mam ludzi. Na starość odbiegło mi wszystko.

— Miłociwy panie—odezwała się królowa—dajcie mi moc, zabezpieczcie od gniewu waszego, a ufam Bogu, iż się to wszystko odmieni.

Zdumiał się Bolesław.

— Jakieżże chcecie mocy? jakiej poręki? — zawołał.

— Abym łaski i serca waszego nie straciła — odpowiedziała królowa.—Oto tylko was proszę.

— Czyńcie jako wiecie, że dobrem będzie—rzekł król poważnie — tak świętobliwa jak wy niewiasta, zaprawdę złego nie uczynić nie może, a gdybym się zagniewał na was, jabym był winnym.

Królowa przypadła do ręki męża chcąc ją ucałować, a Bolesław czoła jej ustami dotknął z poszanowaniem.

— Czyńcie—rzekł—czyńcie, nie pytam jak i co, co zrobicie dobrem być musi.

Na tę rozmowę, jakby umyślnem zrządzeniem nadszedł opat Aron.

— W porę przybywacie—odezwał się król — oto Emnilda, żąda odemnie bezpieczeństwa tylko, a obiecuje mi powrót moich przyjaciół utraconych. Bądź świadkiem, miły ojcze mój, iż przyrzekam gniew wszelki hamować i co królowa zechce spełnić.

— Ufam, że modlitwy świętobliwej pani naszej dokażą cudu!—zawołał opat.

Wstała natychmiast królowa, dziękując jeszcze i chcąc się oddalić. Król opata Arona zatrzymał. Nieustanną troską była mu korona, której tak pragnął.

— Cóżecie obmyślili?—zapytał opata.

— Jedno jest do uczynienia — począł Aron—potrzeba pominąwszy cesarza, ślać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli.

Z Niemiec dochodzą wieści, iż na gościńcach poczyniono wszędzie zasadzki, na jadących z Polski ku stolicy Ojca św. Arcybiskup magdeburgski nie ufając temu, iż się do niego udawano, podejrzewa nas o to, co istotnie uczynić zamierzamy.

Nie jednego więc posła, ale odmiennemi drogami dwu przynajmniej wyprawić potrzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzie gdy obu z darami ślać musimy, nie wiedząc który z nich dojedzie bezpiecznie, obu też należy wyposażyć i na stracenie skarb jeden poświęcić.

Król ruchem ręki i uśmiechem pogardliwym okazał, jak mało mu szło o straty.

— Mój ojcze—zawołał—o złoto nie idzie, korona poświęcona droższa jest nad wszystko dla potomków moich. Gdybym wszelkie naczynia miał dać stopić, i z ostatniego miecza zdjąć złote skówki, niech idzie do grzywny pośledniej, do pruszyzny...

Ale gdzież ludzie, którym by poselstwo powierzyć można?

— Znajdą się ludzie—odparł opat. — Dwu kapłanów wiernych wam i pamiętnych dobrodziejstw

waszych dla kościoła dostarczy zakon nasz, rozsypany po świecie całym. Od klasztoru do klasztoru przejdą oni Niemcy, Włochy, wszystkie ziemie i kraiki pośrednie. W obronie dodamy im dzielnych rycerzy, co dla was, miłościwy królu, gotowi są życie poświęcić.

— Mnichów wy wybieriecie—odparł Bolesław—ale z kąd weźmiemy tych, których mi na dworze codzień więcej braknie.

— Jutro miłościwy panie, mieć ich będziesz przed sobą—rzekł opat.

— A imiona ich?—spytał król.

— Jutro i twarze ich i imiona mieć będziesz, powtórzył opat.

Król patrzył nań zdziwiony trochę, lecz nawykł był taką mieć ufność w swym doradcy, iż pytać więcej zaniechał.

— Jutro?—powtórzył.

— Tak, jutro!—potwierdził Aron.

Nadchodzący z pokłonami obcy goście, wkrótce zakończyli rozmowę. Bolesław zwrócił się ku nim, wypytując o Ruś i o kraje, które przebywali w drodze. Opat pod pozorem modlitwy, skłonił się i oddalił. Szedł do królowej, która czując przybycie jego, oczekiwała nań.

— Niech Bóg weźmie w ręce sprawę naszą, rzekła składając dłonie, do opata. Jak skoro zmierzchnie, każe Jaksów przywieść do mnie, by słowa prawdy usłyszeli z ust moich. Jutro stawić się będą wraz ze mną przed panem i mężem moim. Jutro!—dodała z trwogą.—Jutro, ale cóż to jutro przyniesie?...

— Zaprawdę radość wielką!—dodał opat.—Idę natychmiast zanieść im rozkazy.

Szedł też zaraz do tumu, a gdy stanął przed Jaksami, rzekł im poprostu.

— Przyodziejcie się przystojnie w suknie, które wam dano, jak skoro zmierzchnie, pójdziecie ze mną do królowej. Jutro ona samastanie wiodąc was przed

króla... i otrzymacie łaskę. Ufam w to, pewien jestem... Lecz myślicie, iż koniec na tem?...

Andruszka odezwał się, że na wszystko co ich mogło spotkać i wszelaką karę byli gotowi.

— Za każde przestępstwo zapłacić potrzeba pokutą jakąś—odezwał się opat—a kto jej nie odbędzie, to mu zaległa na sumieniu zacięży. Dlatego wyznałem ja was do niebezpiecznego przedsięwzięcia, którem króla łaskę w zupełności odzyskać będziecie mogli... Musicie się udać w podróż długą i groźną utratą swobody, a nawet życia... a jeżeli choć jednemu z was uda się to pozyskać, za czem oba wysłani będziecie drogami różnemi, zjednać serce królewskie, zatrzeć pamięć lekkomyślności i przewinienia...

— Gotowiśmy na wszystko—powtórzył Jurga—gotowi!...

Wielka była radość i pośpiech w przygotowaniach do stawienia się przed królową. Zaledwo zmierzchać poczynąło, już u drzwi oczekiwali na znak, który im opat miał dać. Odsłonięci oponczami długimi, czapki ponasuwawszy na oczy, szli za nim. Chociaż ludu było dosyć wszędzie i podwórce się roili, wśród tłumu obcych przesunęli się jakoś niepostrzeżeni i niepoznani. Jeden Harno, który w dworcu stojąc pod ścianą szpiegował, co się gdzie działo, spostrzegł opata i za nim idących dwu zakrytych twarzy ludzi, i z ciekawością zabiegł im drogę. Acz Jaksowie potrafili go uniknąć oko w oko, Harno poznał ich. Był pewien, że nie kto inny tylko Jaksowie mu się zjawili. Opanowany myślą o widmie brata, wziął ich też niemal za cienie umarłych i przerażony popędził do ks. Pisarza. Wpadł do izdebki jego z takim pędem, błądy przelekły, iż ks. Petrek zerwał się do niego, sądząc, że na dworze coś nadzwyczajnego stać się musiało.

Zapytany wodził jakby obląkanemi oczyma, nie mogąc przyjąć długa do słowa.

— Harno! co się stało?... W imię Ojca i Syna

i Ducha świętego! — żegnając go zawołał ks. Petrek Mów, co ci jest?

— Upiory! widziałem upiory! na oczy moje... Zmarli mi się ukazują ciągle...

— Boś grzesznik niepoprawny! — ofuknął go ks. Petrek.

Jak i gdzie widziałeś te upiory? mów...

— Przed chwilą, ojcze mój, w dziedzińcu... ukazali mi się dwaj ścięci Jaksowie... Szli z zakrytymi twarzami, ale im oczy błyskały straszliwie. Przysiądz mogę, że ich widma mi się ukazały...

— Gdzie? na którym podwórku?... — zapytał chłodno ks. Petrek.

— Na tem, które do mieszkania królowej prowadzi — mówił przestraszony Harno — Zdawali się iść w ślad za opatem.

Ks. Pisarz nie odpowiedział mu nic i odprawił go ruchem ręki.

— Idź — rzekł — pomódl się, pość, to ci się duchy zmarłe ukazywać nie będą, grzeszny jesteś...

Harno coś jeszcze chciał mówić, lecz Petrek pilno, niecierpliwie na drzwi wskazywał, powtarzając: idź... idź...

I Harno ucałowawszy jego rękę, zmuszonym był wyjść natychmiast.

Ks. Petrek, przenikliwy, wiedział już, domyślał się, co się święciło. Odgadł, że sprowadzono Jaksów, że ich królowej przedstawić miano, aby wyprosiła łaskę pańską.

— Al! — zawołał — szanowny opat radby się obejść bezemniel... Zobaczymy, czy się to uda... Natychmiast biegnę do markgrafówny, niech ona uprzedzi ten spisek i królowi powie wszystko, a gniew jego rozżarzy.

I ks. pisarz pośpiesznym krokiem gonił już do komnat pięknej Ody. Niepostrzeżony wcisnął się do niej, niewidziany wysliznął, dopiero w drugim końcu

dziedzińca za suknię go Zyg pochwycił szepcąc szydersko.

— Wyście dla markgrafówny zastarzy... co się próżno koło niej bawicie... Tam młodszych potrzeba...

I pogroził mu na nosie, a pisarz oburzywszy się na pozór i ofuknąwszy, suknię mu wyrwał gwałtownie z rąk i uszedł.

Wieczorem król dziewczętom dworskim płasć kazał. Sieciechówna rada nierada korowodowi przewodziła. Oda wyglądała chwili, by się do Bolesława przybliżyć i stanęła za jego siedzeniem. Gdy piosnka dziewcząt dozwalała jej niepodstuchanej mówić, przysunęła się do ucha pańskiego.

— Miłościwy królu — rzekła — jużbyście wy czy Bezprymowi czy Mieszkowi powinni oddać królestwo wasze, wyście zesłabli i postarzeli...

Król się odwrócił.

Tak myślisz? — rzekł szydersko.

— A cóż? — rozśmiała się Oda. — Ludzie sobie z was żarty stroją, kto chce oszukuje... Słowo wasze nie waży, z gniewu się waszego śmieją.

Oczy króla zapalały ogniem.

— Dziewko! — zawołał — urodziwą ty jesteś, ale ci do kądzieli iść i do... płasów, nie tam, gdzie królewskie sprawy.

— Tak, tak... — nie zważając na daną odprawę poczęła Oda — tak, miłościwy panie... ja do kądzieli, a wy do klasztoru chyba... Co wy tu znaczący? Chcieliście ukarać Jaksów? Uszli z życiem, bo królowa się litowała ich młodości... Kto tam wie dla czego?

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Chłopaki urodziwe!... — dodała. — Teraz wam każą im przebaczyć, a królowej waszej jeszcze za jej zdradę dziękować!

Poczęła się teraz mocniej śmiać i wzięła w boki, a patrząc z góry na króla śmiała się tak długo, szydersko, jęcząc go.

Król nie podnosił głowy, chociaż widać było, jak drżał cały, ręką sięgnął po złoty kubek i wychylił go do dna.

Ona czekała tylko, rychłoli wybuchnie, gdy król wytrawiwszy w sobie gniew, głowę podniósł do niej, popatrzał i rzekł:

— Urodziwa z was dziewczka! ale kto was weźmie, chyba na łańcuchu przykuje!...

Oda, która się wcale innej spodziewała odpowiedzi, pobladła. Król jakby mszcząc się mówił powoli.

— O! tobie te urodziwe chłopcy smakują!... Jakby ci się pod czepiec chciało prędeż, aby skosztować korowoja! Dziewko ty niemiecka... człowiekby za tobą szalał, gdyby nie wiedział, że w tobie siedzi siła nieczysta... wszystko co święte i pobożne, tobie solą w oku... Idź w płasy, to ci przejdzie ów żar co cię pali? Miło patrzeć gdy się zwijasz, ale słuchać cię... tylko gniew.

I ręką wskazał jej koło dziewcząt, ale Oda obrażona z rękami na piersi zaciśniętymi cofnęła się, pioruny oczyma rzucając.

— Pojadę ztąd!—szepnęła—nie wytrwam!...

III.

Sliczny był, ciepły, jasny dzień wiosenny. Pierwszy raz niebo się okryło całe i przywdziało lazurową szatę, po której jak białe rąbki przejrzyste snuły się obłoczki miękkie, zjawiające na chwilę i roztapiające w błękitach.

Tego poranka po raz pierwszy do niebios jasnych

ziemia się przystroiła zielono. Gdzie wczoraj jeszcze czarna była, dziś strzelały majowe trawy, na wierzbach pękły liście, brzozy niektóre porożtwierały pączki, w dolinach zakwitły złociste lotocie. Dzień był jakby świąteczny i ktokolwiek ujrzał go, weselał. Wracało życie... Stały otworem drzwi, odsuwano okiennice puszczając ciepłe powietrze jak gościa miłego do wnętrzów. Twarze mówić się zdawały: — Witaj wiosenko!!

W królewskich też podwórcach wyglądało świątecznie. Ludzie, konie, psy, ptaki łowcze na berlach kręciły się niespokojnie.

I gości tego dnia napłynęło więcej niż zwykle, gości do sądu i łaski pańskiej.

Do dnia Bezprym wyciągał w pole z sokolem i psem sokolniczym, z Ghezą i małym dworem swoim.

Mieszko także przechadzał się z komornikami swymi, jakby jakąś zamyślał wyprawę, gdy od królowej matki przybył doń posłany, zwiastując mu, aby się do pół dnia nie oddalał z grodu.

— Przecz?—spytał Mieszko.

— Takie jest rozkazanie królowej — rzekło pacholę.

Na to nie było odpowiedzi. Mieszko popatrzał na niebo i wrócił do izby swojej. Przez okna otwarte w komnacie Ryksy widać było ją z synkiem, którego uczyła modlitwy. Dziecię się do niej uśmiechało, matka niemal smutnie nań patrzała.

Przed dworem a pałacem króla stał mnogi lud wszelakiego stanu. Byli tu i władcy możni przybyli ze stron dalekich, i wojacy, i ubodzy kmiecie, i najuboższy lud, który stał na uboczu.

Wśród obcych od granic przybyłych kręcił się ks. Petrek, dostając języka, patrząc może, czy między niemi kogo nie było wysłanego do Magdeburga, aby się rozpatrzyć, co się tu działo.

Dalej stali na uboczu poganie Lutyce i Wilki,

odziani dziwnie, patrzący dziko, groźni na pozór, a w istocie potęgą co ich otaczała strwożeni.

Powoli te tłumy wchodzić poczęły do izby stołów czterdziestu, bo tuż i król miał się ukazać ze dworem.

Z palatium króla do wielkiej owej jadalni, zawsze otwartej dla obcych, gdzie każdy przybyły chleb, sól i napój znajdował nie mierzony, wiodła droga jedna pod dachem, druga przez dziedzińce. Czasem Bolesław wolał iść niewidziany, niekiedy dla okazałości z komnat swych ciągnął przez podwórze z całym dworem, powoli, aby i lud ubogi widzieć mógł majestat królewski.

A którądy król iść miał, zbierały się kupy ciekawych, dla pozdrowienia go po drodze.

Tego dnia czuli wszyscy, iż Bolesław iść będzie podwórcami, bo tu też Lutyce i Wilcy stali nań oczekując, a trzymając się zdala od innych.

Nagle wszystko drgnęło i poruszyło się, zakółsał się tłum, jakby wiatr fale podnosił, podźwignęły głowy, strzeliły oczy, szmer przeleciał po gromadach i zamilkło wszystko w oczekiwaniu.

W podniesieniu królewski orszak się ukazał, a był tak wspaniały, jak gdyby Bolesław pany i książęta miał przyjmować.

Szły naprzód pachołęta na pół czerwono, pół złotopoodziewane, parami z sobą; za niemi komornicy w łańcuchach na szyi, z laskami w rękę, dalej podkomorzowie w szubach jedwabnych, miecznik niósł obnażony miecz, godło sprawiedliwości i siły, naostatek Sieciech z laską wysoką złocistą poprzedał pana.

Strojnym był pan jakby do najdostojniejszych gości wychodził. Na głowie miał kołpak z przepaską, złocistą, szczerbzyk u pasa złotego sadzonego kamieniem drogim, suknię spodnią purpurową jedwabną, a na niej lekki kozuch soboli czarną okryty tkaniną, która połyskiwała na słońcu. Szedł spierając się na lasce, jedną ręką w bok się ująwszy, z góry spoglądając na ludzi wzrokiem władcy, który czuje się pa-

nem, a chce być ojcem... Jasne to było oblicze jak w dniach zwycięstwa po walce, jak bywało pod namiotem na poboju, gdy mu oręż zabrany z niego pod nogi znoszono. Usta się uśmiechały nieco, a włos, co się srebrzyć zaczynał, dnia tego świecił czarniejszy — jak za owych lat młodości, gdy spływał na ramiona w kędziorach krucznych.

Za panem jak pies biegł Zyg, uśmiechając się, w oczy mu poglądając, z wesołością do pańskiej się strojąc.

Reszta dworu ciągnęła za królem, trochę zbita i zmieszana.

Gdy Bolesław ukazał się i zatrzymał nieco u progu, jak kłosa od wiatru pochyliły się wszystkie głowy w pokorze. Niektórzy poklekali ręce wyciągając ku niemu, lud ubogi na twarze padał. Lutyki i Wilki cisnęli się w kupkę zbity, jakby się ulękli i do obrony gotowali. Popatrzał Bolesław i zwolna postąpił dalej. Oczy potem podniósł na jasne niebo, przypomniało mu może jaki dzionek weselny, bojowy, któremu przyświecało podobnie.

Z powagą, w milczeniu przesunął się orszak wśród tłumów i poczał we drzwiach jadalni niknąć, aż ostatni komornik i pachołę wtoczyli się za psami pańskimi. Naówczas i goście też ruszyli, gdzie komu było przeznaczono.

W jadalni królewskiej pusto było, królowa jeszcze nie przyszła, stał jeden opat Aron w milczeniu. Z panów rady dwunastu — dwu zaledwie król znalazł oczekujących, reszty mu brakło oddawna.

Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie, oczy króla często się na drzwi, które Emnilda wchodzić była zwykła, obracały. A gdy zdala szelest szat usłyszał Bolesław, twarz mu nieco pobladła. Opat nie spuszczał oka z niego.

Z miejsca, w którym stał Bolesław, nie widać było głębiej nad drzwi rozwarte, które wnijsz miała królowa. Z sali stołów czterdziestu, wprost nich,

sięgał wzrok daleko. Gdy szelest dał się słyszeć, zarazem ci co stali w jadalni, poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwu jakiegoś dał się słyszeć. Wnet poszanowanie usta zamknęło.

Tuż szła królowa na ten dzień uroczyste strojna na włosach i czepcu złotą niosąc przepaskę, w sukni purpurowej ze złotem. Błada twarz jej, jakby jasnością jakąś była otoczona. Szła nie sama, z prawej i lewej strony, trzymając ich, za ręce wiodła Jaksów dwu, odzianych czarno i jakby pokutniczo, zbladłych, z oczyma spuszczone.

Król ujrawszy ich drgnął cały — po twarzy jego przebiegły z kolei, jakby gniewu płomienie, łaskawości blaski, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią radość wielka.

W milczeniu szła Emnilda przed pana i uknęła. Oba Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochylili ku nogom królewskim i ziemi... Chwilę trwało milczenie, królowej w piersi zabrakło tchu... Podniosła oczy w górę...

— Panie mój i królu — zawołała — przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla tych dwu winowajców, których przed gniewem twym uchowałam. Przeszedł gniew... stawię ich przed tobą, błagając cię, bądź miłosiernym, wzorem Chrystusa... ulituj się im.

Król widocznie stał wzruszony, nagle ręce mu się rozpostarły i wyciągnął je ku królowej.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — za ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć, ja sam oplakałem... I tobie, Emnildo, nie przebaczyć, alem winien wdzięcznym być... Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi moi wierni wracają, do boku... Podnieście się — dodał do Jurgi i Andruszki, rękę ku nim wyciągając — niech idzie w zapomnienie przeszłość... Spodziewam się, że ją zmażecie.

— Krwią naszą! — zawołali zgodnie Jaksowie, całując ręce wyciągnięte.

Na widok tego dziwnego pochodu ludzi, których wszyscy za umarłych mieli, tłum cały ogarnął był przestach zrazu. Cudem się zdawało ocalenie, oczom nie wierzone. Potem gdy przemówiła królowa, gdy odpowiedział król, podniosły się okrzyki nieskończone. Podrzucano kołpaki, podnoszono ręce, radość się malowała na licach, ludzie poruszeni cisnęli się bliżej ku panu.

Śmiała się twarz pańska weselem, jakie dawno nie gościło na niej. Radość ogólna odbijała się na niej.

Spojrzał na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Sieciecha.

— Nie przystały im te szaty! — zawołał — idźcie i przybierzcie ich w odświętną odzież ze skarbcza, zawieś im na szyi łańcuchy, na pasach przypasz im miecze... Idźcie i wracajcie tu, abyśmy się weselili wspólnie...

Sieciech, którego twarz z trupiobladej w początku coraz żywszym oblewała się rumieńcem, ze łzami w oczach ruszył wnet zabierając z sobą młodzianów obu a wzrok wszystkich poszedł za nimi.

Królowa osłabła i rozplakana musiała usiąść, aby przyjść do sił znowu. W orszaku jej, tak mnogim jak zwykle, jednej tylko brakło twarzy — Ody nie było...

Markgrafówna opowiedziała się chorą, nie chciała być świadkiem przewidywanego zwycięstwa, królowej, nie mogła w sobie uciąć gniewu, który nią mიაl. Za to twarzyczka Teodory córki Sieciecha promieniała jak gwiazda, a kto by był tajemnicy jej nie wiedział, domyśliłby się łatwo.

Bolesław siadł z wypogodzonym obliczem i zwracając się do opata, rzekł żartobliwie.

— Wasza przewielebność takżeście pono do spisku należeli!.. za co niech wam będą dzięki, jak również wszystkim tym, co mi krwi przelanej oszczędzili!.. Do Tyńca dodam wam lasów przestrzeń nową i łąk, aby się pamiątka została dobrego uczynku!..

W tem w podwórce zatętniało ogromnie, jak gdyby wojsko całe wylało się na gród... słychać było rżenie koni i wrzawę. Naprzeciw stołu królewskiego poodsuwane okna dozwalały widzieć orszaki jakieś, napływające w podwórze. Byli to wszyscy Jaksowie i ich powinowaci, którym z rozkazu królowej znać dać, aby przybywali i oczekiwali, rychło się miłosrdzia dzieło dokona. Zdawna niewidziani ci wszyscy, co dwór króla opuścili, wracali mu z dziękczynieniem... Gdy w progu ujrzał ten tłum, na którego przodzie szli starcy, twarze znane mu a miłe, porabane, bliznami zorane, dalej młódź rycerska, niewiasty, a nawet dzieci, bo jadący zabrali z sobą, rodziny całe, aby padły do nóg królowi i królowej.... Bolesław uniósł się na siedzeniu z nietajoną radością.

Wszyscy szli schyleni ku niemu.

— Nie mnie! na kolana przed królową! Ona to uczyniła cud... ona! jej dziękujcie!...

Królowa osłabła w tej chwili i niewiasty podtrzymać musiały, twarz jej okryła błądź niemał śmiertelna... i nierychło otwarły się znowu oczy lez pełne...

W tem na przedsieniu trąby się słyszeć dały, Sieciech wiódł braci, przyodzianych rycersko i strojnych, którzy powtórnie Bolesławowi i Emnildzie do nóg padli.

Tuż stryjowie, bracia, wujowie, stryjeczni i dalsi powinowaci wstawszy objęli ich kółem i zapomniawszy na przytomność króla, jeli płacząc niemał z radości z kolei ściskać, podając sobie z rąk do rąk. Nigdy na dworze pańskim takiej nie było wrzawy; nawet gdy Bolesław pod dobrą myśl gości poić kazał, a ci o poszanowaniu dłań zapominali. Już cichło, gdy ktoś nanowo wybuchnął okrzykiem, a za nim przez wszystkie izby rozchodziły się głosy i wybiegały na podwórze, a tam stojące tłumy powtarzały je po całym grodzie, na podzamczu nawet... choć nie wiedzia-

no czemu, weselono się... Co żyło biegło, pytało, a dzieliło wielką tę radość pańską...

Ks. Petrek, który stał przed swoją izbą z zaciśniętymi ustami, blady, z głową spuszczoną, słuchał tych okrzyków i uśmiechnął się gorzko.

Ten i ów postrzegłszy go na uboczu, przybiegł z oznajmieniem o wesolej nowinie.

— Jaksowie zmartwychwstali!!

Byli i tacy, co cud przypisywali świętemu jakimś, twierdząc, iż ścięci byli w istocie i przez modlitwy królowej z grobu zostali wyrwani.

Z rozkazu króla gromadom i dworowi całemu ucztę przysposobiono, wytoczono beczki piwa... Kazaćno się weselić.

W izbie markgrafówny piękna niemka leżała na pościeli, z rękami pod głową i z kwiatkiem w ustach, z oczami wlepionymi w belki, uśmiechała się szydersko... tym samym niemal uśmiechem, jak sługa jej ks. pisarz. Przez otwarte okna dochodziły tu odgłosy z podwórzów, a za każdym z nich purpurą gniewu okrywały się lica Ody. Rzuciła się gniewna na łożo.

— Odesłał mnie do kądzeli!.. na łańcuchu kazał mnie trzymać!.. Czekał! ja jeszcze obręcza nie mam na szyi, a kto komu go włoży? Nie wiem...

Pomaluśku otwarły się drzwi ostrożnie, oko jakieś ukazało się w szparze, szerzej nieco roztworzyły się podwoje, głowa Panichy wcisnęła się przez nie. Zobaczywszy leżącą, uderzyła stara w pomarszczone dłonie i wyszła.

— Królowo ty moja złota! co tobie? — zawołała—co tobie? Tu dwór cały się raduje... a ty chora?... chora? miłościwa liljo moja biała! Co tobie?... Ja zioła znam, sposoby znam... co boli? powiedz co boli?..

Zmarszczyła się markgrafówna.

— Boli? — wskazała na serce — na to ty nie masz leku...

— Oj! oj! czemu nie? czemu nie? — poczęła Pa-

nicha—nie ma takiej rzeczy i nie ma bólu takiego, na któryby leku nie było...

Markgrafówna zmilczała oczy zwracając ku górze.

— Mnie ztąd trzeba precz! — rzekła — mnie tu już nie ma co robić!.. Znajdę sobie męża w domu! Co mi tam!..

Stara kręciła głową, rozglądając się dokoła dziwnie, skradała się zwolna aż do łóżka, zdawała się chcieć coś mówić i wahała.

— Królowo ty moja! — rzekła — tobie tu królową być... ale jak ty będziesz nią, nie zapomnisz o Pani-sie? nie zapomnisz... Nasza pani... ona słaba... (tu głos się w szept zmienił), ona bardzo wąta, jej życia nie wiele zostało... Lada dzień zaśnie...

Chrząknęła znacząco; w oczach jej coś się zwijsło niby więcej mówiąc niż usta.

Oda poczęła się w nią wpatrywać.

Niedosłyszany prawie szept wyszedł z ust Pani-chy, i twarz markgrafówny szkarłatem się oblała — kiwnęła głową nie odpowiadając ani słowa. Rozpuszczonymi włosami poczęła twarz osłaniać, jakby się zawstydzila... i dłońmi białymi ją pokryła.

Stojąca nad nią Panicha głową potrząsała.

— Nie zapomnijcie wówczas o Panisie — dacie jej tu izby i ucho swe, a będzie wam wierniejszą od psa sługę. Posłuży we wszystkim tak potajemnie, że na świecie nikt a nikt wiedzieć nie będzie...

Szeptala długo po cichu, potem głośniejsz poczęła...

— Lada dzień... zobaczycie! Ot tak, zaśnie. Już ja wiem, życia jej niewiele zostało... nie uciekajcie ztąd...

Oda twarz odsłoniła...

— Zle mówisz, dla tego mi jechać trzeba—jutro pojedę... aby za mną gnali, aby o mnie prosili... rozumiesz.

Panicha ręce złożywszy, głową potrząsała.

— Królowo moja! róbcie rozumnie! wy wiecie co robić, a ja też wiem... o! wiem.

Wstała z ziemi stara, pokłoniła się i wyszła prędko, ze drzwi jeszcze śląc uśmiech pięknej Odzie.

Po wyjściu jej natychmiast markgrafówna się podniosła i zerwała z łóżka, klaszcząc na sługi...

Kazała się odziewać prędko...

— Do ojca — jutro — do domu! — zawołała. — Jedziemy! musimy!

Niemieckie dziewczęta jej uradowane wnet zaczęły się krzątać około wyboru. Ona sama wzięła się pomagać niecierpliwie. Niekiedy rzucała robotę i stawała zamyślona...

— Powróć! tak lepiej! mruczała ..

I sługę posłała do ks. Petrka...

Znaleźć go łatwo było, stał zdala przysłuchując się wybuchom radości, jakby czekał coś z niej wyrośnię. Gdy nań skinęła niemka, obejrzał się tylko i krokiem żywym pośpieszał na zawołanie. Ledwie się ukazał, niecierpliwa dziewczyna poczęła doń mówić.

— Idźcie odemnie prosić, ja do ojca odjechać muszę... tak, muszę. Ani pytajcie, ani radźcie. To musi być, rozumiecie mnie! musi!

— Jutro — dziś, pójdźcie do króla, do królowej, wszystko mi jedno... Już mi się do domu stęskniło... Od królom wczoraj gorzkie słyszała słowa. Trzeba jechać, aby mnie żałował. Na oczach stać najgorsza rzecz.

Ks. Petrek słuchał, chciał coś rzec ale mu nie dała.

— Już ja wiem co czynię, nie mówcie... Powiedźcie królowej, że jej proszę do domu.

Ręką skinęła rozkazując, ks. pisarz zamyślony wyszedł... Z oznajmieniem tem, które mu zlecono nie pora iść było. W izbie ucztowano... wesołość, śmiechy, wykrzykiwania słyszał tylko. Musiał stać i cze-

kać, aż się królowa oddaliła z niewiastami. W ślad zaraz poszedł za nią.

Duchownemu wstęp był zawsze wolny, więc choć potrzebowała spoczynku królowa, puszczone go... Przebiegły księżyna ręce podniósłszy do góry, głowę zniżwszy, z czcią wielką, od uwielbień rozpoczął.

— Święta pani nasza cuda czyni! — rzekł wdychając.

— Nie mówcie — przerwała Emnilda.

— Przyszedłem z nowiną może też wstrętliwą miłościwa pani — odezwał się — ażali to dla dworu nie lepiej, gdy z niego to ustąpi, co się z nim miłością połączyć nie może?

Markgrafówna Oda przezemnie oświadcza miłościwemu panu i pani, iż za gościnę im dziękuje i do ojca powrócić pragnie.

Wzdrygnęła się królowa, nie umiając pokryć radości. Ks. Petrek dodał z kłamanym uśmiechem.

— Wstrzymywać jej nie potrzeba... Niech jedzie. Niebezpiecznych to wdzięków niewiasta, do których lgnęli wszyscy.

Emnilda wstrzymała się od odpowiedzi długo.

— Królowi o tem oznajmię — rzekła.

Widząc, że rozmowa nie może się przeciągnąć, ks. Petrek z pokorą wielką i pokłonami, wysunął się natychmiast. Sam już nie chciał pośredniczyć w tem do króla, sądził, że ta wiadomość nie będzie mu miła, wolał ją więc zdać na opata rachując że, jak przed królową tak przed nim, będzie miał zręczność ze swą gorliwością o dobro pańskie wystąpić. U sług około dworu rozpytał zaraz o Arona, który się w tymie znajdował, a że wiadomość pilną była, pośpieszył do jego celi.

Braciszek, który był na rozkazach u opata nie wpuścił go zaraz, dając mu wiedzieć, że się ktoś u niego znajdował. Ks. Petrkowi było na rękę podpatrzyć, kto miał tajemne narady z nimi, ustawił się tak, aby po drodze wychodzącemu spojrzeć w oczy.

Nadzieja go jednak zawiodła — gdyż zaledwie na ławie w sieni przysiadł, dwu zakapturzonych mnichów wyszło z celi i przesunęli się tak żywo mimo niego, iż choć pozdrowił ich, aby zatrzymać, otrzymał tylko mruczenie w odpowiedzi... Zdało mu się, iż widocznie unikali zbliżenia się do niego.

Ponieważ wyszli od opata — gotów był to przypisać rozkazom jego. Zachmurzony tą myślą stał jeszcze gdy drzwi się celi otworzyły i sam opat ukazał się w progu, wzywając go do siebie.

Dotąd ks. Petrek prawie był pewnym, iż miał całe jego zaufanie, sprawa Jaksów coraz mocniejsze budziła w nim podejrzenie, iż mógł je postradać.

Mileząco pozdrowił swojego zwierzchnika i smutnie spojrział ku niemu.

— Co mi ks. protonotaryusz przynosi? — zapytał Aron.

— Zda mi się, że dosyć pożądaną wieść — rzekł zwolna ks. Petrek — któremu dwaj mnisi nieznajomi stali ciągle na myśli — ale może przerwałem jaką ważniejszą sprawę? Widziałem wychodzących, zapewne...

— To są moi bracia, benedyktyni, których do Sieciechowskiego sprowadziłem klasztoru — odezwał się opat spokojnie — nowych sił potrzebujemy... tyle jest do czynienia nim się światło wprowadzi, nim pole zasieje...

Ks. Petrek choć tłumaczeniu nie bardzo ufał, przyjął je za dobre i oczy pobożnie podniósł do góry.

— Wasza przewielebność — odezwał się — lepiej wiecie zapewne, z kąd ludzi ściągać... i jakich wybierać. Poważyłbym się jednak odezwać za niemieckimi księżmi, którzy bliżej kraju naszego siedząc, lepiej go znają i łatwiej sobie przyswajają język i obyczaje polan.

Aron nie odpowiedział.

— O jakieżże to sprawie mówić mi chcecie? — spytał po krótkim milczeniu.

Bracia Zmartwychwstańcy T. III

— Jestem posłem markgrafówny Ody, która chce do ojca powracać — odezwał się podnosząc oczy, aby wrażenie nowiny pochwyć, ks. Petrek. — Zdaje mi się, że nie pożądanym być nie może, gdyż markgrafówna... nie wszystkim tu jest miłą... nie dla wszystkich pożądaną. Może się mylę, ale czy jej i chęci wysoko sięgają. Pozbyć się więc niebezpiecznej niewiasty...

Opat patrzył w okno, nie przeczytał ani potwierdzał.

— Wasza przewielebność zechcecie może o tem powiedzieć panu miłościwemu... Mnie to poselstwo nie przystało...

— Jestli to jak sądzicie stałe postanowienie, czy niewieścia tylko próba? — rzekł opat.

— Nie potrafię sądzić o tem — odezwał się pokornie ks. Petrek. — Zdawałoby się jednak, że w istocie chce się ztąd oddalić.

Ks. pisarz miał wielką ochotę przeciągnąć rozmowę, lecz opat zamyślony był dziwnie i milczący; nigdy zimniejszym nie okazał się dla niego. Ks. Petrek stał wywołując jakieś słowo, zwierzenie się, poufalego coś, coby poświadczało, że łask nie stracił. Opat milczał zadumany.

— Zaprawdę — dodał nieśmiało — byliśmy dziś świadkami rozrzewniającego widoku... Cudu dokazała świątobliwość pani naszej... Co za radość powszechna!...

Opat milczał jeszcze.

— Boli mnie tylko jedno — kończył pisarz — że mi nie było dopuszczono do dzieła miłosierdzia ręki przyłożyć... że nie zasłużyłem na zaufanie i wierne moje usługi zyskać mi go nie mogły... Budzi się we mnie wątpliwość, czy ja przewielebności waszej jestem użytecznym... gdy do niczego używać mnie nie raczysz?

— Jakto do niczego mój bracie? — przerwał opat — król powierzył wam przecie poselstwo najtru-

dniejsze, najważniejsze, najbliższą serca swojego sprawę? Wasza podróż do Magdeburga przekonałaby was powinna, jak wielkie posiadacie u pana naszego zaufanie. Ale też takiego jak wy człowieka do ostatnich posług używałby się nie godziło...

Skłonił się ks. Petrek.

— To pewna — rzekł — iż nikt gorliwiej dla dobra kościoła i króla nie pracuje nademnie, nieudolność tylko moja skutku nie dozwala osiągnąć. Robiłem com mógł.

— Wiemy to — dokończył opat i natychmiast jakby odwracając rozmowę, począł żegnać pisarza, który rad nie rad, wysunął się mocno rozżalony i gniewny.

Nazajutrz rano poczet, który miał w podróży towarzyszyć markgrafównie, sposobił się już. Oda milcząca, ale zarumieniona i podrażniona wybierała się niecierpliwie. Kobiety jej wiązały swe przybory i sposobiły juki na konie. Wozy oprócz tego zatoczono pod izbę, i już je ładować zaczęto. Markgrafówna napróżno usiłowała się dowiedzieć, jak król przyjął wiadomość o jej postępowaniu, dziwując się i złościąc, że ją tak łatwo wypuszczano. W istocie nikt na dworze nie okazywał najmniejszego żalu i ochoty powstrzymania jej.

Jeden tylko Bezprym, który był późno powrócił wczoraj z łowów, dowiedziawszy się o wyborze Ody, pośpieszył do nie z dobrem słowem. Na widok jego twarz się jej rozjaśniła, a nawyknięcie do zalotności, uśmieszek wymuszony ściągnęło na usta.

Bezprym więcej oczyma mówił do pięknej dziewczyny, niż potrafił ustami. Oboje wejrzeń nie szczędzili. Słowa nie szły długo osamotnionemu królewiczowi, zwłaszcza, gdy się znalazł wobec niewiasty. Dopiero w końcu rzekł:

— Żal nam będzie was, bo takiego hożego lica nieprędko dwór doczeka!...

— Macie tu ich dość — odparła Oda — a mnie do swoich czas...

I znowu oczy mówiły tak wyraziście, że się markgrafówna zarumieniła, a Bezprym jak krwią stał oblany i wyrwał się z tego pożegnania, przyznając Ghezcie, że Oda prawie mu się wydała piękna jak Ryksa.

W istocie wszystkie niewiasty młode piękne dlań były, a szczególnie te, które na niego spoglądały mile.

Pożegnanie z królową było ze strony Ody zimne; prawie czuło od Emnildy, która wdzięczną jej była, że dwór opuszczała i tłumaczyła to sobie dobrą wolą. Obdarzyła więc odjeżdżającą i uściśliła błogosławiając. Ryksa także okazała się przy pożegnaniu czulszą, niż była zwykle dla Ody.

Od króla przyniesiono podarki wspaniałe, na których widok zarumieniło się radością lice niemki. Bolesław też sam wyszedł w podwórcę ku odjeżdżającej.

— Szkoda nam pięknej dziewczyny — rzekł uśmiechając się do niej — ale kiedy ojciec woła, słuchać nam trzeba. Jużci też może kiedy do nas powrócicie?

Oda spojrzała na króla jakby z wyrzutem, coś szepnęła niewyraźnego, zwykła jej śmiałość opuściła ją w tej chwili, spodziewała się coś więcej nad podarki i obojętne słowo. W duchu sądziła może, iż jej Bolesław nie puści. Król popatrzywszy na nią wzrokiem pożądlwym, mrugnął powiekami, uśmiechnął się, ale wnet poszedł nazad do dworu i nie ukazał się więcej.

W progu izby Panicha i inne niewiasty dworskie klaniały się odjeżdżającej, okazując niby żal wielki; w ogóle jednak więcej się spodziewała piękna pani. Wprawdzie poczet dodany jej okazały był, dobrany i odpowiedni dostojństwu, nie zbywało na niczem, wracała z orszakiem godnym niemal królowej, lecz czci jej nie oddano, której duma pragnęła. Widocznie

pozbywano się prawie radośnie. Oda wyjechała otoczona rycerstwem, sama jedna z swym małym dworem, w sercu żywiąc mściwe uczucie.

Ostatnie wejście Panichy mówiło jej coś, co ona jedna rozumiała i co w przyszłości obiecywało wiele.

Ks. Petrek, za którym goniła oczyma, wcale się nie zjawił. Wyjechali już za okopy i podzamecz, gdy na gościńcu ukazał się z kijem w ręku ks. pisarz, jak gdyby z pieszej jakiejś powracał wycieczki.

Ujrawszy jadącą zatrzymał się niby zdziwiony, pozdrowił ją i rzuciwszy okiem po orszaku, który się składał z ludzi oswojonych z pograniczem, a rozumiejących niemców mowę, zawahał się zrazu z przystąpieniem do markgrafówny, która się, zobaczywszy go, zatrzymała.

Widząc że nań oczekuje, zbliżył się pisarz, a że poczet nieco dalej stał, mógł się więc pocichu rozmówić, czego sobie życzył zapewne.

— Zlećcie uczynili — rzekł prędko — iż ztąd ustępujecie... Czasem gdy sprawa zdaje się przegraną, jest najbliższą końca... Cóż król?

— Nie szczędził podarków... ale mi słowa dobrego nie powiedział — szepnęła Oda. — Królowi wszystkie niewiasty równe...

Ks. Petrek się szydersko uśmiechnął.

— Ja nie żegnam — dodał — pięknej markgrafówny... dali Bóg życie, spodziewam się ją tu widzieć jeszcze... i w świetniejszym orszaku...

To mówiąc przybliżył się ku niej.

— Jedziecie do Niemiec — rzekł żywo — za wieście ten zwitek odemnie do magdeburskiego arcybiskupa. Dostojny ojciec wasz niech mu go prześle. Zda mi się, że opat chytry chce oszukać wszystkich, ale i ja mam wzrok bystry i czuły...

Niech Bóg szczęśliwie prowadził — dodał głośnie, żegnając ją krzyżem na drogę i odstąpił wnet, puszczając się ku zamkowi.

Orszak markgrafównej ruszył się wnet i dalej gościńcem pociągnął.

Ks. Petrek już był od wczoraj zabiegając, podsluchując, łapiąc poszlaki pewne doszedł do tego, iż poselstwa do Rzymu się domyslił. Wiedział, że jeden z Jaksów jest do boku posła przeznaczony. Choć opat tał przed nim i przed wszystkimi co przedsiębrał, miał on swoich donosicieli, a Niemcy ze dworu Ryksy i niektórzy z posługi króla tak samo jak on niemieckim panom służyli.

Niewidzialną siecią opasany był ten pan, który sam też starał się przebiegłością i złotem mieć zawsze wieści z nieprzyjacielskiego obozu.

W ks. pisarzu oprócz przywiązania do kościoła, którego sprawie służyć pragnął, prócz miłości dla cesarstwa, które za połączone nierozrwanym węzłem z Rzymem uważał, chęć pomszczenia się za rodzaj chłodnej wzgardy i nieufności, jaką mu okazywano, budziła się żywa. Zdało mu się, że opat ma go za ostatnie stworzenie, niegodne i niezdolne by mu coś ważniejszego zwierzone. Obrażona miłość własna pragnęła zemsty.

Zaraz po wyjściu wczorajszym od opata, ks. Petrek pobiegł się dowiadywać zrzęcznie o owych dwu mnichów przybyłych, którzy być mieli do Sieciechowa przeznaczeni. Znano go jako podręcznego pomocnika opata Arona, nie wszyscy więc usta przy nim trzymali zamknięte. Tegoż wieczora wiedział już, że dwaj benedyktyni nie przyjechali z zagranicy i do Sieciechowa nie zostali naznaczeni. Oba ściągnięci zostali z Tyńca, a jak mówiono, podróż jakąś mieli przed sobą. Nie wpadł na myśl dwu poselstw ks. Petrek, ale się jednego domyslił. Był go już prawie pewien, jak również, że jego do Magdeburga wysyłano dla zmylenia Niemców i zbijania ich z tropu.

Szczęście się dosyć przebiegłemu przyjacielowi cesarstwa, a umiał też każdą, najmniejszą zrzęczność wyzyskać. Tegoż ranka Andruszka miał polecony

wybór koni i przysposobienie się do podróży. Spotkał się z nim w podwórcach ks. pisarz i wnet czułością wielką, począł mu szczęścia, jakie go spotkało, winszować, unosząc się nad królową.

Andruszka przejęty jeszcze dobrocią królewską, szanując duchownego, widząc iż do dworu należał i opatowi służył, niebardzo się miał na ostrożności. Wiedział już, dokąd go wysłano i nakazaną miał tajemnicę, ale zachowywać jej tak ściśle względem ks. pisarza nie czuł się obowiązany.

— Konie rozpatrujcie — rzekł mu uśmiechając się porozumiewająco ks. Petrek. — Potrzeba je dobrać tak, aby długą, ciężką, niebezpieczną wyprawę mogły wytrzymać.

Oczywista dawał mu do zrozumienia, że on o wszystkim był uwiadomiony. Andruszka też nie wątpił o tem.

— Życieby dać gotów, aby miłościwemu panu jak najlepiej usłużyć — odezwał się.

— Niebezpieczna, trudna wyprawa... gorzej, niż przeciw jawnemu nieprzyjacielowi... — rzekł ksiądz wzdychając — na baczności się mieć będzie potrzeba od niespodzianych zasadzek!

Andruszka potwierdził to ruchem głowy.

— Kraj nieznany, ludzie obcy, a wielce przebiegli... Daj Boże podolać temu...

— To już nie moja rzecz — odezwał się Andruszka — ale tego, co lepiej znając wszystko, prowadzić będzie... Ja w obronie tylko i na posłudze mu stawać muszę.

— Mamli dać radę? — szepnął ks. Petrek dla lepszego badania. — Nie szukajcie manowców, nie schodźcie na małe drożyny, wielkim gościńcem najmniej się was będą spodziewać... i jechać najbezpieczniej. Powiedźcie to, ale od siebie, przewodnikowi... Nie domyślą się ludzie kto jesteście, widząc że się nie kryjecie z sobą.

— Rozumna rada! — potwierdził Andruszka.

— Ku południowi i w cieplejsze dążycie kraje—
z uśmiechem dodał w końcu Petrek — kożuchów
i opończy nie nabierajcie... ciężar to daremny...

Andruszka potwierdzając się uśmiechnął, a ks.
pisarz pewnym już będąc swojego, zbiegł natychmiast
do celi, na zrzynku ostrzeżenie napisał, woskową je
pieczęcią i sznurem opatrzył, wyszedł na miasto i od-
dał markgrafównie, aby je do arcybiskupa wysłano.

Na gościńcach więc większych, którymi jechać
doradzał, pewnym był rozstawienia pilnych straży
i pochwylenia królewskiego posła. Szczęściem je-
dnego tylko odgadywał, gdy w istocie dwu ich być
miało.

Rad z siebie, że kościolowi oddał i cesarstwu
posługę, przejęty radością, pobożny ks. pisarz wprost
potem udał się do tumu i pokłakłszy przed ołtarzem,
gorąco modlić się zaczął. Zdradzał on w dobrej wie-
rze, pewien że na swe zbawienie pracuje.

IV.

Coraz cieplejsze szły po sobie dni wiosenne.
Krolowa też często wychodziła ze dworem swoim, od-
bywając pobożne pielgrzymki do wystawionych woko-
licy krzyżów, które teraz zastępowały dawne bożyszcza
i słupy pogańskie.

Jeden z księży z tumu poprzedzał zwykle pobo-
żną niewiast gromadkę, śpiewając pieśni, które du-
chowni czescy pierwsi na swój język przekładali, a te
się łatwo spolszczyć dawały. Śpiewano i po czesku
nie czując zbyt dwu pokrewnych mów różnicy.

W kilka dni po wyjeździe Ody, tak samo wyszły

niewiasty wszystkie na pobożną przechadzkę. Kró-
lowa przodowała. W dworcu jej, jak zwykle wszyst-
ko stało otworem, okna poodłaniane były, drzwi
odemknięte choć żywa dusza w izbach się nie znaj-
dowała. Straży też w wewnętrznych dziedzińcach nie
stawiono.

W chwilę po wyjściu królowej, na jednym z pod-
wórców zjawiała się rozglądając ostrożnie Panicha.
Nie widząc nikogo, po cichu drzwi otwarła i zam-
knęła je za sobą. Oczyma śledziła wszystkie kąty,
krokiem wolnym, jakby bez celu posunęła się ku
oknom izb Emmildy, a gdy i tu nikt się nie pokazy-
wał, podeszła do nich blisko. Nie rychło ośmieliła
się głowę włożyć w otwór i wpatrzeć w pańskie ko-
mnaty. Ciekawość czy inna jaka myśl ją prowadziła?
zajętą się być zdała silnie i jakby przestraszona tem
co czyniła a szła jednak.

We wnętrzu było pusto. Od okna odstąpiwszy
powlokła się, obejrawszy kilka razy ku drzwiom, te
stały otworem. Mogła więc wniknąć, nikt jej nie wi-
dział. Wsunęła się po cichu i znikła. Dobra chwila
upłynęła, a z powrotem jej widać nie było...

Gdy nareszcie wyszła, blada, jakby pijana i wy-
straszona, musiała się o ścianę oprzeć na czas jakiś
by nie upaść, bo nogi trzęsły się pod nią. Oczyma
wodząc obłąkanemi, ręką wychudłą tarła czoło oblane
potem, jakby z niego myśl jakąś natrętną zetrzeć
chciała.

Po tem z przestachem nagłym odbiegła prędko
ku furcie, którą weszła, wysliznęła się nią i nie ode-
tchnęła aż na drugim podwórku, gdzie pod ścianą
upadła, na pół omdłona. Widocznie coś się z nią
stało nadzwyczajnego, bo twarz i postawa jej cała
zmieniły się strasznie. Targała się jakby chcąc i nie-
mogąc powstać, wreszcie płachtę zasunęła na oczy,
niby niechcąc by jej kto z twarzy wyczytał myśli
i tak pozostała skulona, uszpięta, póki ją głos Zyga
nie zbudził.

Karzeł stał nad nią i wykrzywił się dziwacznie.

— Stara ty czarownico—wołał—co ty tu ścianę królewską walasz ocierając się o nią... Jeżeli ci czas przyszedł zdychać, idź do psiarni...

Tym głosem obudzona Panicha podniosła nieco głowę, zasyczała jej coś w uszach, ale głosu rozeznąć nie było można.

— Upiłeś się gdzieś na podzamczu, śmiał się karzeł, a przyszedł tu piwo wydychać. Że cię też psy nie zjedzą.

Panicha ręką go odganiała, ale karzeł był złośliwy i sprawiało mu przyjemność dręczyć tych co mu się bronić nie mogli, jak osę opadł babę i brzęczał jej nad uchem.

— Żal ci znać twojej pani, do której chodziłaś czary dla niej sposobić. Pojechała, nie wróci. Trzeba się było zabrać z jej dworem, tamby ci lepiej było.

Zyg przechylił się, zęby wyszczerzając i zaczął cichym głosem.

— Ty co umiesz czarować—zawołał szydersko—toćbyś i mnie powinna jaką dziewczkę przyciągnąć, a to, od ilu lat jestem na dworze, żadna nawet niewolnica i chłopka, królewskiemu słudze się nie uśmiechnęła.

Panicha zaczęła wstawać, aby się od zjadliwego go karła uwolnić, lecz siły ją opuściły i opierając się oburącz na ziemi, zaledwie podnieść się potrafiła, gdy Zyg popchnął ją śmiejąc się i znowu padła przeklinając go, odgrazając się, nareszcie kij chwyciwszy, by mu się obronić. Zygowi tego tylko było potrzeba, i on też kij miał pod ręką, stanął z nim jak z mieczem do walki.

Gawiedź w drugim końcu dziedzińca stojąca, zbiegła się ze śmiechem, patrzeć na to osobliwe widowisko. Panicha nareszcie rzuciwszy kij, dźwignęła się z ziemi i klnąc Zygą, rzuciła do ucieczki. Karzeł i gawiedź gnali za nią i tak ze wrzawą wypędzili ją

z dziedzińca wśród powszechnego śmiechu. Psy obudzone hałasem, pognały za nią szarpiąc odzież i przyprowadzając niemal do szaleństwa.

Temu wypadkowi przypisywano, że nazajutrz Panicha była obłąkaną i w kruhcie kościelnej śpiewała, skakała, plotła tak od rzeczy, iż ją z zamku precz wygnąć kazano.

Miała ona przyjaciół na podzamczu i do nich się schroniła. Oddawna zwykła była u dalekich jakichś krewnych w ubogiej chacie Drapaczów nocować i składać swe lachmany. Tu, gdy teraz wpadła z rozczochranym włosiem, płachtami rozrzuconemi, jakby pijana, Drapacz o mało nie zamknął drzwi przed nią, tak się nastraszył. Wparła się siłą do lepianki wołając:

— Co to wy mnie nie znacie, ja królowej pani sługa? ja chodzić będę we złocie i szkarłatach. Nie wiecie nic. Będziemy mieli nową panią. Tej już nie długie panowanie. Co ja wiem, nie powiem. Weszłam do komnaty, nikogo nie było, com robiła? co komu do tego? co? Ze ściany mi jakaś twarz okropnemi oczyma zaświeciła... grożąc; albo ja się boję? Nie boję się. Mówiła przerywanemi słowami, a Drapacz ręce łamał, milczeć jej każąc i spać ją chcąc położyć. Nic to nie pomogło. Panicha po swojemu bredziła po nocy, a nazajutrz rano wstała z tym samym śmiechem i szałem.

Chciała się wyrwać z podzamcza i wniknąć na zamek znowu, lecz od wrot ją odpędzono i Drapaczowi nakazano surowo, aby zamknął ją i pilnował. Trzeciego dnia uspokoiła się nieco, nie wychodziła już ku grodowi, obawiając się chłosty, lecz bredziła zawsze jedno, o królowej nowej, o swej przyszłości, o oczach które na nią ze ściany patrzyły.

We dworze mało kto postrzegł nawet, że Panichy nie stało. Trzeciego dnia właśnie, gdy miano jednego z Jaksów wyprawiać, zrana rozeszła się wieść, że królowa Emnilda zachorowała.

Na całym zamku, w mieście, gdziekolwiek się

o tem dowiedziano, żal, boleść wielka i przestрах ogarnął ludzi, królowa bowiem była matką ubogich, orędowniczką wszystkich u króla, opiekunką biednych, co się do niej czasem z kończyn kraju ściągali. Nie odmawiała nigdy opieki nikomu, a król rzadko prośbę jej odrzucił.

Zdawna już na znużonej twarzy świętej niewiasty widać było jak jej życie ciążyło wielkiem brzemieniem, często mówiła, iż się czuła słabą i nieobiecowała sobie długiego wieku, nie spoczywała jednak i nie zamykała się u siebie. Codzień przychodziła zająć swe miejsce przy panu, trwała na nabożeństwie, karmiła swoich ubogich.

Dopiero dnia tego po raz pierwszy strwożyli się wszyscy, dowiadując, iż królowa leży i wynieść nie może. W przededniu wróciwszy z kościoła, Emnilda zażądała napoju, złoty jej kubek stał na stole, kazała sobie weń nalać wody, wypila ją i stawiając go, szepnęła, że wodą tego dnia dziwny jakiś smak miała.

W godzinę po tem śmami zaczęły jej zachodzić oczy, uczuła ból w głowie i musiała usiąść naprzód, potem się położyć. W nocy stan ten się pogorszył. Z cierpliwością wielką, boleści znosiła królowa, Bogu za nie dziękując.

Nazajutrz gdy nie wyszła do jadalni i Bolesław nawykły od lat wielu widzieć ją u boku swojego, nie zobaczył jej twarzy, co mu pokój i pociechę przynosiła, posłał zaraz niespokojny, a wnet i sam szedł do komnaty żony.

Zastał ją leżącą, bladą, z oczyma straszliwie jaśniejącemi jakimś życiem potężnem, w gorączce, z usty spalonemi, lecz przytomną i modlącą się. Rozmaite rady niewieście, któremi ją leczyć chciano, nie pomagały. Z każdą godziną stan się pogorszał.

Nie było naówczas lekarzy. Jedyńm co słynał szeroko, był biskup pragski, starzec sparaliżowany sam, którego rady zdala zasięgnąć nie było podobna, a jego przywieść, nie możliwa... Rzucono się więc

o pomoc do lekarza jedyne go w niebiesiech, który mógł skinieniem życie przywrócić i uleczyć chorobę. Po kościołach wszystkim nakazano nabożeństwa. Z temu przyniesiono relikwie świętych, rozesłano do klasztorów, aby uroczystemi modłami błagano Boga o zachowanie życia królowej.

Na królu widać było smutek tak wielki, jakiego od utraty Pragi niepamiętano. Milczący siedział posyłając się dowiadywać co chwila, obiecując ofiary szczodre duchowieństwu, jeśliby królowej zdrowie modlitwy jego przywróciły.

Dzień też i noc nie ustawały ofiary i pieśni w kościołach.

Królowa Emnilda, przy której łożu Ryksa zajęła miejsce, otoczona całym swym niewieścim dworem przywiązany do niej jak do matki—leżała cierpiąca, choć nie nie zdawało się zwiastować pogorszenia. Osłabłą była, skarżyła się na boleści, lecz uśmiechała do otaczających.

Dzień i dwa całe przeszły bez żadnej zmiany prawie—wstępowała więc nadzieja we wszystkich, iż się choroba sama przesili i królowa ocaloną zostanie.

Ona sama nie okazywała ani trwogi, ni zbytniej o życie troski.

Trzeciego dnia zażądała duchownego, spowiedzi i przygotowania na podróż wielką... Po tem zdala się już spokojniejszą i mniej cierpiącą, sen łagodny przyklnął jej powieki. Na dworze dziękowano już Bogu za ocalenie, które się pewnem zdawało.

Król ślubował złoty krzyż do Gniezna...

Lecz gdy się obudziła Emnilda, zażądawszy widzieć syna i wnuka, ledwie miała siłę pochylić się ku nim, aby ich ucałować.

— Nie trwóście się — mówiła — nie płaczcie. Godzina moja przychodzi, idę na lepszy świat, do najdobrotliwszego z ojców, pełnego łaski. Tu jestem już niepotrzebna, tam spoczynek mnie czeka i szczęśliwość.

We śnie widziałam anioła pańskiego, który mi zwiastował, że powołuje mnie ku sobie Ojciec niebieski.

I sługom nakazała się przybrać w białe szaty a potem po cichu modlić się zaczęła.

Plakali wszyscy... strach ogarnął znowu dwór. Przebyła jednak królowa i tę noc i dzień następny. Zaczęto się pocieszać nadzieją. — Zwolna uchodziło jakby wyczerpujące się życie, siły ubywały, nikły, ale uśmiech spokojny z ust jej nie znikał. Jak w jednej części wiernych choroba ta przestraszała obudzała i obawę o przyszłość, tak w drugich dziwne z nią rosły nadzieje. Bezprym, choć królowa Emnilda była dlań zawsze łaskawa i wielokroć ojca starała się dlań serce ukoić—uśmiechał się dziko na wiadomość o chorobie. Gheza musiał chodzić nieustannie na zwiady i przynosić mu wieści, które w podwórcach mógł pochwycić.

Tak samo niespokojnie wyglądał ks. Petrek końca choroby, którą zawczasu osądził śmiertelną. Było mu równie jak wszystkim przyjaciółom cesarstwa na rękę, doczekać zgonu królowej. Znali oni Bolesława i spodziewali się albo Odę, lub inną niemkę na dwór wprowadzić, a z nią tajemny wpływ Niemców ustalić, który miał przyszłość podkopać.

Ks. Petrek posługiwał się Harnem i innymi; powierzchniennie smętnego wielce udawał, przed opatem z uwielbieniem mówił o świątobliwej pani, lecz z niecierpliwością wyglądał jej zgonu.

Naprzemiany to radując się w duszy, to troskając, gdy wieści lepsze przychodziły, spędzał znaczną część dnia na czatach około dworu królowej, nie zwracając na siebie uwagi wśród tłumu, który go otaczał ciągle. Dzień i noc niemal całą stali uładowy ludzie u ścian spoglądając na wrota, cisnąc się, gdy komornika zobaczyli.

Ks. pisarz z innymi chodził na nabożeństwa błagalne i pokazywał się na nich jawnie, aby go tam wszyscy widzieli.

Dnie te w trwodze przebyte, wydały się wiekami...

Królowa gasła widocznie, a otaczający jej łożo ludzili się jeszcze nadzieją. Czasem orzeźwiona zdawała się silniejszą, przemówiła słów kilka, uśmiechnęła do Teodory Sieciechówny, przemówiła do Ryksy, zbłądła ręką pogłaskała wnuka, potem opadała senna, znużona i powieki jej zamykały się zsiniałe. Dzień jeden nie przyjmowała już pokarmu, zaledwie mogąc do ust spiekłych wziąć kroplę wody.

W nocy przebudzona, ujrawszy u stóp łoża Sieciechównę, skinęła na nią. Noc to była ostatnia...

— Teodoro moja—rzekła—czas się zbliża, nie ludźcie się i modlitwami nie wstrzymujcie duszy mojej. Jej się tak pragnie ulecieć na łono ojcowskie. Któż wie, czy doczekam rana. Idź—proszę, powiedz ojcu swojemu, że raz jeszcze chcę króla i pana pożegnać mego, niech przyjdzie ku mnie.

Zapłakana pobiegła Sieciechówna, zbudzono Bolesława, który natychmiast wieść się kazał do królowej. Zobaczywszy go, wysiłkiem ostatnim podniosła się Emnilda, ręce wyciągając ku niemu. Kazano się wszystkim oddalić, król padł na siedzenie.

— Panie mój—odezwała się silniejszym niż wprzód głosem królowa—panie mój, mnie Bóg powołuje, chciałam cię pożegnać i za lata strawione z tobą dziękować. Przed oczyma moimi widna jest przyszłość—niech ci Bóg da siły do dźwigania jej, bądź szczęśliwym! Nie zapominajcie o duszy mojej.

— Przyszłość widzisz?—zapytał król—powiedz mi ją?

— Nie wolno mi jej odkryć tobie, i ty—widzieć ją będziesz gdy przyjdzie godzina. Mężnym bądź. Pomnij tylko, że ta którą weźmiesz po mnie, ciebie pana mego winna być godną. Nie patrz na młodość, nie daj się uwieść wdziękowi, abys nieprzyjaciela nie posadził w domu twym u stołu twojego.

Umilkła królowa, nie rzekł też słowa Bolesław.

Przyszły mu na myśl lata przeżyte z córką Dobromirą, nie zamęczone niczem, pogodne — czyste, w ciągu których stokroć on potrzebował przebaczenia, a nigdy nie miał przebaczać powodu. Żal niezmierny ścisnął męskie serce jego — zdało mu się, że z tą niewiastą odchodzi szczęście, które mu jej modlitwy u Boga wyjednywały. Zbliżył się do niej, usta szeptały jeszcze modlitwę, lecz gdy całował raz ostatni, uczuł je jak lód zimnymi i rysy okryły się bladością śmiertelną. Z rękami na piersiach złożonemi, w których ścisnęła krzyż z tą na ustach modlitwą, przy pożegnaniu męża, cicho i spokojnie królowa Emnilda skonała.

Na krzyk dziki, który się wyrwał z ust króla, nadbiegł dwór cały i padł rozłzawiony u łóża widząc martwą królowę.

Sieciech natychmiast zbliżył się do pana, aby go od smutnego oderwać widoku. Wyprowadzano króla a z drugiej strony drzwiami wszystkiemi biegli ludzie z płaczem i jękiem do ciała. W mgnieniu oka rozeszła się po dworcu i dziedzińcach wieść straszna — królowa umarła! Emnilda nie żyje...

Była to chwila, gdy się dzień robić poczynął, ubodzy ludzie budzili się do pracy, gdy żałobny dzwon ozwał się tu na tumie i ks. Petrek porwał się ze snu. Zrozumiał on głos ten poranny i drgnął. W chwili już był odziany, na nogach i wybiegł ze swej izdebki. Ludzie zawodząc i płacząc, snuli się w dziedzińcach, tłum czarny widać było około dworca. — W powietrzu latały słowa „królowa umarła“.

Dziwny uśmiech skrzywił mu usta i w mgnieniu oka twarz przyobłókl żałobą.

Naprzeciwno niemu biegł Harno, nie od palatium pańskiego, ale z podzamcza; przestraszony jakby i nad miarę pomieszany. Księdza zobaczywszy nie mówiąc doń nic — poczał go ciągnąć nazad do jego mieszkania. Ks. Petrek mógł się łatwo domyśleć, iż coś innego mu niósł, niż wiadomość o zgonie, o którym już wszyscy wiedzieli.

— Ojciec mój — zawołał w progu. Byłem posłany na podzamcze przez Sieciecha, (pochwycił się za głowę) ojciec mój, com słyszał, co widziałem. Z chaty Drapacza wystawiwszy głowę rozczochną krzyczała Panicha, ta straszna baba co się do markgrafówny włóczyła, i krzyczała, że ona będzie nową królową... Oda... i że nie kto tylko ona, Panicha, wszystko to zrobiła.

Ks. Petrek rzucił się usta mu gniotąc ręką.

— Milcz przeklęty głupcze! — krzyknął — to obłąkana... sama nie wie co prawi. Milcz! chceszli być pewien głowy na karku. Nie śmiej mówić o tem nikomu. Idź, rozkaż Drapaczowi, by zabił okno, aby jej nie wypuszczał, by nikt nie śmiał tego powtarzać.

Chociaż wolą było zmarłej, ażeby pogrzeb jej odbył się tak, jakby w zakonie życie skończyła, choć kazała się pogrzebać w sukni mniszej, jako pokorna służebnica Chrystusowa, król o tem słuchać nie chciał... Bolesław nakazał, aby oddano cześć zwłokom królowej największą, ze wspaniałością je grzebiąc obok Mieszka, tam gdzie on sam też chciał spoczywać. Rycerstwo, panowie, duchowieństwo natychmiast zwołani zostali. Z Gniezna i Trzemeszna mieli przybyć kapłani, a mnogi lud i tak już gród oblegał.

Trzeciego dnia po zgonie odbył się więc z przepychem owych czasów niezmiernym, z jałmużnami i darami, z nabożeństwem uroczystem, pogrzeb pobożnej pani, za którym szło co żyło w mieście i okolicy.

Gdy nazajutrz potem rozplynęły się tłumy i powszednie życie wróciło w zamku nad Cybiną, choć jak zwykle nie brakło ludu na nim i gwaru, pustka którą po sobie zostawiła Emnilda, dała się czuć wszystkim. Młoda Ryksa równie pobożna, zajęta dziecięciem swem i mężem, żyjąca w zamknięciu mniej dostępna, nie mogła jej zastąpić. Królowi brakło tej towarzyski wiernej, której siedzenie pokryte czarnem suknem stało próżne.

Opat widząc go chmurnym i niepokieszonym,
Bracia Zmartwychwstańcy T. III.

starał się naprzód skłonić do zgodzenia się z wolą Bożą, potem odwrócić myśl jego od tej żaloby, przypominając mu dwa poselstwa, które wyprawione być miały. Oba one powstrzymane zostały z powodu choroby królowej.

Na wzmiankę o tem, król w istocie odżywiać się zdawał.

— Jaksowie oczekują i moi dwaj księża na pańskie rozkazy, odezwał się opat.

— Niech jadą — odparł król.

Naówczas opat obszernie poczał kreślić plan podróży i opowiadać, jakimi listy do Rzymu miał ich opatrzyć.

Listy te, przeciw zwyczajowi, nie ks. pisarz Petrek przysposabiał, ale benedyktyn, którego umyślnie dla sporządzenia ich sprowadzono do tumu, z kąd wcale nie wychodził.

Szło następnie o oznaczenie wagi złota, jakie z sobą dwa poselstwa zabrać miały. Bolesław oznaczył ją bardzo wysoką, lecz zabranie takiego skarbu dla wagi jego w podróży było prawie niepodobieństwem.

Wszystkie te szczegóły, o których musiał król mówić, myśl jego nieco oderwały od wspomnienia królowej. Dla tem pewniejszego omamienia księdza Petrka, którego się opat obawiał, kazał mu wygotować list do arcybiskupa nowy, polecający modlitwom jego duszę królowej, przy czem dar dla duchowieństwa u grobu św. Maurycyego miał być dołączony a razem prośba nagląca o pośrednictwo u cesarza w sprawie korony.

Tym listem jakby mocno zajęty opat spędził kilka godzin razem z ks. Petrkiem. Pisano go i przerabiano, przyczem i o wielkim żalu króla a smutku jego mowa była.

— Przewielebny ojczę—odezwał się ks. Petrek w końcu, wszystkim nam wiernym sługom miłościwego, wielkiego pana naszego idzie o utrzymanie go

w najdłuższe lata!... Niech mi więc będzie przebaczone, jeśli się odezwę w tej rzeczy.

Opat spojrzał ciekawie.

— Na smutek miłościwego pana nie ma ratunku innego, tylko tę światobliwą panią, nieodżałowaną pamięci królowę, zastąpić inną u boku jego niewiastą. Lepiej stokroć jest, aby świętym związkiem małżeńskim został z inną połączony, niżby miał pokątnej szukać pociechy w ladajakich miłostkach...

Opat Aron słuchać się zdawał z uwagą, nie przecząc wcale, czem ośmielony nieco ks. Petrek mówił dalej.

— Myśmy do poskramiania naszych namiętności nawykli... lecz królowie a rycerze hamować ich nie umieją... *Caro infirma*... królowej potrzeba...

— Nie rychło o tem mówić się będzie godziło, przerwał opat.

— Lecz potem zapóźno być może, gdy król zakosztuje swobody do której czasu swych wojen był nawykły—mówił pisarz. Im krótsze będzie wdowieństwo jego, tem dla duszy jego zbawienniejsze.

Tu zatrzymał się nieco i zawahawszy ciągnął dalej.

— Pomiędzy ludźmi we dworze mowa, iż za pobytu markgrafównej Ody, rzucił na nią miłościwy pan pożądliwym okiem... Niewiasta nieco płocha, dla dostojęstwa królewskiego młodośćby swą poświęciła chętnie... Ludzie mówią, że wcale nie patrzała krzywo na miłościwego pana...

— Samiście rzekli, że niewiasta płocha...—wtrącił opat.

— Lecz ustałaby płochosc w stadle małżeńskim — mówił ks. Petrek — a z kądże miłościwemu panu żonę weźmiemy, jeśli nie z pomiędzy chrześcijańskich rodów... niemieckich, z którymi połączenie wojnom też zapobiedz może...

— Rada wasza—odparł opat Aron—może być pożyteczną, chociaż wybór zdaje mi się niedobry... Król

towarzyski nowej zapragnie, a nikt mu jej nie może odmówić... bodaj jednak wybrał inną...

Uśmiechnął się ks. Petrek.

— Z tego co po dworze chodziło wnosząc — dodał — zda mi się, że inaczej nie zechce... a nie byłoby lepiej dla tego, kogo wezwie do swej rady, by mu to przyniósł właśnie, co ma na myśli?...

Rzuciwszy tak od niechcenia to, co chciał zdać na opata ks. pisarz, przez czas jakiś zajął się mocno aktem, który miał przysposabiać, potem, niby sobie coś przypomniawszy, rzucił trzcinę, którą pisał.

— Zapomniałem też donieść waszej przewielebności, jak to powinienem był z obowiązku — odezwał się — jakie tu niedorzeczne chodzą plotki... Wiem przecie z ust waszych i z własnego poselstwa, iż innych starań o koronę nie ma, tylko przez cesarza i arcybiskupa... a są płosi ludzie, co utrzymują, że wprost do Ojca świętego do Rzymu ma być poseł ztąd wyprawiony... Juściż, gdyby tak być miało, jabym coś o tem wiedział. Baśń jest sklecona lichem...

Opat posłyszawszy to, poruszył się niezmiernie, mimo mocy jaką miał nad sobą, zbladło mu lice i wybuchnął gniewem.

— Że ludzie plotą takie baśnie, nie dziwię się, ale dziwno mi, że mi je wy ojcie powtarzacie...

— Z obowiązku — rzekł zniżając głowę ks. Petrek. Wasza przewielebność o wszystkim musi być zawiadomioną. Niedorzeczność, plotki ja wiem najlepiej, com nieco po świecie bywał i znam moc cesarską, a czujność tych, co mu służą... Do Rzymu się dostać ztąd... gdyby nawet stokroć się przebrał ktoś, nie potrafi... ani ja, co znam drogi i ludzi, ważyłbym się sam, anibym radził komu... Szedłby na zgubę pewną...

W oczy spojrzał opatowi mówiąc ks. Petrek, lecz już Aron uspokojony przybrał szyderski wyraz twarzy.

— Zaprawdę — odezwał się — baśń godna tych próżniaków, co na dworze nie mając się czem zaba-

wiać, z palca sobie wykręcają niebywałe rzeczy... Mój ojcie, ani słuchać tego, ani na to zwracać uwagę... I ja nieraz słyszę, czemu gdybym chciał dać ucha, przyszedłoby zwać o ludziach i co gorzej, o stanie naszym kapłańskim. Alboż myślicie, że we mnie nie usiłowano wmówić, iż wy, którzy jesteście prawą ręką moją, służycie arcybiskupowi magdeburgskiemu i cesarzowi, a na dwór ich donosicie, co się u nas mówi i dzieje.

Ks. Petrek siedzący nad pulpitem zatrzęsł się cały; głowa jego spuszczone nad pergaminem nierychło się podniosła i głos dobył się z ust, aż gdy ochłonął.

— Niepocziwa to potwarz — rzekł cicho i drżaco — niegodna, by mówić o niej...

Opat się podniósł z siedzenia.

— To też — odparł spokojnie — widzicie, że o niej nigdy wam nie wspomniałem, choć oddawna mnie nią karmiono, ani się zmniejszyła dla was ufność moja...

W milczeniu posunął się pisarz szybko do ucałowania ręki opata, który z postawą pewną siebie i dumną niemal wyszedł z izby.

Pisarz odprowadziwszy go do progu z pokorą, wrócił chwiejącym się krokiem. Za progiem zaraz stanął nieruchomy, osłupiały, jak wryty i z oczyma w ziemię wlepionymi długo, długo, zapominając o wszystkim, co go ota zało, pozostał.

Słowa opata Arona jak rozpalone iskry latały mu po głowie. Był więc zdradzonym, odgadniętym, on co sądził, że schwytanym być nie może i jest bezpiecznym.

Co miał radzić na to, niewiedział sam. Z głową w dłonie ujętą poszedł do stołu, zapatrzył się w pergamin, odepchnął pulpit i padł na swe siedzenie.

— Kto mnie mógł zdradzić?... — pytał ciągle. — Więc chytry ten wąż i tam ma swoich, co mu donoszą, co szli za mną, co podsłuchiwali?...

Strwożony trząść się zaczął jak w febrze.

— Jeżeli opat słyszał o tem... król wie... a król... rzucić może do ciemnicy... zesłać do benedyktynów, którzy mnie zamkną, jak więźnia na wieki... Uciekać!... jak i dokąd?... Niepodobieństwo!..

Męczeństwo, na które mógł być skazany, pomimo gorliwości dla sprawy kościoła, przerażało go. Nie był na nie przygotowany. W myślach powstał zamęt niewysłowny i wreszcie ks. Petrek, nie umiając go pokonać, padł na kolana do modlitwy, szukając w niej ratunku.

Ale i modlić się nie umiał. Usta powtarzały wyrazy, myśl biegła gdzieindziej. Przypomniawszy sobie iż pisma arcybiskupie miał w izbie, że je u niego znaleźć było łatwo, teraz, gdy go już miano w podejrzeniu. Skończywszy więc krótką i roztargnioną modlitwę, wstał, drzwi zaryglował i zajął się wyszukiwaniem kartek, które natychmiast chciał zniszczyć.

I w tem trudność była wielka, bo spalenie ich mogło być dostrzeżone, a skóra niełatwo się pali. Postanowił je więc zakopać gdzieś w miejscu bezpiecznym. Coprędzej zebrawszy zwitki, wysunął się ostrożnie na podwórze i wyszedł krokiem szybkim za okopy. Tu wszędzie było ludu tak wiele, iż w pobliżu miasta nie mógł zrobić nic, musiał wniknąć w las, gdzie jak mu się zdawało, nikt go już postrzedz nie mógł. Pod starego dębu korzeniami naprędcę wykopawszy dołek ks. Petrek wrzucił co przyniósł z sobą, zasypał ziemią, zakrył liśćmi, udeptał nogami i lżej odetchnął, gdy się ta czynność szczęśliwie dokonała. Obejrzał się jeszcze dokoła, nie było nikogo, żadna gałązka się nie poruszała, las i okolica milczały.

Spokojniejszy wziął za kij wracając ku miastu powoli, zaczawszy się modlić nanowo. Zbierał myśli, aby coś postanowić na przyszłość. Co miał czynić? Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, której żadnego dowodu nie miano. Ktoś go zapewne z pogłoszek na dworze magdeburskim pochwyconych mógł oskarżyć, ale gołe słowa łatwo było odeprzeć. Opat

Aron prawdopodobnie może im nawet nie wierzył. Ks. Petrek chciałby był móżdżek zajrzeć w jego duszę? lecz czuł, że to jest niepodobieństwem. Ze wszystkiego jednak wypadło mu pozostać na dawnym stanowisku, starać się nanowo obudzić zaufanie i, służyć jak dawniej sprawie kościoła i cesarstwa. Postanowił być ostrożniejszym, ale niemniej gorliwym. Cierpliwość i pokora były jeszcze najlepszym lekarstwem na podejrzenia.

W tych myślach zbliżył się ks. Petrek do miasta. Uszło baczno oka jego w chwili przestrachu, jaki zrazu go ogarnął, iż przy zakopywaniu zwitków p. rgaminowych miał świadków.

Traf chciał, że się dwaj Jaksowie przed rozstaniem swem chcieli na osobności rozmówić po bratersku. Wyszli więc godziną wprzód do lasu i położyli się na ledwie oschłej ziemi nieopodal od miejsca, w którym stał dąb stary... Szelest nadchodzącego śpiesznie pisarza zwrócił ich uwagę, zamilkli i byli mimowolnymi świadkami zakopywania jakiegoś, jak się im zdawało, skarbu. Zaraz po odejściu ks. Petrika którego mało co znali, Andruszka zaczął się śmiać z nieostrożności księdza i wniósł, żeby go nauczyć większej baczności w ważnej sprawie. Śmiejąc się poszli na miejsce, które dobrze widzieli i poczawszy grzebać, dobyli z łatwością ukryte zwitki. Zdziwiło ich to, dlaczego ksiądz potrzebował tać się z niemi.

— Nieczysta to rzecz — rzekł Andruszka — a może właśnie Pan Bog chciał, byśmy jaką zdradę niebezpieczną odkryli. Czytać z nas nikt nie umie... idźmy do opata...

Opat Aron znajdował się w tumie; gdy ich zobaczył nadchodzących, sądząc, że coś o podróży mówić mu mają, począł od tego aby spokojni byli i oczekiwali na rozkazy.

— My tu nie z tem przychodzimy — odezwał się Andruszka, ale ze śmieszną sprawą, która może ma jaką wagę.

I począł opowiadać jak się rzecz miała. Na twarzy Arona odmalowała się radość i zdziwienie, sięgnął po zwitki chciwie i pocałował w głowę Andruszkę.

— Istotnie — rzekł rzucając oczyma na kartki — oddaliście królowi przysługę... choć wypadkiem. Proszę was, milczcie o tem.

Sklonili się Jaksowie.

— Ks. Petrka mimo że oddawna wiem, iż nas zdradza, dlatego trzymam właśnie, aby go innym nie zastąpiono. Zle by było, gdyby się czegoś domyślał. Nie mówcie nic... i nikomu...

Gdy opat z pomocą z drugiej celi przywołanego mnicha zabierał się do czytania, Jaksowie wyszli uradowani.

Ks. Petrek wróciwszy do swej celi, choć znacznie w duchu uspokojony, niemniej jeszcze z myślami gorączkowemi całą noc przepędził. We śnie zdało mu się, że zakopane nieostrożnie zwitki ktoś dobył z ziemi. Obudził się w potach zimnych, ogarnęła go trwoga, bo naówczas i długo potem jeszcze w sny wierzono. Jak świt więc pędzony niepokojem pobiegł w las w zamiarze wydobywania pergaminów i ukrycia ich bezpieczniejszego gdzieindziej.

Jakiż go przestrach ogarnął, gdy ujrzał już zdala rozrzuconą ziemię i próżny dołek. Błady upadł u stóp dębu, prawie utraciwszy przytomność. Ktoś musiał więc go podpatrzyć, dobyć i zanieść do grodu te świadectwa zdrady, które były dlań wyrokiem potępienia.

Nie mogąc długo przyjść do siebie, siedział ks. pisarz na ziemi, z oczyma osłupiałemi, sam już nie wiedząc co poczynąć. To co dla bezpieczeństwa uczynił, zgubiło go, albo zgubić mogło co chwila. Na zwitkach stało jego nazwisko... wyrzec ich było nie podobieństwem.

Prawie do południa przesiedziawszy tu, w ostatku uciekł się ks. Petrek do modlitwy i drżący, od-

mawiając co za najskuteczniejsze uważał, machinalnie się powlókł na zamek, gdyż ucieczka była niepodobieństwem bez przygotowania. Gotów już był na nieuchronne męczeństwo. Jednakże wróciwszy do drzwi swej celi, znalazł u nich wiadomość tylko, że go do opata wzywano. Poszedł do niego natychmiast. Ani z twarzy ni z mowy nie mógł się wcale domyśleć, aby tajemnica jego odkryta została. Opat Aron żądał spisania jakiegoś nadania nowego, które król czynił dla Sieciechowa. Gorliwie się wziął do niego ks. pisarz i nieco uspokojony wrócił do celi, aby tam wykalfografować akt, który mu spisać polecono.

Podróż do Magdeburga od dnia do dnia odkładana, zaniechaną została, ks. Petrek został ze swą trwogą na dawnym stanowisku.

V.

Dni kilka upłynęło bez żadnej na królewskim dworze zmiany. Większe tu jednak teraz panowało życie, ruch dawny powrócił z Jaksami i ich powinowatemi, którzy się znowu do króla garnęli. Starzy towarzysze bojowi dopomagali Bolesławowi do znoszenia smutku i ożywiali nieco pustkę, którą po sobie zostawiła Emnilda.

Ks. Petrek widząc, że się w obejściu z nim nie zmieniło nic, nabrał jakiejś otuchy.

Uchwalono pierwszego wysłać Andruszkę z ojcem Romualdem benedyktyńcem i kilku czeladzi dobranej między wiernymi królowi Niemcami. Pozorem ich wyprawy być miało poselstwo do cesarza. O Romuald mający prowadzić tę gromadkę znał dobrze

kraje, które miał przebywać, i o ile się to skutecznie dało, zamierzał jechać od klasztoru do klasztoru, spoczywając u swej braci i uniej zasięgając wiadomości o bezpieczeństwie gościńców. Andruszka powierzona miał straż i obronę, zwierzchnią władzę nad czeladzią i pilnowanie złota, które wieziono w podarku dla papieża.

Chociaż wszystkie środki bezpieczeństwa obmyślane były jak najbaczniej, a opat Aron byстрыm umysłem przewidywał, co i gdzie się stać mogło, nie tająono przed sobą, że tej wyprawie groziło pojmanie, niewola, przeprawa ciężka... Z rezygnacją zakonnika i spokojem podwładnego, spełniającego rozkazy przełożonych jechał o. Romuald, Andruszka gotował się choćby na śmierć. Ostrożność w grodzie była tak wielka, iż dla niezwrócenia uwagi pojedynczo wyprawiono ludzi należących do poczty i kazano im się zebrać na oddalonym stanowisku. Aż do granicy niewidzialna straż prowadzić miała jadących i dopiero przebywszy Łużyce, opuścić ich za Labą. Tu grozić mogło niebezpieczeństwo od włóczących się gromad wendów, dotąd niezupełnie poskromionych. Przejazd jednak do sąsiedniej Marchii, bez żadnego wypadku, napelniał ks. Romualda otuchą. Na ostatnim noclegu wszyscy przywdzieli suknie i wzięli oręż taki, jaki był między Niemcami najpowszedniej używany. A że z języka rozpoznać było trudno różne plemiona słowian, dalej opowiadać się mieli jako czesi w poselstwie do cesarza wyprawieni. O. Romualdowi przykładem było, iż został zmuszony do fałszywego o sobie świadectwa, lecz przełożony go rozgrzeszył i rozkazów jego słuchać musiał. Od granicy do pierwszego opactwa, w którymby bezpiecznie stanąć mogli, dosyć było daleko. Kołowano więc tak, aby jak najmniej z ludźmi się spotykać, a noce spędzać w zaroślach i miejscach pustych.

Nie był ten kraj jeszcze tak zamieszkanym ani tak ludnym, jak się stał później, zawsze jednak ude-

rzała podróży odmienna cała postać jego, zdala widne gródki, wieże, osady i kościoły liczne. Starano się omijać najznacześniejsze miasta.

Podróżni już się byli dostali szczęśliwie do Magdeburga i posuwali się dalej, gdzie się coraz bezpieczniejszymi być sądzili, gdy jednego wieczora znaleźli się nad sporą rzeczką wiosennymi wodami wezbraną.

Dla podróży był tu przygotowany prom, stojący u drugiego właśnie brzegu. Niedaleko tego przewozu widać było na wzgórzu, oblanem wodą, znaczny zameczek z wieżą okrągłą i mnogimi budynkami. Gościniec szedł pod samą górą.

Andruszce zdawało się, mimo nadchodzącego mroku, iż na brzegu przeciwnym dojrzał kupkę jezdnych ludzi. Wskazał ją zaraz o. Romualdowi, ale ten uspokojony już, nie widział w niej nic, coby ich zastraszać mogło. Gdy na zawołanie ruszył prom, aby ich przewieźć uderzyło i to Jakse, iż jedni się nań nie zabrali, a więc jakby na czatach tam stać musieli. Benedyktyn zaś utrzymywał, iż właśnie spoczywali może po przewozie.

Dosyć długo dla rozlanych wód czekać musieli na przewoźników, którzy wpatrując się pilnie w gromadkę, przybili i milcząc zabrali ich na pokład lichozbity, a zaledwie mogący pomieścić ludzi i konie.

Andruszka, który na wszystko miał oko, niepokojnym był widząc, jak bacznie się im przypatrywano, owa kupka ludzi na przeciwnym brzegu wcale nie ustępowała. Na pół rzeki już mogli dojrzeć, że to byli uzbrojeni pacholki, którym na przodzie stojący, okazańszy wąsal, zarosły czarno, dowodził.

Stał on twarzą zwrócony ku promowi i bacznie się zbliżającym przypatrywał. Nic już nie mówiąc o. Romualdowi, Jaksa sposobił się do obrony i ludziom oczyma dał znak, aby się na baczności mieli.

Gdy prom już się zbliżał do lądu, pacholkiwie stojący u brzegu, na skinienie dowodzącego, kołem obstąpili miejsce, do którego przybić miano.

O. Romuald zaręczał, iż to nie innego nie znać, nad okup od przewozu i przejazdu, który wszyscy naówczas właściciele zamków na swoich ziemiach, często z największą uciążliwością podróży, lub i z napaścią na nich rozbójniczą, pobierali. Puszczono księdza naprzód, którego suknia duchowna najlepszą była obroną.

W chwili gdy koń jego na ląd stąpił, dowódzca gromadki kazał się jadącym zatrzymać. Dostępnie hałaśliwie i butno pytał począł wpatrując się w ludzi, co byli za jedni, z kąd i dokąd jechali. Naówczas o. Romuald spokojnie odpowiedział mu, iż od czeskiego króla jechali z listami do cesarza, a za prawo przewozu i przejazdu zapłacą co potrzeba.

Dowódzca pokręcił głową.

— Dużo się — zawołał — włości takich ludzi po świecie, co się opowiadają od królów, a jeżdżą, aby kupczyć, ludzi oszukiwać, a drugim chleb odbierać... Mnie wy nie oszukacie... Okazać trzeba listy i pieczęcie... Na burg pojedziecie!..

Oparł się benedyktyn okazując suknię swą duchowną.

— Albo to lotry i sukni cudzej nie mogą włożyć! — zawołał krzykliwie dowódzca. — Na burg! tam się rozprawimy...

Tuż po nad ich głowami prawie wznosiła się góra, na której stał zameczek. Zdała we wrotach jego widać było wypatrującą skinienia ludzi gromadę; więc choćby Andruszka ze swojemi przebił się przez tych, co mu drogę zastępowali, niepodobieństwem było zbiedz od licznej pogoni. Musiano się więc zgodzić na wrócenie do burgu, a tuż i pacholkiwie dokoła ich obstąpili. Ładowne jukami konie zwracały łakome ich oczy, dowódzca się uśmiechał i pędził, ludzie szydersko patrzali na schwytanych, Benedyktyn jednak

nie stracił nadziei, że się na burgu rozmówić, okupić i uwolnić potrafi.

W milczeniu jechali ku górze kamienistą drogą. Widać było na niej mnogą kupę ludu zbrojnego, która we wrotach pierwszych oczekiwała. Andruszka, który nawet miecza w obronie dobyć nie mógł, żył się jadąc z przeczuciem smutnem.

Zwlekli się tak do pierwszej bramy, a dowódzca kazał im jechać wprost na drugi podwórzec. Ten otoczony dokoła murami i obszerny bardzo. Zameczek wyglądał pusto i miał na sobie znaki niedawnej pogorzełości, po której go polatano. Zaledwie się tu znaleźli, gdy we drzwiach ukazał się silnej budowy mężczyzna w kaftanie skórzanym, który wprost podszedł do księdza. Ze śmiałego jego obejścia się i postawy poznać w nim było można pana domu.

Nie mówiąc nic, naprzód koniom, ludziom, jukom, księdzu bacznie się przypatrywać począł, obchodząc dokoła. Szczególną uwagę zwracać się zdawał na konie, ludzi jakby na później zostawiając.

O. Romuald po raz kilka zaczynał doń mówić napróżno, zdawał się nie słuchać czy nie słyszeć; z największą bacznością rozpatrzywszy się w całym orszaku, graf poszedł do benedyktyna z brwią namarszczoną i spojrzał mu w oczy.

Mnich począł mówić, tłumacząc mu z kąd i za czem jechali.

Nie przerywając, wysłuchał go, uśmiechając się tylko pan domu. Na twarzy jego malowała się radość coraz wzrastająca. Gdy o. Romuald skończył, rozśmiał się głośno i uderzył go po ręce.

— Co to za mowa!.. — zakrzyknął — Mnichowi jeżeli nim istotnie jesteście, kłamać się nie godzi... Jam was poznał po koniach! My tu was już czekamy dawno... Wiem ja lepiej z kąd jedziecie i dokąd... Posłani jesteście od Bolka polańskiego, aby mu mimo cesarza koronę kupić w Rzymie... O was już na wszyst-

kich wiedzą drogach i czatują.. A mnie się szczęśliwie udało łakomą tę zdobycz zagarnąć...

Ksiądz chciał mówić.

— Z koni!—krzyknął graf. — Wziąć ich... loszek mam już przysposobiony. Spodziewam się, że z próżnemi nie jechaliście rękami, a mnie właśnie tego potrzeba... po spaleniznie na odbudowanie...

Andruszka chciał się bronić, czterech go ludzi chwyciło i ściągnęło z konia, miecz wyrwano z ręki. Toż stało się z innymi w mgnieniu oka. Nie uszedł od zniewagi i ksiądz. Ogromna kupa wtłoczyła się w podwórcę i już pochwyconych odzierali jedni, drudzy z koni odwiązywali juki. Graf stojąc śmiał się uradowany.

Listy przeznaczone do Rzymu miał o Romuald wszyte w kapturze, a że mu jako duchownemu, suknię zostawiono, te więc ocalały. Choć dowodu innego nie było nad poznanie koni i w jukach pochowane szaty i uzbrojenie, starczyło to grafowi. Ciężar worów skurczanych, w których było bryłami po części umieszczone złoto, naprzód na nie zwrócił oczy, znalezione skarby, powitane radosnym okrzykiem, dowiodły grafowi, że się nie omylił.

Bądź co bądź, gdyby nawet niewinnych napadł i ograbił, łup tak znaczny wart był, aby się wazyć na wszystko. Na widok złota zawrzało w całym zamku niesłychaną radością. Z górnych okien wyglądające niewiasty w białych czepecach i obcisłych sukniach długich zaczęły zbiegać na dół zaciękawione, lecz graf je groźnem słowem precz odpędził i znikły.

Więźniów ani słuchając, ani patrząc kazano wiązać i do lochu prowadzić. Pędzono ich popychając i bijąc, a dziedzińce po za niemi rozlegały się szyderskimi krzykami.

Andruszce krwawe niemal łzy z gniewu z oczu się sączyły. Gdyby nie zbyt ufny benedyktyn, byłby prom ze środka rzeki zawrócił, rozbił go i przy mroku

wieczornym uszedł może. Tak mówił sobie w duchu. Lecz narzekanie było próżnem...

Rozdzielonych na dwie kupki wpędzono ich szyją do głębokiego podziemia i zaryglowawszy je bezpiecznie, ludzie do łupów wrócili.

O. Romuald ukląkł się modlić. Andruszka włosy rwał z głowy.

Graf Zeno siedzący na burgu był arcybiskupa magdeburskiego lennikiem; po krótkiej więc naradzie ze swymi przybocznymi, natychmiast ubezpieczwszy zabrane złoto, siadł na koń, aby panu swemu, wesolą zanieść nowinę.

Gdy nazajutrz rano dowiedziano się u arcybiskupa o pochwyceńiu polskich posłów, radość była wielka... Zrodził się jednak spór wkrótce o zabrane złoto, do którego całej ilości chciwy graf się nie przyznał, a wszystko za własność swą uważał. Arcybiskup, co najmniej, połowy żądał i posłał z groźbą do grafa.

Zatarg się z tego wywiązał tak żywy, z obu stron tak uparty, iż końca nie było można przewidzieć.

Zagrożony uwięzieniem graf, którego ostrzeżono zawczasu, nie widząc się z arcybiskupem, natychmiast uszedł do swojego burgu, na którym w ostatnim razie bronić się nawet był gotów.

Arcybiskup i doradcy jego nie bez przyczyny domyślali się, iż znany z hojności Bolesław, znaczne bardzo dary wysłać musiał do Rzymu. Dopominano się ich od wassala, jako własności arcybiskupa, który strażę te i czaty kazał postawić. Radość z wypadku zmieniła się w gniew i niepokój.

Graf Zeno przysięgał, że nie da pruszyńny pochwyconego złota, które mu za przysługę cesarstwu wyświadczoną należało. Gniewny i rozsierdzony powrócił do zamku, kazał na wszelki wypadek postawić strażę i do obrony się gotować.

W radzie zaś arcybiskupiej, posadzając grafa o łup znaczny, postanowiono naprzód dojść, ile to grzywien

złota wieźli posłowie. Zadanie było trudne dosyć, lecz wysłańców zręcznych miano zawsze pod ręką. Uradzono wyprawić do ks. Petrka z zapytaniem o objaśnienie, i to nie zwlekając chwili. Suknia duchowna była najlepszym do Polski listem bezpieczeństwa. Braciszek Makary, z ustnem poleceniem wyruszył do Poznania. Celem podróży miał być pokłon u grobu męczennika w Gnieźnie.

W kilkanaście dni po wysłaniu Andruszki, gdy opat Aron właśnie, zbierał innemi drogami drugie poselstwo wyprawić, do celi ks. Petrka o zmroku zapukał brat Makary.

Ciągle ścigany myślą niebezpieczeństwa własnego przestraszył się ujrawszy go przed sobą ks. pisarz. Oniemiał prawie w pierwszej chwili. Nierychło rozpoczęły się szeptu potajemne. W godzinę potem posel arcybiskupi przeprowadzony przez Harnę na podzamcze szedł nocować, a ks. Petrek namyśliwszy się długo i bacznie, przeżegnawszy krokiem śmiałym zmierzał do tumu, gdzie się spodziewał zastać opata. Zdało mu się, iż nastęczyła się zręczność pozyskania zaufania, jeżeli ono było zachwiane.

Widząc go wchodzącego, z twarzą wesolą, jak nigdy i niemal tryumfującą, opat Aron, który miał u siebie dwu ojców świeżo przybyłych z Francyi i przygotował ich do wielkiego posłannictwa, jakie w tym kraju spełniać mieli, zobaczywszy ks. Petrka natychmiast ich pożegnał. Z twarzy jego widział już że darmo nie przychodzi.

— Wasza przewielebność — odezwał się pisarz osłaniając się pokorą — rzuciłeś raz słowo, które mi serce przebiło... Mam tu nieprzyjaciół, co mnie czernią. Bóg łaskaw, że mi daje zręczność dowieść, jak szczerze służę panu mojemu.. Złą wiadomość przynoszę, ale zła lepsza niż żadna, gdy o takiej wagi rzecz idzie...

Opat zmilczał.

— Mnich wędrowny z za Magdeburga był dziś

u mnie—mówił dalej ks. Petrek. — Staralem się go wybadać. Utrzymuje on, iż graf Zeno mnicha i kupkę ludzi pochwylił wysłanych jakoby z Poznania do Rzymu...

Spojrzał na opata Arona, który poblądł i drgnął widocznie.

— Zrodził się, jak on powiada, spór pomiędzy wassalem a panem o znaczny łup przy posłach pochwycony, którego ceny nie chce powiedzieć graf Zeno...

Aron się namyślał co powiedzieć i westchnawszy, spokojnie już rzekł:

— Byłem przeciwnym wyprawianiu wszelkich posłów, znając i wiedząc, jak tam na nich czatować będą, lecz woli króla oprzeć się nie mogłem. Nie moja to było sprawa... król pan nasz miłościwy raz chociażby, próbę chciał uczynić... Stało się co Bóg przeznaczył... niech będzie pochwalone imię jego...

A po małym przestanku dodał opat.

— Gdzież jest mnich ten?...

— Spiesznie powędrował do Gniezna, zatrzymać go nie było podobieństwa...

Nastąpiło milczenie, ks. Petrek stał domagając się choć słowa.

Opat mu chłodno podziękował.

Powtórzywszy zapewnienie o swej wierności i gorliwości, pisarz zabierał się już niby do odejścia, ale wprzód spróbował jeszcze, ażali mu się nie uda dowiedzieć, jak znaczną była zdobycz schwytana. Wtrącił więc ubolewanie nad poniesioną przez króla stratą, pytając się jak była wielką.

— Stało się to — odpowiedział opat—bez woli mojej i prawie bez wiedzy... Król sam wyznaczył co wieść mieli... Zapewne podarek przeznaczony dla Ojca świętego znacznym być musiał, gdy u stóp jego miał być złożony...

Dwoma westchnieniami zakończyła się rozmowa. Zaledwie drzwi za ks. Petrką się zamknęły, gdy

Bracia Zmartwychwstańcy T. III.

opat zawołał braciszka, który przy nim był zawsze i do Jurgę go wyprawił. Chwila ta zdała mu się najsposobniejszą do wysłania wnet drugiego poselstwa, którego się ani w Magdeburgu, ni gdziekolwiekbądź spodziewano.

Przygotowanym był Bolesław i doradzca jego do straty i niepowodzenia, a gdyby i trzech posłów mieli po drodze Niemcy obedrzeć, król postanowił słać ich póty, dopóki ktoś szczęśliwy do Rzymu się nie dostanie i korony poświęconej mu nie przywiezie.

Jurga z towarzyszem swym duchownym czekał tylko na rozkazy. Jak brat tak on gotowym był na to, co go spotkać miało, chociaż do życia wiązała go piękna Teodora i przyrzeczenie jej ojca, że za powrotem do ślubu stanąć mają. Zbudzono go nocą, nie dając mu ani się żegnać, ani dać znać o sobie, i w godzin kilka po doniesieniu ks. Petrka, już orszak drugi wyruszył furtą do tumu, na niebezpieczną wyprawę.

Następnego poranku, gdy w jadalnej pełnej jak zawsze gości i panów, Bolesława oko nie dojrzało młodszego Jaksy, domyślił się łatwo, iż opat musiał go wysłać za bratem.

Sieciechówna także, nawykła do pozdrowienia zdaleka, zadrzała nie widząc go, lecz pytać nawet nie śmiała. Szepnęła tylko ojcu, że Jurgi nie było.

Ku końcowi uczty, przy której król siedział posępny, pijąc tylko, aby utopić swój smutek, zbliżył się opat do niego.

— Wyprawiliście Jakse? — zapytał Bolesław cicho.

Skinieniem głowy potwierdził Aron.

— Nie ma wieści o pierwszym?

Nie doczekawszy się odpowiedzi król spojrzał. Opat oczy miał spuszczone, stał dziwnie zachmurzony. Latwo było odgadnąć, że mówić nie chciał, bo dobrego nic nie przynosił. Bolesław nie spytał więcej.

Tego dnia gościł na dworze niezwykle przybysz.

Był to powinowaty jakiś króla, a raczej do połączenia z nim przynajęjący się Niemiec, zrodzony z drugiego Ody Mieczysławowej małżeństwa. Stosunek ten z Bolesławem czasem go zbliżał do niego, niekiedy jednak nie przeszkadzał do zatargów i napaści. Chwilowo zgoda panowała pomiędzy Guncelinem a królem.

Z małym orszakiem przybył król w gościnę, wysłany na zwiady, choć się tylko do przyjaźni przyznawał i z drużbą przechwalał. Bolesław go przyjmował pańsko, obdarzał po cesarsku, lecz w przyjaźni i szczerości nie wierzył...

Samo przybycie Guncelina dawało się domyśleć, że Niemcy knuć coś musieli. Tak było w istocie, lecz tym razem nie szło im o wojnę, której prowadzić nie myśleli, doświadczywszy oręża Bolesławowskiego. Dowiedziano się o zgonie Emnildy, wchodziło w rachubę sąsiadów, aby królowi z Niemiec wyswatać małżonkę i wpływ swój zwiększyć na dworze. Na rękę im było, aby dwojake potomstwo jeszcze się trzeciem zwiększyło, by po zgonie ojca, więcej się dzieci o spadek waśniło. Szczęśliwe narzucenie Ody, pierwszej, danej Mieszkowi, kazało drugą podobną Bolesława obdarzyć. Guncelin nie mówiąc nic, jechał tu potajemnym swatem. Oda markgrafówna gotową była zająć opróżnione miejsce Emnildy.

Na ten związek czychali nieprzyjaciele Bolesławowi; był im koniecznym a łatwym się zdawał. Oda była piękną, zalotną, śmiałą, król bohater starzał, przewidywano, że na słabnącym miała łatwą uzyskać przewagę.

Znając króla, nie wątpiono, iż za nową żoną wkrótce tęsknić będzie,

Chociaż się i na polach bitwy spotykali z Guncelinem, pod dachem króla był to gość, którego przyjmowano z wystawą i ochoczo, starając go się ucześć i rozerwać.

Król też zarazem trochę smutku zbywał się, zmuszonym będąc do wesela zachęcać.

Czas schodził wedle obyczaju, na ucztach, na łowach, gonitwach w podwórcu i przy dzbanach, które ciągle pełne stały. Guncelin, wojak w polu, z miodem też prowadził walkę zwyciężką, i nieodpychał kubka o żadnej dnia porze. Baczny był, pomimo to, na wszystko co się koło niego działo, na słowo każde, ruch i zmarszczenie brwi tego, którego poufale bratem nazywał.

Rad mu był król, jak wszystkim gościom swym, a szczególnie Niemcom, przed którymi lubił okazywać możność swą i siłę. Kazał wyjeżdżać strojnym pocztom swoim, każdy w inną barwę przyodzianym, pancernikom, których żelazne łuski na słońcu błyszczały, tarczownikom biegającym zręcznie z oszczepami i toporami, dworowi występować w szatach bogatych, niewiastom odzianym w złoto i drogą tkaninę. Guncelin spoglądał na to okiem zazdrosnem, ale się od podziwu wstrzymać nie mógł.

— Cesarz Otto — rzekł mu raz Bolesław gdy siedzieli sami — cesarz Otto błogosławionej pamięci uznał mnie godnym królewskiej korony, włożył własną cesarską na skroń moją, dostali z Rzymu korony węgier dziki, Duńczyk ledwie ochrzczony, bratobójca Bolko czeski, a mnie com szerokie ziemie zawojował, mnie jej dotąd ojciec rzymski odmawia? Sprawiedliwie to Guncelinie?

Niemiec zamilczał długo, węża zakręcił.

— Bracie — rzekł szydersko — Węgrów potęgą złamana została nad Lechą, Duńczyków się nigdy nie lękało cesarstwo, ani Czechów, tyś strasznym dla nas. Rzym nie da ci korony, bo Rzym idzie z cesarzem ręką w rękę.

Bolesław z kolei milczał też i spuścił oczy na ziemię.

— Nie da mi jej Rzym — odezwał się ponuro — to wezmę ją sam, poświęcę mi ją i namaszcza biskupi moi, tegoż Chrystusa słudzy, co najwyższy biskup rzymski.

Ręką, jakby w miecz zbrojną, powietrze przeszył król i zamilkł.

Guncelin spoglądał na niego.

— Mocen jesteś w domu uczynić co ci się zda — odparł — ale cię nie uzna cesarstwo!

— Mieczem sobie wyjednam uznanie — śmiejąc się odezwał król.

— A potomkowie twoi? — spytał Guncelin.

Na to wspomnienie chmurą zaszła skroń Bolesławowa, lecz opamiętał się rychło.

— Mieszko dał się wam przecie we znaki, wojakiem jest nie pośledniejszym odemnie.

— Nie przeczę — zawołał Guncelin — ale Bolesławem on nie będzie.

Pochlebstwem tem nie rozbroił króla, który się wstrząsł i posunął od niego na siedzeniu.

— Wszystko w mocy Bożej — dokończył — Bogu Chrystusowi służę wiernie, i tuszę, żem u niego na łaskę zasłużył.

Nie odpowiedział na to Niemiec, lecz wkrótce rozmowę na weselszy tor prowadzić zaczął.

— Tobie we wdowieństwie nie żyć, bracie — odezwał się — żony ci potrzeba.

— Emnildy drugiej nie znajdę — rzekł król.

— Ani jej szukać nawet — począł żywo Guncelin. — Na dojrzałe lata innej ci trzeba. Same z siebie smutne to dni, gdy przychodzi siwizna, odmładzać się musisz młodością cudzą. Ja ci swatem chcę być.

Pytającem okiem rzucił na króla, lecz Bolesław z siedzenia wstał i jakby rozmowa nie miłą mu była, począł inną.

— Jak ci się zda, obosieczny miecz lepszy, czy nasz?

Pomyślał Guncelin...

— Obojgiem nie gardzę — rzekł — jeden u prawego, drugi u lewego wieszam boku... zdadzą się oba.

— Cóż o toporze powiesz, który frankowie noszą? — wtrącił król.

— Chwałę go równie, jak okutą żelazem całą dzidę—mówił Guncelin.—Wszelki mi oręż dobry, ale żaden nie wart nic, gdy człek słaby.

I poszła rozmowa na wojenne sprawy, a nie-miec ze swatami umilknąć musiał. Rzekł w duchu, że źle dobrał porę.

Po wieczerzy siedzieli u dzbanów, nalewano miód stary i wino i pili oba milczący, gdy w końcu napój serca począł rozgrzewać. Guncelin okiem rzucił po izbie, w której sami wojacy i dwór mężki widać było.

— Bracie — rzekł—smutno u ciebie, niewieściej twarzy nie widać?

— Tęskno ci? idź do dworca, gdzie siedzą białogłowy, nie bronie.

Rozśmiał się Guncelin.

— Mnie was żal—ciągnął dalej. — Żonę przecie weźmiecie, juści się niewolnicami nie będziecie obchodzić, aby was księża łajali? Po cóż ściągacie z tem? Ja wam mówiłem, swatem będę.

Bolesław spojrział nań ciekawie.

— Dziewka pańskiego rodu, młoda, krew z mlekiem, płasza jak łania, śpiewa jak słowik, śmieje się, że zmarły by do niej wstał, ogień dziewczyna.

— A jam próchno!—odparł król — ale któż on! mów.

— Znacie ją dobrze! — zaczął, oczu z niego nie zdejmując Guncelin.—Markrafa córka, co na waszym bawiła dworze... Oda...

Mimowolnie królowi wzrok zajaśniał.

— O! znam ją—zawołał—bo mnie kusiła okrutnie, płocha i zalotna niewiasta, kusiła i innych, a zdała się ludzi wołać do siebie. Dobrzeście rzekli, czarownica jest, ale dla mnie straszna, spokoju bym z nią nie miał godziny.

Rozśmiał się Guncelin.

— El—krzyknął wesoło.—Kipiątek prędko stygnie. Niechby tylko czepiec włożyła, zarazby jej

głowa oziębla, a byłaby tak dobrą żoną, jeśli nie lepszą jak druga co oczy spuszcza, a o złem myśli...

Zadumał się Bolko a wkrótce szepnął.

— Pletli o niej dużo wianek pono postradała...

Guncelin ręką dziwnie pokręcił i cynicznego coś szepnął do ucha bratu. Bolesław się rozśmiał, i, jakby zapominając się począł wnet.

— Dziewka hoża, na królowę wyrosła, w koronieby jej pięknie było i na białych ramionach płaszcz purpurowy zawiesić nie żal. Gdy się uśmiechnie, prawdę rzekłes, jakby napój lała z ust co upaja, gdy spojrzy, zimno się robi, ale boję się, by w niej siły nieczyste nie było.

— Toć ją u ołtarza księza wygnają—rzekł Guncelin—dzika łania rzuca się swobodnie po lesie, póki wolną jest, gdy ją złapią i obłaskawią za ręką idzie.

Król znowu rozmowę odwrócił, nie nalegał Guncelin, prawił o innych dziejach, które się po Niemczech działy, a Bolesław słuchał go bacznie. Przyszło do pogańskich krajów nienawróconych i niepodbitych, do których sobie prawa rościli niemcy, namarszczył się Bolesław.

— Co moi być muszą — rzekł—nie będę pytał, czy mi ich da Rzym, podbiję ich i nawrócę. Mowę mają naszą, z ciałem moim się zrosli, nie dam ich!

— Idą przecie z nami na was! — odezwał się Guncelin.

— Pójdą ze mną przeciw wam! — rzekł Bolesław. — Adalbertów mi tylko trzeba, coby krwią tę ziemię ochrzcieli dla mnie.

Niemcowi rozmowa była niemiłą, począł pić i do kubka nucić piosenkę. I tak dosiedzieli do nocy, patrząc sobie w oczy, a do ładu przyjść nie mogąc. Co król zagaił, Guncelin odpierał, có ów począł, tego niechciał Bolesław.

Gościna się przeciągnęła. Na dworze pańskim zawsze ona długą była, teraz w smutku swym i nie-

pokoju, choć takiemu gościowi rad był król. Guncelin się wybierał i przysiadł, o podróży mówił a nie wyjeżdżał.

Codzień na ustach miał Ode, a rzadko mu się powiodło dłużej nią zająć króla. Uważał jednak, że wstręt do tej rozmowy coraz mniejszy okazywał, a raz już nawet sam o nią zagadnął, mówiąc że w płasach piękniejszej dziewczki nie widział nigdy.

Potwierdził mu to Guncelin chętnie, lecz wnet o czym innym zagadano.

W ostatku dzień już do odjazdu był przeznaczony. Nikt ze dworu nie jechał bez podarków i Guncelinowi więc król wspaniale wydzielił, futrami, sztukami sukna i złotogłowiu i naczyniem go obdarzywszy drogim, przeciw zwyczajowi tylko, ani oreża, ani zbroi nie dał żadnej.

— Zelaza ci nie dam—rzekł klepiąc go po ramieniu — wolę złoto, bo pewny nie jestem, czybyś miecza znowu kiedy przeciw mnie nie użył.. Głupi kto sam na siebie broń daje.

Z pod brwi spojrzał Guncelin na niego, dziękując.

— Bracie mój!—odezwał się—ja cesarstwu służę i wiernym być muszę, anim winien, gdy na ciebie oręż podniosę.

— Ani ja winien będę, gdy z cesarstwem wojując głowę ci utnę! — odparł Bolesław — a dziś rozstanmy się w pokoju. Niech mnie Henryk nie wyzywa, ja go też napadać nie myślę, a gdy bronić się trzeba będzie...

Na wyjeździe spytał jeszcze Guncelin żartobliwie—czy swatem mu być ma do Ody?

— Czas no mi dajcie—mruknął Bolesław—a nuż tęsknica doje? Nie wiem.

— Ja i bez waszej woli — odparł Niemiec—zawiążę targ o nią, bo lepiej niż wy wiem, co wam potrzeba.

Na tem się skończyło i Guncelin wybrał się

w drogę. Król tegoż wieczora przywołał do siebie opata.

— Kusił mnie ten człowiek — rzekł mu—abym żony szukał.

Aron zwlókł z odpowiedzią. — Miłościwy panie — odezwał się — komu Bóg dał raz taką niewiastę, jaką była święta zmarła pani nasza, nie łatwo mu inną dobrać po niej.

— W grzechu żyć nie chcę — odezwał się król—a w powściągliwości nie umiem.

Napróżno, długo czekał Bolesław słowa. Aron w okno się swoim zwyczajem zapatrzył, i nie mówił już nic. Nie śmiał król nalegać. Każdego dnia niemal, coś musiał wspomnieć o koronie. Kazał sobie liczyć dni podróży do Rzymu, i opowiadać drogi, domyslał się jak posły będą przyjęte i kiedy przywieźć mogą odpowiedź. Naówczas opat cierpliwość wmałował, malował trudności podróży i niebezpieczeństwa, osładzał przypuszczeniami, że oba posłani, mimo ostrożności w ręce czujnego nieprzyjaciela dostać się mogą. Jednego dnia przerwana rozmowa, nazajutrz znowu się rozpoczynała niemal tak sama, a opat z wytrwałością zawsze ją w tenże sposób rozwiązywał.

W istocie nie tylko przez Niemcy całe sięgała władza cesarska, obejmowała Włochy, podlegały jej wszystkie kraje sąsiednie. Doradzca pański niemal był pewien, że i drugi poseł wpaść może w ręce nieprzyjaciół lub tylko złota chciwych rabusiów, które mi wszystkie gościńce były pozastawiane. O losie Andruszki nie spieszo uwiadomić Bolesława, nie upominali się benedyktyni o uwięzionego o. Romualda, ale po kilku dniach z wielkiem podziwieniem swem, gdy raz wieczorem wracał do celi swej przy tumie opat, ujrzał kupkę ludzi zebraną około dwóch pieszo przybyłych pielgrzymów, których ani z sukni; ani z postawy zrazu poznać nie mógł.

Zbliżywszy się dopiero, zdziwiony wielce Aron ujrzał swego benedyktyna w odartej sukni, a obok

niego nędznie odzianego Andruszkę. Właśnie przygody swe opowiadać zaczęli byli zgromadzonemu, gdy Aron nadszedł przyspieszając kroku. O. Romuald rzucił się do jego ręki, przystąpił do niej i wymizerywany Andruszka, na którego twarzy więzienie daleko dobitniej malowało się niż na licu benedyktyna.

— Bóg miłosierny! — zawołał opat—uwolniono więc was?

Mnich się odwrócił ku Andruszcze i na niego wskazał, jako na zbawcę.

— Jemu winienem, żem wolny—rzekł.

I opowiadać zaczął, jako do lochu rzuceni zostali zrazu, jak potem przez litość córki więziennego stróża, która młodości Jaksy się uzałiła, zawdzięczali przeniesienie do izby po nad ziemią. Z tej Andruszka siłą i zrećnością kratę żelazną wyłamawszy, nocą się spuścił w podwórze, wyjścia na wał wyszukał skrytego i mnicha za sobą wyciągnawszy, przez bagnisty przekop otaczający zamek na plecach go przeniósł i ocalił. Nim zaświtało i ucieczkę odkryto, zbiegi już byli w lesie i łowieckim instynktem się w nim kierując, potrafili o głodzie i chłodzie dobić się do Łaby, gdzie pomoc już jakąkolwiek za obietnicą nagrody znaleźli.

Uradował się opat ściskając brata, o którego losie zwątpił, dano odpoczywać obu. Lecz nazajutrz Andruszka, któremu wstyd było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzce, a straty wielkiej byli przyczyną, do nóg przyszedł paść opatowi, aby go raz jeszcze wysłano.

Tego jednak bez wiedzy króla uczynić nie było można. O. Romuald także oświadczył się z gotowością, całą winę pierwszego nieszczęścia biorąc na siebie.

VI.

Jednego dnia polując z sokołem Bezprym, gdy czekał stojąc na koniu, aby pies sokolniczy ptastwo wytropił, a noszony dobrze ptak na rękę mu siedząc niecierpliwie trzepotał skrzydłami, zamiast innej zwierzyny, ujrzał obok siebie z kijem w rękę stojącego księżyne, którego na dworze widywał acz zdala.

Duchowny go pozdrawiał uprzejmie, życząc łowów pomysłnych, lecz, że naówczas już spotkanie księdza, równie jak baby z wiadrami próżnemi za złą uważano przepowiednię, skrzywił się Bezprym, gotów będąc na gród powracać; pewien że i tak łowy nic nie przyniosą.

Ksiądz uparcie przy nim stał; czy ciekaw był tych łowów, czy go tam co innego trzymało. Uśmiechał się, ku Bezprymowi zwracając oczy.

— Rozrywka to pańska — odezwał się głosem schrypłym i bojaźliwym — ale synowi królewskiemu wojnaby i władza lepiej przystała..

Bezprym choć się poddawał woli ojca, o sobie mówił nie kryjąc bólu.

— Albo to wy nie wiecie — odezwał się — jakim ja jestem synek królewski? Mieszkowi mnie na sługę przeznaczono... toć wolę z ptakiem jechać, niż za panem bratem nosić mieczyk lub tarczę..

Pokręcił głową ksiądz.

— Wszystko się to — rzekł — zmienić może...

— A jak? — wtrącił Bezprym, który psa już z oka tracił.

— Byle wola i odwaga—szepnął ksiądz cicho — prawa przecie straciliście, pierworodnym nie jesteście... Dziś czy jutro możecie się o nie upomnieć...

Był to może pierwszy człowiek na dworze, który w ten sposób mówił do Bezpryma. Duchownego su-

knia wyrazom dodawała znaczenia. Królewicz słudze ptaka na rękę przesadził i sam zsiadł z konia.

— Mnie zawsze patrząc na was zdaleka — odezwał się duchowny — żal było miłości waszej.

— Bóg zapłać — rzekł Bezprym.

— Nie rozpaczalem ja nigdy o przyszłych waszych losach dodał. — Jeżeli chcecie pomówić ze mną, może wam posłużyć dobrą radą... ale... wszak mnie nie zdradzicie?

Bezprymowi wzrok się zaognił.

— Mnie zdradzono — odparł — ja nikogo...

Odeszli nieco na stronę; stała olcha stara nad błotem, Bezprym rzucił się na zieloną murawę, miejscę przy sobie wskazując księdzu, który przysiadł się skromnie.

— Tak — powtórzył — prawaście się nie wyrekli... możecie się upomnieć o nie...

Bezprym dwie szerokie nagie dłonie otworzył.

— Z czym? golemi rękami dwoma? — zawołał, śmiejąc się. — Choćbym w nie wziął miecz, co jedno żelazo poradzi?...

— Alboż sprzymierzeńców i opiekunów znaleźć nie możecie?... — podszeptał ksiądz.

— W kim? gdzie?... — spytał Bezprym.

Nastąpiło milczenie. Ks. Petrek, gdyż on to był, ujął rękę Bezpryma i ucałował ją, choć się wyrywała.

— Miłościwy panie, litość mnie do was prowadzi... Posłuchajcie mnie — mówił — o sprzymierzenia wam łatwo będzie...

Królewicz z natężoną uwagą słuchał, widać było, że serce żywiej w piersiach mu uderzało i twarz blade oblewała się rumieńcem.

— Mówcie, gdyście poczęli! — zwołał — tu nas nie posłysz nikt...

— Król Bolesław — ciągnął dalej ks. Petrek — myśli się oderwać od cesarstwa i być sam panem. Mogłoby to lat parę trwać, ale na wieki trwać nie może...

Synowi Mieszkowi zostawi przykazanie, aby tak czynił jak on... To go zgubi... Wy się powinniście udać pod opiekę i łaskę potężnego pana, co całym światem włada, poprzysiądź mu przymierze wieczne, jak inni królowie, a otrzymacie tę koronę, o którą Mieszko na próżno się będzie kusił.

Skończył, a Bezprym ważyć się zdawał jego słowa.

— Cesarz, co nas ma w nienawiści — odezwał się — zechcesz losem moim się zająć? wziąć mnie w opiekę? a wzięwszy czy nie wygna mnie, aby sobie kraj przywłaszczyć?...

— Dlaczegożby to miał czynić? — począł ks. Petrek — dlaczego? Dosyć mu hołdu! Sam rządzić nie chce, ale władzę swą z Rzymu daną ma nad światem, musi rozciągać ją na wszystkie kraje.

I pomilczawszy trochę dodał ciżej zaraz.

— Jam mały człeczek... ale małeńka mrówka sypanie kopce wielkie... Cóżbyście rzekli, gdybym ja zapewnił wam opiekę cesarską... w zamian za przysięgę z waszej strony?...

Bezprym zerwał się jak oszalały z ziemi, a że ksiądz wstał za nim, uchwycił go i w ramiona począł całować.

— Jak to! — zawołał — jabym tego nienawistnego Mieszka mógł precz wygnąć? żonę mu wydrzeć?... panować?... koronę wdziać?... pomścić się?... ja?

— Możecie uczynić z pomocą cesarza wszystko, bez niej nie — rzekł zimno ks. Petrek. — Oni są nieprzyjaciółmi jego... wy bądźcie mu wiernym, a wy panowanie otrzymacie...

— I wy zdolacie mi to zapewnić? — zapytał chwytając go Bezprym.

— Ja?... jam człowieczek mały... — powtórzył Petrek — lecz litość zawsze czułem wielką nad wami. Pragnąłem się zbliżyć, szukałem miłości waszej... i uczynię co przyrzekam, jeżeli poprzysiężecie wierność cesarstwu...

— A cesarz mi da koronę... i wypędzi Mieszka... i pomści krzywdę moją!

Głowy skinieniem potwierdził to ks. Petrek. Bezprym chodzić zaczął pod olchą, na miejscu ustać nie mogąc. Chwila rozmowy uczyniła go innym człowiekiem, wstąpiło wien życie, krew krążyła gorętsza, w oczach ogień pałał... Ks. Petrek schwycił go, gdy tak krążył zamysłony.

— Gdybyście wydali tajemnicę — szepnął przestraszony zmianą, którą widział w Bezprymie — życie mnie to kosztować może...

— A mnie królestwo! — zawołał Bezprym — i zemstę! zemstę!... O! nie bój się... nikt się nie dowie, nie pozna po mnie nikt, z jakim skarbem chodzić będę... Idź, jedź, posyłaj, daj znać cesarzowi, że ja mu się poddaję, że jego będę... wiernym... korony tylko chcę... i zemsty... Mieszko zginie...

Ledwie zalecając mu spokój potrafił uśmierzyć ks. Petrek.

— Uczynię co przyrzekłem — odezwał się. — We dworze ściany słyszą, ludzie zdradzają... zejdziemy się tu... lub na podzamczu, gdy będzie potrzeba... Teraz siadajcie na koń, łowy kończcie... ja iść muszę. Wasza miłość nie znacie mnie... ni ja was...

I skłoniwszy się ks. pisarz szybko puścił się za roślami ku Cybinie. Bezprym stał jeszcze jak upojony, rozśmiał się do siebie sam, skoczył do konia, odebrał sokoła i popędził dalej.

Tak sobie cesarstwo umiało za życia wielkiego króla gotować już przyszłość. Bezprym miał przyobiecana koronę, Ryksę ujmowano z ręcznie i powoli, stręczono Ode, która z sobą Niemców przyprowadzić miała. Podkopywano to państwo cudem wyrosłe i rozwielmożnione, ze wszech stron gotując mu upadek.

Nie był na to ślepym Bolesław, trapiły go przecucia i mimo miłości wielkiej dla syna Mieszka, mimo dzielności jego, wątpił w godzinach rozważ, by wielkie dzieło utrzymać się mogło. Naówczas bolała du-

sza jego i szedł pociechy szukać u grobu Wojciecha w Gnieźnie, jemu polecając to królestwo i ufając już tylko w opiekę niebios, gdy siły ziemskie przeciw niemu staną.

Pobożny ks. Petrek w złym i dobrym razie zwykł był się modlić, teraz uczyniwszy krok tak stanowczy i śmiały, wprost się udał do kościoła, a z natury swej będąc do obłudy skłonny, im bardziej się cieszył z postępu swego, tem umyślnie smutniejszą przybrał i wielce zbiedzona postać. Patrząc zdala rychlejby odgadł z jego twarzy, że mu się jakieś przytrafić musiało nieszczęście.

Potrzeba było obmyśleć środki oznajmienia o tem przez arcybiskupa cesarzowi. Pisać nie śmiał, jechać nie mógł, posłać nie miał kogo... Nim z kościoła doszedł do izby swojej, wpadł na myśl, iż opataby należało skłonić znowu do wysłania go raz jeszcze w sprawie korony do Magdeburga, wedle pierwszej myśli.

Obawy, jakie miał po odkopaniu zwitków, zupełnie były ustały, pewien był, że zwierz jakiś czując świeżo poruszoną ziemię, mógł ją odrzucić i poszarpać zrzynki skóry, skłonny był nawet przypuścić cud, za wstawieniem się świętych uczyniony dla ocalenia go i zniknięcia tych świadectw zdrady nadziemijskimi siły zniszczonych. Nie mógł tylko odgadnąć, że się dostały w ręce opata, który obchodził się z nim tak, jak był zwykł, nie okazując mu ani nieufności ni gniewu.

Przy pierwszej więc z ręczności postanowił... rzucić słowo... Ta się wkrótce trafiła. Oprócz spisywania aktów, których naówczas niewiele potrzebowano, ks. Petrek, który był znakomitym kaligrafem, dla opata Arona przepisywał Rabana Maura komentarz o Jeremiaszu. Szła praca bardzo powoli, a opat często się o to wielce pożądane dowiadywał dzieło. Brakło mu nietylko kopii, ale tęsknił za oryginałem, z którego była robiona.

Jednego dnia przyszedł się dowiedzieć, o ile postąpiła robota.

Ks. Petrek skarżył się na oczy. Nie miał, jak mówił, nikogo, coby mu trzciny zaciął, farby dostarczał, sam musiał gładzić pargamin, sam ciągnął rubryki, dla tego tak szło opieszale. Mówił o tem szeroko i bardzo przekonująco.

Wtrącił na swe uniewinnienie, że i droga do Magdeburga dosyć czasu zabrała, choć mimo gorliwości największej żadnego owocu nie przyniosła.

— I nie dziw — dodał — tam nie raz jeden, ale nieustannie kołatać potrzeba i darami nie jednego Gerona, ale wszystkich ujmować. Miłościwy pan nasz hojnym jest wielce, tam tylko zaniedbuje dary słać, gdzie one najpotrzebniejsze...

Mowy tej słuchał opat pilnie, nie uszło to jego uwagi, iż ks. Petrek musiał mieć potrzebę jechania inną i dlatego znowu do podróży nakłaniał. Dowiedzieć się o tem co było pobudką nie mógł opat inaczej, jak wysyłając go i ztamtąd zasięgając wieści. Myślał więc, czy nie należało w istocie wyprawić pisarza, aby dojść tajemnicy; lecz na razie nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi.

— Mój ojczu — rzekł — być to może, iż tam kołatać potrzeba, ale ja ani tam, ani w Rzymie się nie spodziewam dobrego dla nas nic... Król koronowanym był przez Ottona III bez namaszczenia. Chceli go i zażąda, ażali arcybiskup nasz gnieźnieński dać mu go nie może?...

Po raz pierwszy usłyszawszy tę myśl tak zachwiał, ks. Petrek nie mógł się powstrzymać i wykrzyknął.

— Anathema ściągnęlibyśmy na głowę pańską!... Zamiast błogosławieństwa. Rzym cisnąłby kłatwę... W prawa jego wdzierać się...

Opat Aron z lekka ramionami poruszył.

— Ja też—dodał—nie jestem za tem... chociaż...

arcybiskup mógłby myśl tę popierać... Słowo to jest dziś a nie czyn jeszcze...

Ks. Petrek widocznie uspokoić się nie mógł, usta jego powtarzały ciągle—Anathema!...

Wyszedł opat Aron nie ciągnąc dłużej rozmowy. Pisarz zamiast tego o co się kusił, przestraszu tylko i niepokoju zażył, z którego długo ochłonąć nie mógł.

Doniesienie o tem wszystkiem do Magdeburga stawało się niemal koniecznością.

Opat nie bez myśli groźbę tę rzucił w uszy niewiernemu słudze, wiedział dobrze, iż o niej doniesie, a trzeba mu było może nastraszyć, aby z dwójga wybierając złego cesarz lub Rzym nie odmawiał korony. Złą czy dobrą była rachuba, zdało się i królowi i jego doradcy, iż środka tego użyć mogli.

Gdy ks. Petrek dręczył się, szukając sposobu porozumienia z arcybiskupem, swatanie Ody szło nieprzerwanie rozmaitemi drogami. Stara ochmistrzyni niemka, którą Ryksa sprowadziła, zjednaną była przez markgrafa, a że często z wnuczęciem chodziła do króla, który rad z nią żartował, ona też na swój sposób stręczyła piękną Ode.

Stara ta Adelheida nie lękała się żartów pańskich, często mogących runieniec wywołać, którego już na żółklej twarzy nie miała. Bolesław wnuka pieścąc, dawał jej prawie sobie co chciała. Obyczaj naówczas i na królewskich dworach więcej do panów i poufalej zbliżał prostych ludzi, niż późniejszymi czasy. Tak jak na Wschodzie, człowiek podlega ślepo temu, co miał władzę, lecz czuł się mu równym i nie tracił w obec niego odwagi.

Adelheida chwaliła królowi piękną margkrafównę, rozповідаjąc o jej wdziękach, które oku mężkemu dostępne nie były, dodawała przy tem.

— Biedna dziewczyna, dla miłości waszej miała wielką cześć i rozlubowała się w niej. Co za dziw!.. którażby niewiasta takiego pana nie kochała...

— Stary dla niej jestem — odparł król.

— Stary! tego oczy ludzkie nie widzą — mówiła Adelheida — niewiasty najlepiej sądzą mężczyzn... Przecie Oda odjechała płacząc a mówiąc, że chyba umrze z tęsknoty za królem naszym.

— Mówiła to?

— Sto razy! — powtórzyła Adelheida — słyszeli wszyscy, nie tała się z tem wcale. A co się tam leż wylało i leje... Miłościwy pan jużby litość nad nią mieć powinien...

Mówiła tak długo, i więcej niż swaty Guncelina, niż namowy innych pochlebców ostrożne, wzruszyło króla to, że Oda piękna i młoda serce doń miała.

Począł myśleć, zagadnął opata, ten milczał znowu. Nie w smak mu były królewskie swaty, wybór mniej jeszcze; lecz Bolesław wolę miał we wszystkim upartą, a walczyć z nim mógł... on sam tylko. Każda inna walka próżną z nim była. Opat Aron modlił się o odwrócenie tej plagi, która domowi królewskiemu groziła. Oko jego widziało już sieci, które snuto dokoła, do rozerwania trudne, przybywało nowe ich pasmo z Odą, która niemiecki wpływ miała powiększyć. Bolesław nie chciał widzieć tego, a raczej gardził niewiasty znaczeniem; namiętność go zaślepiała.

Sam powtórnie zagadnął Adelheidę o markgrafównę, lając ją, że go kłamstwem karmiła, ale kobieta zakłęta się na wszystkie świętości, iż mówiła prawdę i że Oda z wielką była dla króla miłością.

Gdy w kilka dni potem opat się znalazł u króla znowu, oświadczył mu wprost Bolesław, że postanowił pojąć żonę i wybrał markgrafównę Odę.

— Miłościwy panie — odparł spokojnie duchowny — woli waszej nikt nie śmie się sprzeciwić... lecz wierni słudzy twoi boleć będą nad nią.

— Boleć? dla czego? — zawołał król porywając się z siedzenia.

— Nie mówię o młodości markgrafówny — kończył Aron — ani o jej zalotności... lecz z nią razem

przyzywają niemieccy i stosunki z temi, którzy miłości waszej dobrze życzyć i szczerymi druhami być nigdy nie mogą.

Bolesław pogardliwie się uśmiechnął.

— Niewieści wpływ strachu mi nie czyni — rzekł — pójdzie ona za mężem i zapomni swoich. Stanie się królową i pokocha kraj, który ją przysposobi.

Opat skłonił głowę. Król mówił wiele, nie wywołując już odpowiedzi; chciał przekonać i na swą stronę przeciągnąć opata, ale czuł, że tego dokazać nie potrafi.

Nazajutrz powołał Bolesław syna Mieszka, który już ze słuchu wiedział o zamiarze ojca.

Rykza zżymała się na samą myśl macochy Ody, z którą nigdy nie były w zgodzie. Mieszko też obawiał się niewiasty dumnej, chciwej władzy, mogącej oświadczyć królem. Gdy stanął przed ojcem, odgadując już po co został wezwany, znać było z twarzy, iż się gotował na niemiłą nowinę.

— Tęskno mi samemu — odezwał się Bolesław — postanowiłem swaty posłać do markgrafa i Odę zaślubić. Nie masz się czego obawiać, bym cię dla młodszych dzieci, jeżeli je Bóg da, z praw twoich wyzuł. Dostaną działa, ciebiem przeznaczył do panowania! Oda być musi żoną moją, wyznaczyłem ciebie w poselstwie po nią.

Spojrzał na syna, który stał z głową spuszczoną, milczący.

— Wybierzesz orszak świetny i niezwłocznie wyruszyć w drogę z podarkami...

Mieszko milczał.

— Miłościwy królu — odezwał się widząc brew jego zmarszczoną — do nóg waszych upadnę prosząc, byś mnie uwolnił od tego... Jechać nie mogę...

Zwrócił się popędliwie Bolesław ku niemu z twarzą zaognioną.

— Kiedy ja rozkazuję?...

— Błagam cię...

— Śmiesz mi się opierać?... —

— Nie mogę jechać — odezwał się Mieszko —
czyń co chcesz ze mną, nie pojedę...

— Mów, dlaczego?

— Łacno to pojąć, macochy nie chcę, abym na
Bezpryma nie wyszedł...

Straszne milczenie poprzedziło wybuch strasliw-
szy jeszcze. W pierwszej chwili Bolesław rzucić się
był niemal gotów na syna, ale się powstrzymał.

— Idź — rzekł — uchodź odemnie!... jestem
w gniewie.. krwi własnej mogę nieoszczędzić.. Zoczów
mi idź...

Nie mówiąc słowa Mieszko wyszedł, Bolesław
pozostawszy sam, czasu potrzebował by ochłodzić.

Od dnia, gdy Bezpryma do łaski przypuścił i co-
dzień mu się nakazał pokazywać na dworze, dając
mu poczet świetniejszy, mało z kim jednak obcował
Bolesław. Widywał go z dala, zawsze z twarzą po-
nurą i wejrzeniem kosem, stroniącego od siebie.
W gniewie na Mieszka, Bezpryma przypominał. Za-
wołał na komorników i kazał mu natychmiast się
stawić przed sobą.

Było to tak nadzwyczajnem, iż całe otoczenie
króla przerażone zostało, ujrawszy jak blady od-
szedł Mieszko i natychmiast po ustąpieniu jego ka-
zano wołać zapomnianego.

Choć znaczniejszą część dnia Bezprym spędzał
na łowach i włóczędze po okolicach, tego wieczora
znajdował się w domu, gdy Gheza z twarzą rozjaśnioną
nadbiegł dać mu znać, żeby natychmiast do króla
spieszył, który nań czekał. Komornik z tem przyby-
ły, który podedrzwiami królewskimi podsłuchał
z Mieszkiem rozmowy, szepnął staremu węgrowi, iż
Mieszko naraził się ojcu i dla tego Bezpryma wzy-
wano. Wiadomość tę na ucho udzielił mu wierny
sługa i królewicz odziewszy się, prędko pobiegł z po-
stanowieniem mocnem korzystania z wypadku.

Gdy podjawszy zasłonę we drzwiach stanął przed
Bolesławem, znalazł go z gniewem i niecierpliwością
na twarzy wyrytą. Zmierzył go okiem król.

— Słuchaj — rzekł wprost i nie tłumacząc mu
się wcale — wyznaczyłem cię, abys jechał w posel-
stwo i przywiózł mi markgrafównę Odę... Biorę ją
za żonę. Dam rozkazy, aby ci poczet i podarki ze
skarbcza wydzielono. Jedź jak syn królewski i ojco-
wskiego mienia nie żałuj... Nie wracaj bez dziewczki...
chcę ją mieć... Rozumiesz?!

Bezprymowi twarz się rozjaśniła.

— Co rozkazujeś, spełnię — odezwał się — kiedy
mam ruszyć w drogę?

— Jutro — rzekł król. — Jedź śpiesznie, wracaj
prędko... Zapomnij, żeś był u mnie w niełasce, zy-
skasz tem serce moje.

— Miłościwy królu i ojcie — rzekł Bezprym ży-
wo i wesoło — zrobię jako potrafię najlepiej... Przy-
wiozę markgrafównę...

— Wybieraj się w drogę! — przerwał Bole-
staw — w drogę!...

Wskazał mu drzwi i Bezprym uradowany wy-
szedł.

Od pierwszej rozmowy z ks. Petrkiem widywa-
li się i naradzali często; zrozumiał Bezprym, że po-
selstwo to dawało mu najlepszą zręczność zetknięcia
się z Niemcami i zawarcia umowy. Pisarz bolał cią-
gle, że pewnego nie mógł znaleźć człowieka, co by
przewiózł listy jego. Bezprym sam teraz mógł je
wziąć z sobą.

Skoczył więc do Ghezy, by mu wydać rozkazy,
a sam niepostrzeżony poszedł szukać swojego współ-
nika. Nierychło jednak wynaleźć mu się go udało
wśród dworzan, między którymi chodził na połów
jakichś władomości, wedle codziennego swojego zwy-
czaju.

— Ojcie mój — chwytając go odezwał się Bez-
prym. — Spotkało mnie raz w życiu szczęście. Zdaje

się, że Mieszko odmówił ojcu jechać po markgrafównę Odę. Ja jestem w peselstwie wyznaczony. Jutro jadę.

Ręce z radości załamał Petrek, aż mu kości w stawach chrząsnęły.

— Możesz to być?

— Tak jest.

Wnet oddalili się od ludzi.

— Pisz listy — rzekł Bezprym — ja je powiozę i odprawię.

— Lepszym nad listy wszelkie ty sam jesteś miły panie — wołał ks. pisarz. — Nie mów im wszystkiego, ale daj do zrozumienia wiele, zaskarb sobie przyjaciół, zjednaj ludzi... Moje listy ukryj pilno... o wasz los chodzi... dziś jeszcze mieć je będziecie...

Ledwie tych słów domówił, gdy stary Sieciech i podskarbi króla Domorad Żeleziec przyszli szukając Bezpryma. Niespodziana łaska króla dla niego zdumiewała wszystkich, lecz posłuszni byli. Z nimi miał poseł królewski umówić się o wybór dworzan, konie i przygotowania niezwłocznie do drogi.

Zbliżyli się doń z ciekawością ludzi, co po raz pierwszy stykają się z odepchniętym, oniemiałym i pogardzonym, którego łaska pana nagle podniosła. Ponury i stroniący dotąd od wszystkich Bezprym, nagle stał się nowym człowiekiem. Czuł się silnym i duma długo tłumiona odrazu objawiła się w wydanych śmiało rozkazach... Spojrzeli po sobie. Nie ustępował Mieszkowi i stanął przed nimi jak prawy syn królewski, który krew czuje w sobie. Tak łącno mu przychodziło wydawać rozkazy, jak gdyby nigdy nie przestał rozkazywać. Posępna twarz niemal była groźną, rysy przybrały podobieństwo do Bolesława, z jakąś barwą dzikości, której król nie miał nigdy. Gniewliwy był i zapiętały, lecz coś szlachetnego i rycerskiego czuć w nim było nawet w chwilach roznamiętnienia; Bezprym miał w oku chciwość pa-

nowania i krwi razem... żądzę zemsty i okrucieństwo. Szczęście czyniło go strasznym.

Stary Sieciech w duszy uląkł się go, ujrawszy po raz pierwszy rozpowitym z niewoli i przymusowego upokorzenia.

We dworze całym wiadomość o postanowieniu króla najrozmaitsze obudzała uczucia, niepomiernie cieszyli się jedni, rozpaczali drudzy.

Ryksa, żona Mieszkowa chodziła blada i milcząca. Przyszłość przewidywała groźną, lecz miała siłę spojrzeć jej w oczy. Mieszko był przynębiony, guiewny, a nie wiedział do czynić więcej. Ufał, że ojca prześlaga, i lękał się o siebie.

Niemiecki dwór i słudzy radowali się wielce. Adelheida przyznawała sobie część zasługi i obiecywała wiele od młodej królowej. Ks. Petrek pisał zamknięty i cieszył się powodzeniem podziemnej roboty swojej. Zdało mu się teraz, że sprawa Bezpryma już na pół jest wygraną. Opat chodził zasmucony. Starzy słudzy króla i rycerstwo niewesołe mieli twarze. Młodzież cieszyła się młodej królowej, która wesele wniesć na dwór miała. Znali ją tu śmielsi z wejrzeń i szeptów, którym była rada do zbytku, a niejeden wiele sobie po łaskach jej obiecywał.

Wieczora tego nigdzie nie było spoczynku, szepcano, chodzono, rozmawiano, wybierali się jedni do drogi, drudzy im pomagali.

Na podwórzu Bezpryma, zwykle spokojnem, gdzie tylko psy i sokoły gospodarowały a odartych garstka służalców, teraz ruch był i wrzawa jak nigdy, kręcili się komornicy i urzędnicy królewscy, znoszono juki i wory, szaty i oręż. Cała wiosenna noc upłynęła bez snu, na przygotowaniach. Bezprym kazał się stawić ludziom, co mu towarzyszyć mieli, sam ich opatrzył, aby wstydu nie miał, zbrakował kilku, rozporządził pochodem i okazał, że rozkazywać potrafi. Gheza chodząc a raczej biegając jak upojony, dumny, uszczęśli-

wiony, a ile razy wrócił do królewicza, ścisnął go za nogi, szepcząc mu do ucha.

— Ty, sokole mój złoty, panować będziesz... nie on... nie ten... ty, tobie przeznaczono królować... a mnie tego doczekać... i umrzeć...

Nie tyle gniew króla, co wybór Bezpryma zasnuł Ryksę i królewicza. Był to już drugi znak łaski dla niego, obudzający obawę. Żałował nieledwo Mieszko, iż przemódz się nie zdołał, lecz teraz już było zapóźno. Sam on do tego zwycięstwa syna Judyty się przyczynił.

O świecie wszystko było gotowem. Bezpryma nie poznawali ludzie, tak go nowe zmieniły losy.

Ociągał się jeszcze z wyjazdem, bo nocą nadbiegłszy doń ks. pisarz objawił mu myśl, którą pisząc dopiero był uderzony. Dlaczego go Bezprym jako tłumacza i pomocnika nie miał z sobą wziąć i u króla prosić o to?

Posłuszny Bezprym zgodził się i czekał z Bolesławem rozmowy.

W podwórzu już czekała na koniach ustawiona drużyna, doborna, świetna, z ludzi najokazalszych złożona; rżały konie, śmieli się wojacy. Wstał i król chcąc widzieć poczet jadący po narzeczoną, a w przedsienu znalazł opata, który niepokojem jakimś gnany, spieszył do niego.

Zbliżył się właśnie Bezprym do ucałowania ręki ojcowskiej.

— Gotowem, miłościwy panie — odezwał się — lecz schowany byłem od ludzi daleko, na posła sam niebardzo przydatny, gdybyście mi ks. Petrka raczyli w pomoc dodać, śmielszybym był.

Jeszcze się król nie miał czasu odezwać z odpowiedzią, gdy opat Aron wtrącił.

— Właśnie mi jak prawa ręka jest potrzebny ks. protonotariusz... Aniby go umiał kim zastąpić. Lecz jeśli miłościwy pan innego duchownego, równie

mu pomocnym być mogącego, życzysz, znajdziemy go łatwo.

Król nie miał nic przeciwko temu. Bezprym pochwycony z nienacka nie wiedział jak postąpić.

Z nieznanym mi trudniej będzie — rzekł cicho.

— Każdy usłuży wedle sumienia i obowiązku i będzie na wasze rozkazy — dodał opat.

Tak zamiast tego, który mu miał być pomocą, Bezprym niespodzianie otrzymał stróża i dozorcę, w osobie benedyktyna, którego natychmiast przywołano.

Zdała stojący i wyczekujący już skutku, ks. Petrek zmieszał się, gdy mu po chwili znać dał nasadzony Harno, iż zamiast niego inny duchowny towarzyszyć miał Bezprymowi.

Oprócz niego dwu poważnych mężów, zaufanych z rady swej, Leliwę i Sreniawę, dołączył król do orszaku dla dodania mu okazałości. Ci z sobą osobne brali orszaki. Bezprym zaledwie już miał czas pod jakimś pozorem zbiedz dla zabrania pisma ks. Petrka, który go zaklął, aby dodanemu duchownemu nie zwierzał się i nie zawierzał, i przed swoim orszakiem z niczem się nie wydawał.

Słońce już było podeszło na niebie, gdy wszyscy na konie siadłszy, przeciągnęli przed krolewską, pokłon mu składając. Orszak był prawdziwie dla panny młodej dobrany, młódz najpiękniejsza, zbroje najświetniejsze, szaty od złota i barw jasnych, pióropusze u hełmów, błyszczące miecze, tarcze malowane, włócznie kute żelazem. Wodzowie w złotych łańcuchach, pasami sadzonymi przewiązani, czeladź nawet i służba królewska...

Gdy ruszyli z podwórców, gromady stały patrząc, okna pełne głów były i po nad drogą stały ciekawych kupy. Wiedziano już, dokąd i po co jechał Bezprym, który na czele po raz pierwszy jako królewicz i wódz występował z powagą i dumą, jakiej w nim nikt nigdy nie widział.

Stary Gheza wmodlił się do orszaku, trzymając na ręku ulubionego sokoła zakapturzonego.

Szły też i psy, bo bez tych się w podróży nawet obejść Bezprymowi było trudno i konie powodne i ładowne wozy okryte sukniem czerwonym. Dwóch trębaczy towarzyszyło pochodowi. W środku w czarnej sukni jechał ojciec Wolfram, który miał czas od opata wziąć instrukcyę, aby na każdy krok królewicza był uważnym. Samo żądanie zabrania z sobą ks. Petrika podejrzenie w nim obudziło.

VII.

Nie będziemy iść w ślad za dwoma poselstwem, które zdążały do Rzymu po koronę. Jurga wyprawiony z o. Gerbertem był szczęśliwszym. Udało im się przebyć całe Niemcy bez wypadku, choć kilkakrotnie zatrzymywani byli. W początku podróży garstka ta przeodziała się tak i przybrała, aby jak najmniej zwracać oczu na siebie. Zamiast szerokich gościńców, wybierano drożyny niewygodne, puste, lecz od straży i czatów bezpieczniejsze. Klasztory, do których zajeżdżali dostarczały o. Gerbertowi dokładnych skazówek i co lepiej dawali mu braciszków, znanych w okolicy, którzy się opowiadali jako prowadzący własność klasztorną od opatów miejscowych. Tak od jednego do drugiego przeprowadzali ich mnisi, a gdy wypadkiem spotkali łakomego a głodnego zdobywcy rycerza czatującego na gościńcu co naówczas było zwyczajnem, bronili się tem, że kościelne prowadzili mienie...

Podróż po Europie w tym wieku, w którym na małych oddziałach siedzący wasale świeccy i do duchownych należący, nieustannie z sobą wiedli spory i orężnie występowali w obronie praw i uroszczeń, nie była ani łatwą ani przyjemną. Nieustannie trzeba się było mieć na pieczy, dzień i noc czuwać i bronić, często opłacać jeszcze, aby ująć cało.

Mimo uznawanych praw innych, silniejszego prawo było niemal jedynem; szanowano duchowieństwo, ale i ono od przemocy nie było wolnem. Cesarstwo miało zwierzchnią władzę, a i tę prawie ciągle popierać siłą było zmuszone. Buntowali się wassale nie tylko przeciwko sobie podnosząc, lecz i przeciw najwyższej potędze. Wojna była niemal stanem naturalnym, a pokój wyjątkowym. Synowie walczyli przeciw ojcom, bracia z braćmi, księstwa i królestwa z sobą. Wyłamywali się podwładni, zagarniali ziemię silniejsi, a w podróży nie nie bronili, chyba szczególne szczęście i nadzwyczajna zrzeczność. Równie jak Niemcy. Włochy też podzielone były, a tu Saraceńskie napady, które energia papieża Benedykta odeprzeć potrafiła, ciągle nabawiały niepokojem.

Zwolna więc i pod ciągłym strachem szła podróż Jurgi z ks. Gerbertem, aż do samych wrót wiekuistego grodu. Gdy tu nareszcie dotarła gromada owa, skwarne dnia, wśród wycia wichru, który kurzawą napępiał powietrze, wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą czując, że tylko cudem się dostać mogli do celu podróży.

Była to połowa dopiero wielkiego i trudnego dzieła. W Rzymie papieżkim miał cesarz swoich zwolenników i stróżów, wpływ jego był potężnym. Należało z oględnością wielką przedsiębrać kroki i niewydawać się z sobą i z całym poselstwem, dopóki by drogi przygotowane nie były. Przybyć do Rzymu trudnością było wielką, dopięcie celu najmniej, naostatek gdy się to udało, odwieść po-

święconą koronę, o której wieść musiała dojść cesarza, stawało się zadaniem ze wszystkich najcięższem.

Czuł to o. Gerbert, lecz wybór jego dowodził jak opat Aron znał ludzi i umiał posługiwać się niemi. W średnim wieku wypróbowany życiem, mnich benedyktyn był żelaznym mężem, na pozór chłodnym jak żelazo, jak on twardym; ostrym gdy przecinać trzeba było węzy, milczącym i przebiegłym. Przez całą drogę modlił się o. Gerbert, mówił mało, zasępiony jechał, nie uskarżył się nigdy, chociaż i głodu i niewygód nadzwyczajnych doznawać było potrzeba. Jurga wpatrując się w niego starał się naśladować. Kierował gromadką i w karność ją trzymał. Sam widok nowych zupełnie krajów i ludzi starczył mu, aby opłacić wszystkie podróży ciężary i niebezpieczeństwa.

Z krajów, których człowiek był stosunkowo młodym przybyszem, wjeżdżając w świat na każdym kroku ruin i obalonej przeszłości pełny, zdumiewającej olbrzymiemi dzieły swemi, Jurga się czuł upokorzony dziokością i pustynnością swych pól i lasów.

Mury te, kolumny, obalone sklepienia, sterczące rzesztki świątyń, pozmienianych na kościoły zdały mu się dziełami nie ludzkiej ręki i ducha, ale zgasłego jakiegoś plemienia istot nadziemskich.

Wszystko tu świadczyło o przeszłości skończonej o narodzie wielkim, umarłym, pogrzebionym, który długie musiał żyć wieki, by tyle dokonać.

Rzym w ruinach na poły, na pół w stojących jeszcze budowach wieków chwały i potęgi, przybyłcowi z kraju drzewa i szalasów, snem się wydał jakimś niezrozumiałym, niepojętym.

O. Gerbert pomodliwszy się u wjazdu do bramy miejskiej, opowiedział się tu, jako mnich benedyktyn przybywający w sprawach zakonu. Nie zwracając oczów na siebie przesunęli się za Tybr do benedyktynskiego klasztoru. Tu byli bezpieczni. Listy i świadectwa dawały im opiekę. Gdy furta otwarła się dla

nich i zawarła za niemi, o Gerbert odetchnął raz pierwszy swobodniej i wprost poszedł do otwartego kościoła powtórnie złożyć dzięki Bogu. Orszak jego umieszczono zaraz w gospodzie dla obcych przeznaczonej, która osobno od klauzury u wrót była urządzonej. Jurga tak ciekaw był, zdumiony i przejęty, tak rad, że straszna podróż skończoną została szczęśliwie, iż spoczynku nie potrzebował. Ulice, które przebywali, rojące się świetnemi orszakami, wśród których piękne niewiasty, bogato poprzybierane, otoczone dworami strojnymi przesuwaly się z dziwną swobodą i zalotnością, spoglądając na tłumy, duchowni z pocztami zbrojnemi, sami też nie bez oręża; panowie w jasnych szatach i świecących na piersiach pancerzach, sam lud tak odmienny od tego, do jakiego był nawykły Jurga, nęciły ciekawość podróżnego.

Na zatybrzu, około klasztoru wprowadzie dosyć było cicho, a mury do koła nie widzieć nie dozwalały, lecz to, co przejazdem dostrzegli, twierdza owa okrągła basztami otoczona, wysokie grodu mury okólne najeżone wieżami, sterczące jak olbrzymich drzew pnie, marmurowe kolumny, gmachy rozległe przesunęły się jeszcze przed oczyma zdumionego.

Pan tego grodu, ojciec całego chrześcijaństwa wydał mu się najpotężniejszym świata mocarzem. Rozdawał korony, obdarzał królestwy, słał rozkazy, gdziekolwiek dolatywało ludzkie słowo. Wszystko co dotąd widział Jurga w życiu swem i podróży, obok tego wydało mu się drobnem i małym. Sam cesarz w oczach jego mniejszym się okazał, gdy nań ztąd spoglądał.

O. Gerbert zniknął mu zupełnie dnia pierwszego. Nazajutrz znaleziono słowiańskiego rodu braciszka, który z Jurgą mógł się rozmówić, kazano mu się odziać tak, aby oczów na siebie nie ściągał i dozwolono mu pójść po mieście, którego widoku był ciekawym.

O. Gerbert chodził tymczasem około wielkiego

działa, które przygotować było potrzeba. Dary we zlocie, jakie przywieźli z sobą, ułatwiały nieco zadanie, bo skarb wojną z Saracenami był wyczerpany, lecz wkrótce dowiedział się wysłaniec opata, iż o żądaniu Bolesława wcześniej dano znać do Rzymu, a cesarz się sprzeciwił wysłaniu korony. Oprócz tego rościł papież prawa do kraju Polan, szczególnie Gniezna, które z sąsiednimi ziemiami Oda, żona Mieszkowa, zapisała darem apostolskiej stolicy. Bolesław trzymał więc tę własność prawem oręza tylko, dziedzictwa i rozporządzania polany dopominano się tutaj.

Przewidując to Bolesław król, polecił zapewne w Rzymie, iż będzie się uznawał lennikiem i chętnie grosz do świętego Piotra skarboney składał rocznie, chociaż Oda ofiarowała to, czego nie miała i czem rozporządzać nie mogła.

Sam nie wając się na wyjednywanie u papieża Benedykta żadnej korony, o Gerbert posłał innych na zwiady. Powoli toczyły się same rozprawy o środkach, jakich użyć było potrzeba, aby dostąpić celu.

Jurga tymczasem patrzył, uczył się, dziwował, modlił, a braciszek, dodany mu, karmił go owym tyśiącem legend, które tu do murów przyrosły, powisały w ziemię, w powietrzu unosić się zdają. Kilkanaście dni upłynęło, a nie jeszcze nie uczyniono.

O. Gerbert milczał i nie tłumaczył się nawet ze zwłoki.

Jednego dnia, gdy dla nieznośnego skwaru w ciemnej izbie na matach we dnie spoczywał Jurga i zdrzemnął się znużony, szelest jakiś posłyszawszy nad sobą otworzył oczy, a zdało mu się, że śpi jeszcze, gdy ujrzał tuż stojącego Andruszkę, który otworzywszy ręce, czekał na uścisk braterski. Jurga się porwał i dwaj bracia, nim słowo do siebie wyrzec mogli, powitali się pocałunkiem. Młodszy oczom swym nie wierzył prawie, bo się takiego szczęścia nie spodziewał.

W istocie było to nadzwyczajnym trafem, iż dru-

giemu wysłańcowi przebrać się dało temi samemi tory i drogami, w ślad za pierwszym... O. Gerbert i Bernard nabrali oba otuchy gdyż podwójne dary dawały im możność tem skuteczniejszego działania. Z Andruszką przybyła więcej niż nadzieja, niemal pewność pozyskania korony dla króla.

Zaraz nazajutrz wiedzieli o tem bracia, a opowiadając sobie o podróży i jej niebezpieczeństwach naradzili się wcześniej o powrocie.

Naówczas Jurga, który był umysłu żywszego, wpadł na tę myśl szczęśliwą, ażeby z powrotem rozdzielić się i oprócz namaszczonej korony, drugą wieść podobną fałszywą, aby nią Niemców, czatujących na tę zdobycz, oszukać. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem tak, ażeby wpadła w ręce cesarskiej straży, która zadowolniona zdobyczą, jużby na przewiezienie prawdziwej nie zwracała tak pilnej baczości.

Nazajutrz opowiedziano o tem o. Gerbertowi, który uśmiechnął się i zdumiał, a że miał obok siebie drugiego brata, odezwał się doń po łacinie.

— Zważcie jaka u narodów dzikich wrodzona jest przebiegłość. Oto żaden z nas nie wpadł na tak wyborny środek zabezpieczenia namaszczonego daru Ojca świętego.

Pochwaliwszy wielce Jurgi pomysł szczęśliwy, o. Gerbert, który już przed przybyciem Bernarda rozpoczął umowy, ciągnął je dalej teraz, podwoiwszy ofiarę. Nalegał on na to, że Bolesław był w rzeczywistości posiadaniu państwa tak rozległego i potężnego, że je w jedność z kościołem koniecznie należało utrzymać, a to najlepiej można było utwierdzić ofiarą namaszczonej korony, która wierną i kościołowi i cesarstwu zostać miała.

Przeciągały się jednak owe umowy, którym na drodze stawiali Henrykowi cesarzowi posłuszni w otoczeniu papieżkiem. Naostatek ujęty wymownemi prośbami i zaręczeniami o Gerberta, papież Benedykt

przrzekł koronę, którą sam miał u grobu księcia apostołów pobłogosławić. Nie trzeba było wytwornej sprawować, której robota wieleby czasu zabrała. Złoty obręcz, kilką kamieniami oszlifowanemi nasadzony, wystarczał.

Błogosławieństwo dawało mu wartość całą, a im łatwiejszą była do ukrycia korona, tem mniej na niebezpieczeństwo narażoną. Inną podobną na prędce ukuć kazano, którą przodem i niezbyt się wystrzegając, wieźć się ofiarował mężny Andruszka. Wiedział on i towarzyszący mu Benedykt, że zatrzymani i do więzienia może wtrąceni zostaną, lecz oba dobrowolnie chcieli tą ofiarą okupić bezpieczne przybycie poświęconego wieńca do Poznania.

Wielki to był dzień dla gromadki polskich wysłańców, gdy im oznajmiono, że się mogą znajdować w krypcie u gropu Piotrowego, aby być świadkami obrzędu. Tu oni mieli po raz pierwszy oglądać poważne, męskie a rycerskie niemal oblicze Benedykta, który pod skromną suknią duchowną zachował w sobie coś z charakteru rodu wojowniczego i pańskiego hrabiów tuskulańskich.

Widać w nim było władcę a króla razem i głowę kościoła, surowego sędziego i stroża obyczajów duchowieństwa, które poprawy i karności potrzebowało.

Dostatki, w jakie opływały klasztory i biskupstwa, ziemskie ich posiadłości rozległe, stosunki bliskie z rycerstwem rozwińszem, nadwyrężyły obyczaje. Papież je do nauki Chrystusowej i pierwotnej czystości zwrócić usiłował.

Przy mszy świętej leżała korona na ołtarzu, dotykając relikwii apostołów, poświęcił ją sam ojciec święty i po uroczystym obrzędzie, wraz z listem, oddał posłom, którzy, w imieniu króla, podległość stolicy apostolskiej zaręczyli. Tegoż dnia, nim się ruszyli posłowie z Rzymu, już goniec potajemny wyprzedzał ich na apijskim gościńcu, biegnąc zapowiedzieć po-

dróżnych, których wraz z koroną pochwyć miano nieochybnie.

W klasztorze naradzano się dnia tego i nazajutrz jawnie, w oczach mnogich świadków ruszył ze znaczniejszym poczem Andruszka z ojcem Romualdem, wioząc fałszywą koronę.

Dopiero w dni kilka potem potajemnie wyjechać miał o. Gerbert z Jurgą, ukryty wioząc ów obręcz poświęcony, który przeznaczonym był do uwieńczenia skroni królewskich. Wszystko się stało jak obmyślano.

Pierwszy poczet przebył Włochy bezpiecznie, lecz śledzony i miany na oku. Jechali w tropy za nim wysłańcy, którzy go u granicy Niemiec wskazać mieli i dać pochwyć. O. Romuald umyślnie prawie nieostrożnym był i stawał w miejscach, gdzie mógł być postrzeżonym, nie tając się z tem, że z Polski jechał od króla w poselstwie, choć niby zamieślał, co ono miało na celu.

Na drugim noclegu niemieckim znaleźli się posłowie otoczeni w gospodzie przez tak liczną gromadę zbrojnych, iż o oporze ani myśleć było można.

Z urąganiem i przechwałkami pochwycono ich, niby usiłujących tłumaczyć, zaprowadzono do najbliższego zameczku i gdy zaczęto przetrząsać juki, z radością nadzwyczajną znaleziono koronę. Natychmiast wysłano gońców z oznajmieniem, iż zdobycz się w ręce cesarskie dostała. Radość była niezmierna i tryumf wielki. Szukano listów papieżkich, rozparając suknie, trzęsąc wszystko napróżno, nie umiano ich znaleźć, a nagłony o. Romuald przyznał, że w obawie pochwylenia zniszczone zostały w pierwszej chwili.

Gdy się to działo na głównym gościńcu, z baćnością nadzwyczajną od klasztoru do klasztoru przemykali się o. Gerbert i Jurga. Wioząc tak drogi klejnot musieli nadzwyczajnymi otaczać się ostrożnościami. Najgorsze dni do podróży, sloty i wichry były im najpożądańsze, przekradali się nocami i ran-

kami, po niedostępnych ścieżynach i manowcach. Podróż też trwała długo. Jurga czuwał, prawie nie kładąc się na spoczynek, chyba gdy do którego z klasztorów przybyli, gdzie zupełnego pewni byli bezpieczeństwa.

Przez niemieckie kraje jadąc, podwajano czujność, choć pochwycenie pierwszej korony uspokoiło zupełnie cesarskich, a wieść o tem już się była wszędzie rozeszła. Gdy naostatek po tylu napróżnych krążeniach, dnia jednego ujrzeli rzekę, którą im jako Łabę ukazano, radość niezmierna odmalowała się na twarzach wszystkich. Przeprawili się przez nią pochmurnego ranka jesieni, a czeladź towarzysząca im, już tu była jak w domu. Przyspieszono więc koniom biegu.

Jurga chcąc królowi prędszą sprawić radość, najzręczniejszego z pacholków wyprawił przodem nocą i dniem do Poznania. Tu niepokój był wielki. Wprawdzie opat Aron przez Benedyktynów miał wiadomość o przybyciu Jurgi do Rzymu, lecz po tem nie już o obu wyprawach słyhać nie było. Król niecierpliwił się i narzekał, były dni zwątpienia i gniewu.

Gdy Andruszkę z o. Romualdem pochwyciono, rozgłos był tak wielki i radość taka, że się wnet wiadomość rozeszła daleko i doszła do Trzemeszna naprzód, nareszcie do Poznania.

Tu nie wiedzano wcale o podstępie, którego Jurga był sprawcą. Opat był w smutku wielkim. Nie ośmielił się natychmiast o tem Bolesławowi zwiastować. Zwlekał. Nie można jednak było długo ukryć nieszczęśliwej wieści. Ks. Petrek, który ją miał pierwszy, chodząc z nią, pozornie zasmucony, dzieląc się ze wszystkimi, aby doszła do uszu króla.

Już naówczas piękna Oda, którą Bezprymowi z chęcią wydano, przybyła do Poznania i niezwłocznie małżeństwo pobłogosławione zostało. Zjechało się na wesele tłumnie rycerstwo domowe i niemieckie,

król hojnie przyjmował i zdawał się wesół a szczęśliwy.

Od pierwszego dnia, nowa pani nowe tchnęła w dwór życie, nową wesolą ożywiła trochę spoważnionych towarzyszy króla. On sam musiał się powodować niewieście, która z zuchwalstwem nadzwyczajnem, nie obawiając się groźnego pana, rządziła nim samowładnie. O dziwo! Król dawał się prowadzić posłuszny, wpatrując się w piękne oczy i zdał zapominać o wszystkich swych troskach, gdy mu Oda szezebiotała.

Mieszko i Ryksa nie mogąc się ani oddalić, ni wyłączyć, stali na uboczu.

Oda lekceważyła mężowską synową, nie dbając, że jątrzy cesarskiej krwi panią, a Bezprymowi nad Mieszkiem dawała w łaskach swych pierwszeństwo. On był jej najmilszym sługą. Król też nabrał trochę serca do Bezpryma i więcej teraz upatrując w nim zdolności, obiecywał mu też na przyszłość świetniejsze stanowisko.

Na pozór nie było nic odmienionego gwałtownie, przecież jednej niewiasty przybycie zmieszało dawny porządek, wwiodło jakiś zamęt, napelniło niemal strachem dawne sługi.

Pytano się siebie cicho, co będzie z tego panowania niemki zalotnej, nad królem chwilowo zaślepionym. Nikt się jednak nie ośmielał rzec słowa. Opat milczał i stronił nieco od dworu. I na to Bolesław uważać się nie zdawał.

Były to pierwsze dni roznamiętnienia krewkiego pana, całe oddane niewieście, która umiała oderwać go od wszystkiego i zawojować dla siebie.

Z tego czaru i upojenia nie wyszedł król Bolesław, aż gdy jednego wieczora, Zyg nie przyniósł mu korony skreconej ze słomy i nie położył jej u nóg jego. Karzeł był głupawy, iż się na żart taki ważył.

— Miłościwy panie — rzekł śmiejąc się — trzeba

będzie słomianą się kontentować, bo złotą cesarsey porwali.

Bolesław nie rychło go zrozumiał, a znaczenie słów pojawiwszy chciał go kazać wyrzucić precz i osmać. Zyg do nóg mu upadł, wyznając, że w całym dworze mówiono o tem.

Burza powstała sroga. Chciała Oda króla uśmie-
rzać, odepchnął ją po raz pierwszy, wejrzawszy na nią
tak, że pobladła i cofnęła się przelękła.

Na wołanie pańskie, które grzmiało jak burza
rozhukana, zadrżało co żyło, biegło wołane co zasły-
szało tylko. Skupili się wszyscy, król patrzył po
twarzach i mówić nie mógł z gniewu.

Sieciechowi wskazał Zygą, aby go wnet po-
chwycono, pytał głosem drżącym i zachodzącym się,
kto mówił o pochwyconej koronie, kto i zkąd słyszał
o niej. Zyg strwożony ks. Petrką imię wybelkotał.
Kazano natychmiast go przywieść.

Dwóch komorników wnet go niemal gwałtem
przyciągnęło przed króla, wystraszonego, bez duszy.
Zagrzmiał nad nim głos, zkąd i od kogo słyszał o tem...

Pisarz umiał powiedzieć tylko, że w całym dwo-
rze było to wiadomem, że koronę wiezioną cesarsey
na granicy schwycili.

Słano wnet po opata, który idąc, dowiedział
się o królewskim gniewie, lecz nie uląkłszy się go,
spokojnie i bez najmniejszego przybył pośpiechu,
król miał czas nieco ochłonać, a ujrzawszy wypo-
godzone, zimne, poważne, surowe oblicze idącego na-
przeciw sobie, zawstydził się tej gorącości z jaką wy-
buchnął.

Czekał aż się Aron przybliżył.

— Ojcie, prawda li to?—zawołał—wszyscy aż
do najnędnieszego błazna wiedzą tu o tem, o czem
ja nie wiem nie?

— Wieści chodzą o tem, lecz pewności nie ma,
dla tego płochych pogłosek do uszu twych podawać
nie było potrzeby.

Ks. Petrek, któremu szło o to, aby się dobrze
uwiadomionym okazał i nie został zatarty, przer-
wał kłaniając się opatowi, iż z cesarstwa przybywają-
cy od Marchii pogranicznych, jednozgodnie to poświad-
czali, iż w górach, poblizu włoskich granic koronę
i posłów schwyciono, a radość ztąd była wielka.

Pisarz, który potajemnie miał posłanie, a do nie-
go przyznawać się nie chciał, mógł zaręczyć, iż wieść
fałszywą nie była. Wiedział nawet w którym hrab-
stwie i miasteczku posłowie schwyceni zostali. Opat
wołał króla w niepewności trzymać.

Napróżno po tem obrażona Oda tem, że pośle-
dnie zajęła miejsce na chwilę, starała się Bolesława
pociągnąć i rozerwać. Król nie spojrzawszy nawet
na nią, z opatem poszedł na osobność. Zmieniony
był i gniewny, chciał natychmiast trzecie już posel-
stwo wysłać.

Dał mu wszystko wypowiedzieć Aron, słuchał
cierpliwie i znowu wielkim swym spokojem nieco
rozgorączkowanego upamiętał. Gniew, gdy nie zarazi
sobą tych, wśród których wybucha, musi zawsze
przygasnąć i w sobie zawarty trawić się powoli.

Ochłód Bolesław nieco.

Opata zdaniem było, aby nie poczynać nic, do-
pókiby wieści nie nadeszły pewne i ostateczne. Wszak
ci jedne posły pochwycione być mogły, a drugie wró-
cić szczęśliwie.

Jakkolwiek mała była nadzieja, Bolesław dał
się tem ukolysać. W sprawach nie wojennych nawykł
był ufać opatowi, którego rozum i baczność nie za-
wiodły go nigdy.

Pozostał jednak król posępnym i zachmurzonym
i Oda postrzegła po raz pierwszy, iż władza jej nad
nim nie była tak potężną, by wszystko inne stłumiła.

Szła dotąd przebojem i zuchwalstwem, z którym
się jej szczęściło, teraz musiała użyć innych niewie-
ściich sztuk, łzów, smutku i przypochlebiania, poko-

ry i czułości. Nie kosztowało ją zmieniać się, choć nawykła być śmiałą, pokonywać się musiała stając pokorną. Dla króla te kameleonskie zmiany coraz nowy wdzięk jej nadawały.

Miłość w młodości, mówią, opanowuje i zaślepia człowieka, lecz w latach późniejszych, gdy się życie wymyka, gdy ostatkami goni, niebezpieczniejszą jest jeszcze, bo z niej ostygnąć nie można.

Oda traciła moc swą i odzyskiwała ją wprędce a z tych walk wychodziła coraz silniejszą. W sercu jej nie było nic, oprócz żądzy panowania i pragnienia życia. Oczyma rzucała po dworze całym, jakby wszystkich zakuć potrzebowała w te więzy, w których król chodził. Ks. Petrek był jej powiernikiem i ulubieńcem, dodało mu to siły i pewności siebie. Opat widział wszystko i cierpiał, niespuszczając go z oka. Uszły tylko baczności jego stosunki z Bezprymem i umowy, które w cichości już aż do cesarskiego ucha sięgnęły. Cesarz zgodził się na żądanie królewicza, obiecywał mu królestwo, pomoc orężną, poparcie przeciw Mieszkowi z warunkiem poddania się cesarstwu.

Na Bezpryma twarzy czytać było można zmianę, lecz przypisywano ją przypuszczeniu do łask ojca i odepchnięciu Mieszka.

Ryksa z dumą rodowi swemu właściwą znosiła upokorzenie swoje i męża, nie narzucając się i nie chcąc żebrać przejednania. Ona także może w duszy rachowała na to cesarstwo, z którego panującami łączyła ją krew. Nie trwożył ją Bezprym, nie obawiała się Ody nawet, czując się tu niejako ogłoszoną następcy Bolesława żoną.

Mieszko był nim uznanym. Dumna pani nie przypuszczała zmiany i trzymała się na uboczu. Oczy wszystkich zwrócone były na króla i jego rodzinę, radował się w duszy jeden Ks. Petrek widząc zamęt, nienawiść, walkę, która groziła przyszłości.

Wszystko co gotowało ruinę, pożądaniem dłań

było, co ją przyspieszyć mogło, do tego ręki przykładał.

Posłuszny opatowi, król pozostał w oczekiwaniu niecierpliwem, rozjątrzonem, do gniewu skłonny. Oda teraz napróżno usiłowała pierwszych dni zapomnienie na wszystko powrócić. Niekiedy Bolesław odprawiał ją do krosien i kądzieli. Szła z ustami zagryzionemi, zamiast do swej izby, pomiędzy młódź rycerską, i drażniła króla strojąc śmiechy, które uszu jego dolatywały.

Dnie płynęły chmurami i jasnymi promieniami przeplatane. U stołu król się ożywiał, ale noc przynosiła z sobą troskę i sny rodziły niepokój.

Jednego dnia opat, który oko miał baczne na wszystko, a pamięć niezmierną, idąc z tumu na dworzec, spostrzegł na koniu zmęczonym wbiegającego w podwórze pacholka, którego twarz zdała mu się podobną do jednego z tych, co z Jurgą wyprawieni zostali. Wstrzymał się i skinął. Skoczył jezdny z konia i podbiegł ku niemu.

Opat go poznał.

— Co wiesz? — spytał.

— Wieść dobrą, ojciec przewielebny. O dwa dni lub półtora za mną ciągną o. Gerbert z Jaksą i koronę wiozą.

Zdumiał się radośnie Aron.

— Bogu niech będą dzięki, lecz tu wieść się rozeszła...

Chłopak się rozśmiał.

— A! tak — zawołał — Andruszka Jaksy z księdzem wieźli umyślnie fałszywą koronę i dali ją w ręce cesarskim. Poświęcona jest już na naszej ziemi.

Opat się nieco zamyślił. — Nie mów o tem, aż ci usta rozwiążą. Gdy cię spytają, powiedz że wracacie próżno.

Skłonił się posłany i uszedł ku stajniom a Aron do króla podążył.

Topiąc niepokój w kubku i rozmowie, Bolesław

siedział otoczony radą swoją i rycerstwem. Dnia tego, miał zrana do osądzenia spraw wiele, do pogodzenia spory zajadłe: znużony był karaniem winnych i jednaniem zwaśnionych. Niektórzy z nich stali jeszcze, bo Bolesław wyrok umyślnie odroczył, aby ich przywieść do upamiętania i zgody. Starzy wodzowie przypominali wyprawy swoje. Król słuchał rad i uśmiechał się czasem. Gdy opat wszedł z tą twarzą, na której nigdy nie nie można było odgadnąć, zawsze jedną i poważną, król się odwrócił ku niemu.

Przyjście jego zwiastowało zawsze ważną sprawę. Powstali wodzowie witając go, uchylił król głowę, pierwsze mu czyniono miejsce. Aron stał.

— Przynosicie mi co, mój przewielebny — odezwał się Bolesław — lub macie żądanie jakie do mnie? Wam zawsze i przedewszystkiemi należy pierwszeństwo.

— Dziś mi ono należy w istocie — rzekł Aron — bo przynoszę wam, miłościwy panie, to, czegoście najmocniej pożądali, koronę!

Oczy Bolesława zajaśniały, powstał poruszony cały, wszyscy się skupili ciekawi.

— Objawienie mieliście? — spytał.

— Przybył posłaniec od o. Gerberta, są o półtora dnia drogi.

— Więc niegodziwem kłamstwem było, na utraipienie moje zmyślonem, że ją pochwycono. Ukarać należy winnych.

— Nie winien nikt — odezwał się opat — koronę pochwycono i korona stanie tu jutro. Dano cesarskim tę, która poświęconą nie była, na łup, aby się uspokoili; namaszczona przybywa.

Na wszystkich twarzach odmalowała się radość, król podniósł ręce do góry. — Nie ma — zawołał przejęty — czegobym nie uczynił dla tego, co tak przebiegle i rozumnie postąpić umiał!

Gwar się stał taki w izbie, a za nim poszły okrzyki tak głośne, iż po całym dworcu rozeszła się

ta radość, której przyczyny nie wiedziano jeszcze. Zbiegali się ludzie, podpatrując i podsłuchując. Król po namyśle wprost kroki skierował ku kościołowi.

Szedł za nim Aron, szli panowie radni, ciągnął dwór, wlokła się ciżba. Kazano w dzwon uderzyć. Na grodzie mało kto wiedział, za co dziękczynne odprawiać miano modły, lecz biegli kto żył i cisnęli się do tumu.

Przed wielkim ołtarzem u grobu ojca stanął Bolesław, jakby z duchem jego dzielić się chciał radością swoją.

Aron pośpieszył do zakrystyi, aby z pocztm całego katedralnego duchowieństwa wynieść zaraz przed oświetlony ołtarz i zanucić hymn dziękczynny.

Ks. Petrek siedział w celi nad pergaminem, gdy Harno wpadł doń wołając, że korona z Rzymu przybywała, i że król z całym dworem w tumie już za nią Bogu dziękował.

Upewniony o pochwyceu jej ks. Petrek osłupiał. Niepojętem to było i dla niego. Tryumf, którym się pocieszał, obracał się niepojętym sposobem w upokorzenie.

— Kłamiesz niezdaro! — krzyknął. — Jak zawsze nierozumnem jesteś stworzeniem chwytającym na opak słowa.

W tem dzwon coraz wyraźniej posłyszeli bijący na tumie, chwycił na siebie płaszcz i wybiegł. Dokąd, nie wiedział sam.

Niewiasty i królowa nie wiedziały o niczem jeszcze, Mieszko, Ryksa, Bezprym i ich dwory, posłyszawszy okrzyki, słysząc bijący dzwon, wybiegli we drzwi, ślali ludzi. Nie wszyscy wytłumaczyć umieli co się stało, rozmaite obiegały wieści, wiedzieli tylko wszyscy, iż król z dworem na radosne jakieś do tumu pośpieszył podziękowanie Bogu.

Ks. Petrek z twarzą wybladłą i zmienioną, pierwszy przyniósł wiadomość, której nie wierzył, i chciał jej zaprzeczać.

Lecz tuż nadeszli do tumu inni, co ją potwierdzali. Ks. pisarz gniewał się i burzył, kłamstwem zowiąc i zwodnictwem co głoszone. Nieśmiały się z tem wydawać, iż miał najpewniejsze doniesienia, burzyło go to, iż im zaprzeczać śmiano. Zbiegł więc wprost do zakrystyi tumu i tam stanął oczekując na opata. Musiał przybrać twarz wesołą, choć się w nim zbierały gniewy i kipiła nienawiść.

Gdy po skończonym hymnie, opat się ukazał w progu i ujrzał ks. Petrka, podszedł jak stał w kapie i infule ku niemu.

— Ciesz się, mój ojcie — rzekł — król dostąpił wreszcie czego pragnął, poświęconej przez papieża korony. Wielkiego rozumu posłowie nasi, umyślnie koronę nie poświęconą dali w ręce cesarskim którzy ją zabrali, aby bezpieczniej panu namaszczonej, przywieźli.

Ks. Petrek, któryby był kłął, gdyby mógł, zbladł i skłonił głowę.

— Chwała ludziom rozumnym i przebiegłym! — odparł cicho. — Radość mamy wielką!

Rzekłszy to, a lękając się, aby po nim niepoznano, iż utrapionym był wielce, natychmiast wymknął się z pośrodku duchownych.

Nigdy może nie czuł się tak przybitym, tak upokorzonym jak w tej chwili.

— O lisy chytrel o węże złośliwe — mówił powracając zwolna do celi — złodzieje zręczni... symonjacy przekłecil... Potrafiłście więc papieża opłatać, cesarza oszukać, strażę uspić, i postanowiliście na swoim... Cieszcie się i śpiewajcie, radujcie i wynośćcie rozumy waszel nie ujdziecie mściwej ręki cesarskiej i kary Bożej. Runie, rozsypie się, zniszczy, w pył i proch obróci się dzieło waszel Tryumfujcie! krótkie będą tryumfy!

I śmiał się sam do siebie gorzko, dziko, złośliwie, a rzucając oczyma po podwórzu, wśród którego rozlegały się okrzyki witające króla, co rychlej po-

śpieszył zamknąć się w swojej celi, gdzie go ta nienawistna wrzawa niedochodziła.

VIII.

Radość przepelniająca serce królewskie płynęła z niego na wszystkich; powołał do siebie Mieszka, który się trzymał na uboczu, kazał przyjść Bezprymowi, i obdarzył go, aby na dzień uroczysty wspaniale mógł wystąpić, uśmiechnął się synowej. Odzie ogłosił, że będzie królową na równi z innemi, nadał opatowi ziemię i lasy, Jaksom majątność kazał wykupić... sypał w koło siebie dobrodziejstwa. Był szczęśliwym.

To błogosławieństwo, którego potrzebował dla dzieła życia całego, miało je utwierdzić na wieki.

W dniu, gdy korona upragniona nadejść miała, wysłano pocztę naprzeciw posłom, co ją wieźli, aby z wspaniałością należną wprowadzoną została i złożoną na ołtarzu, dopóki do Gniezna nie była przewieziona; gdy koronacja odbyć się miała z uroczystością wielką, przy napływie wszystkich panów, wodzów, władyków i rycerstwa, których gońcy powołać mieli z kraju całego i najdalszych jego granic.

Rozesłano ich wcześniej, naznaczając dzień dosyć odległy, aby wszyscy czas przybyć mieli.

Gdy w Poznaniu taka panowała radość, w Magdeburgu i na dworze cesarskim dowiedziano się z zeznań o. Romualda, iż korona oddana w ręce czatujących na nią wcale nie była tą, jaką papież Benedykt poświęcił.

Wyczekawszy nieco, posłany benedyktyn oznajmił to i oświadczył, iż gotów jest stwierdzić przysię-

gą. Sama obojętność jego a szyderskie prześmiewanie się Andruszki dowodziły zresztą, iż tak być musiało. Od granic też wysłani na zwiady przybyli z oznajmieniem, że poświęcona korona, mimo wszystkich zabiegów, była w Poznaniu, a uroczysta koronacja odbyć się miała w Gnieźnie.

Niepodobieństwem jest opisać wściekłość, jaka opanowała arcybiskupa i nieprzyjaciół Bolesława, gdy się o tem przekonali, iż mimo nich osiągnął czego pragnął.

Nie szczędzono Bolesławowi tych nazwisk, jakich mówiąc o nim użyli kronikarze niemieccy. Teraz więcej niż kiedykolwiek był on dla nich lisem chytrym, węzem wykrętnym, oszustem złośliwym... Wzrosła złość i chęć zemsty przeciwko niemu, jak niegdyś opat Aron przepowiedział.

Tem się pocieszali cesarscy, iż mieli na samym dworze wroga, tych, na których rachować mogli. U boku Henryka i pod jego opieką byli synowie Mieszka i Ody starszej; Ryksa niemka, Oda markgrafówna, Bezprym, który szukał zawczasu opieki cesarza; były to narzędzia, których sobie w dogodnej porze użyć obiecywano. Bolesław jeszcze im był strasznym, ale potomstwo jego mieli w ręku.

Czekali i cychali.

Tymczasem mszczono się na niewinnych, trzymając w srogiem więzieniu Andruszkę i o. Romualda. Dano ich do odludnego zameczku w górach, pod klucz stróża, który już niejednego cesarzowi nienawistnego winowajcę zamorzył w lochu. Napróżno opat Aron usiłował przez zakonników św. Benedyktyna wstawiać się za nimi. Król też obstawał przy tem mocno, aby jakimkolwiekbyś środkiem tych, co dla niego cierpieć, oswobodzić. Naznaczono okup wielki. Tenby też może nie został przyjęty, lub w ostatku trupyby zań tylko wydano, gdyby nie znaleziono w sąsiedztwie na lichym burgu siedzącego barona, który ofiarował

się za opłatą na gródek wpaść, gdzie załoga była słabą i więźniów odbić siłą.

Stało się jak przyrzekł. Nocą nadszedł z kupą ludzi niespodzianie chciwy okupu obrońca na gródek, którego nie pilnowano wcale, schwytał dozorców, zagroził im śmiercią, do więzienia wprowadzić się kazał i odbił nie tylko tych dwu, ale i innych, którzy w lochach gnili.

Ci rozpierzchli się w górach, a rycerz uprowadził Andruszkę i benedyktyna, którym bezpieczną wskazano drogę i opatrzone na nią.

Nim w Gnieźnie nastąpiła koronacja króla, już i tych dwu straconych powróciło do Poznania. Lecz obu ich trudno prawie poznać było, tak straszliwie niewola się znęcała nad nimi. Wybledli, schorzali, zgłodnieli, zmęczeni, wyschli, potrzebowali dłuższego spoczynku, by odzyskać siły. Jurga od chwili przybycia nie odstępował brata, a król obu ich obsypawszy łaskami, ojcowską troskliwością otaczał. Oba naówczas pokłonili się panu prosząc, aby im dozwolił spocząć na ojcowiźnie.

Choć niechętnie puszczał ich Bolesław od swojego boku, choć ociągał zrazu zezwolenie, w ostatku zgodził się, aby jechali do domu.

Dowiedziawszy się o tem pozdrowiał Andruszka wnet i uczuł, że na koń sięść może. Jurga któremu z Sieciechówną król sam obiecał sprawić wesele, szczęśliwy jechał gniazdo wyściełać.

Wiedzieli już, iż Bolesław majątności im wykupił, ale z cudzych rąk wyrwane, w jakim stanie odebrać mieli! Nadeszła była zima, przypominająca ową smutną, która dla nich tylu nieszczęść była przyczyną... Tak samo znowu ziemia była całunem okryta, оголоcona z liści drzewa, lodem zasłane rzeki i jeziora; wracali drogą tą pamiętną, którą ich królewski wysłaniec pod strażą na sąd prowadził. Wszystkie te wspomnienia, choć się niemi truć nie chcąc nie o nich nie mówili, przychodziły im na myśl mi-

mowolnie, a w miarę jak się do pustki zbliżali, smutnieli oba i jakaś ogarniała obawa.

Rycerskie ich serca miękły pod wrażeniem, które jako niemieżkie wyrzucali sobie, chociaż mu ulegali.

Jechali w małym orszaku czeladzi, choć opatrzeni we wszystko, lecz nie tak świetnie i butno, jak niegdys tu z kijowskiej powracali wyprawy.

Andruszcze na myśl też przychodziła nieszczęśliwa owa niewolnica grecka, którą ostatniego dnia przed przybyciem do Poznania w lesie zbłąkaną stracili i słyhać o niej nie było. Po powrocie z Rzymu mówiono im wprawdzie na dworze, iż się tam Antonina ukazała była, ale wkrótce potem znikła. Andruszka litował się nad jej losem.

Ostatniego dnia podróży, gdy się już do Jaksowych borów zbliżali, gołoledź się wzięła wielka, która jazdę utrudniała. Konie się ślizgały tak i upadały, iż w pośród drogi musieli stanąć szukając kowala, coby im zaostriął podkowy. Rzecz to pod owe czasy nie była ta łatwa. We dworach tylko i miasteczkach znajdowali się ci, wysoko naówczas cenieni kunsztmistrze, którzy z żelazem rady sobie dawać umieli. Znając dobrze drogę, wiedzieli gdzie się udać dla okucia koni na ostro, ale zmarudzili wiele czasu i co mieli stanąć przed wieczorem w starym dworze, ściągnęli do nocy.

Słońce już dawno było zaszło i gwiazdy się pokazały na niebie czystym, które ostry mróz obiecywało, gdy z lasów wynurzywszy się na szeroką polanę gródek otaczającą, z bijącym sercem ujrzeni go zdaleka. Zdumieli się mocno, zamiast ciemnej pustki widząc światło we dworze i dymy buchające po nad dachy. Andruszka i Jurga mimowolnie i razem popędzili konie żywiej. Wrota stały otworem, podwórzec pełen był ludzi i koni. U podsienia roilo się jakby gośćmi. Postrzegli, że na nich tu oczekiwano. Pachołkowie trzymali pochodnie smolne, przy których świetle poznali swoich stryjecznych, starego Tomka

Jaksę, którego dwoje pacholąt pod rękę trzymało i wszystkich swych krewnych i powinowatych. Na przedzie stał dziedzic Komory, ten, co króla u siebie krwi półmisią chciał przyjmować.

Zsiedli z koni uradowani gospodarze, naprzód do najstarszej głowy rodu, do Tomka Jaksy z pokłonem.

— Niech Bóg błogosławi zmartwychwstałym! — zawołał głosem drżącym starzec — niech Bóg błogosławi, a pomnijcie, coście to przeszli za młodości bujność i że cudem ocaleni jesteście...

Wszyscy zarem ścisnąć się zaczęli i okrzyki zabrzmiały w podwórzu. Dawni słudzy i dwornia cisnęło się do panów, padając im do nóg i całując po rękach. Niektórych brakło, ci już spoczywali na „Bożej roli“. Zdała pod słupy drewnianemi w czarnej sukni Andruszka ujrzał Antonią, która zdawna tu widać czekała na niego, klasnęła tylko w ręce i zawstydzona uciekla.

Dom, który się pustym i огоłoconym zastać spodziewali, z rozkazu króla obficie był zaopatrzony we wszystko. W wielkiej izbie zastawione stoły czekały na gości. Gdzie zajrzeć pełno było szat, oręża i dostatku...

Snem i cudem wydało im się to odrodzenie do nowego żywota i po tylu przebytych przygodach.

Wnet też służba z misami, dzbanami, ręcznikami, jadłem i napojem ciągnąć zaczęła i wszyscy u stołu mieścić się wesoło. A że był i duchowny zesłany przez króla i opata dla poświęcenia domu na nowe życie, uroczystem błogosławieństwem rozpoczęła się uczta. Trwała ona do dnia białego, bo każdy z dawnych i nowych dziejów miał co opowiadać, a szczególnie Jaksowie oba o owej podróży, w której tyle cudów oczyma swojemi oglądali, a o tylu się nasłuchać mieli zręczność. Tym, co się nigdy po za granicę zachodnią kraju swego nie ruszyli, zdały się nie do wiary opisy kraju, jakie Jaksowie przebywać

musieli i powieść o stolicy wielkiej, której na pół zniszczone wspaniałości oglądali.

Cały dzień następny owi goście pozostali jeszcze. Przesiedzieli i dzień trzeci, a Jaksowie się przekonali obejrawszy po domu, iż zapasów na przyjęcie starczyło. Było wszystkiego podostatkiem.

Czwartego dnia dopiero zostali sami, a że Jurga do wesela musiał się sposobić, a Andruszka szeptał coś, iż gotów też poślubić greczynkę, bracia radzi nieradzi o rozłączeniu się pomyśleć musieli. Na obszernych ziemiach, które w ich posiadanie wróciły, była druga stara, opuszczona siedziba, zwana Gródkiem zielonym. Andruszka chciał tam osiąść, Jurga gotów mu był ustąpić z Jaksowych borów, lecz starym obyczajem słowian, ojcowskie gniazdo należało młodszemu i starszy zmusił brata, aby w nim pozostał.

Podzielono równo ziemię i dary królewskie, a Andruszka nie zwlekając pojechał zaraz na Gródek zielony, aby się w nim zagospodarować. Jurga tymczasem w dawnym dworze krzątał się przyprowadzając go do porządku, ściągając służbę i gotując się na przyjęcie młodej pani. Niewiele naówczas wymagano, życie nawet po królewskich i pańskich dworach było bardzo proste i niewytworne. Kraj na wojny narażony, cały był niemal wiekuistem obozowiskiem. Nawykły były i niewiasty, w razie wieści o napadzie, dosiąść konia, uchodzić w lasy i koczować w nich pod namiotami, często potem, gdy niebezpieczeństwo przeszło, wracając na zgłiszczą.

Parę izb starczyło dla gospodyni i jej pracowniczego dworu, spędzając dni całe u kądzieli i ogniska; a choć w uroczystości obwieszano się łańcuchami i odziewano złotogłowem, nie wstydziły się królewne prząść a księżniczki gotować.

Oba Jaksowie pozostali pracując około domów, gdzie wiele do czynienia mieli, aż do dnia naznaczonego na koronację królewską.

Bolesław chciał ją mieć tak świetną, tak wspa-

niałą, ażeby odgłos jej niemców utrapił i rozszedł się po całym świecie. Szczegółnie mając nabożeństwo do św. męczennika Wojciecha, nazaczył król dzień jemu poświęcony w kwietniu na obchód ten, na który zwołano ze wszystkich ziem podległych wojewodów, żupanów, starszyznę i co było najznaczniejszego.

Na grodach tylko w obawie, aby nieprzyjacieli nie korzystał z ogłoszenia ich pozostawiono dowódców i załogi. Wszyscy jechali z pocztami świetnymi pod znakami ziem, prowadząc lud przyodziany wspaniale. Ze wszystkich kościołów i klasztorów zwołano duchowieństwo, aby liczbę jego pomnożyć. Zaprosił król i Guncelina, i markgrafa Ekarda, ojca Ody, i niemców kilku, aby świadkami byli uroczystości, która wspaniałością królewską dorównać miała pamiętnemu przyjęciu w Poznaniu i Gnieźnie Ottona III.

Zamek gnieźnieński nie mógł starczyć na pomieszczenie ani połowy gości, jacy tu przybyć mieli, chociaż do starych dworców kilka wielkich izb stołowych przybudowano. Reszta ludu i panów pod namiotami i szałasami nad jeziorem, na Jeleniu, na podzamczu obozować miała. Już w połowie kwietnia z Poznania nieustannie szły tu wozy ładowne, a ostatnie miesiące zimy wszyscy łowcy królewscy polowali, w lasach, aby mięso na te gody przysposobić dla pospolitego ludu.

Na tysiące liczyć było można spodziewanych gości, którzy wszyscy na koszcie i żywności króla utrzymać się musieli. Nie było to już pierwszą dla Bolesława, bo dwór cesarski także licznym był i zjazd ogromny. I teraz dla dodania okazałości, co najpiękniejsze poczty pancerników barwianych, co najzwyklejsi tarczownicy stawać mieli w otoczeniu królewskim.

Siedział jeszcze na arcybiskupiej stolicy gnieźnieńskiej brat Wojciechów Radzym, mąż świętobliwości wielkiej i ducha tego, co męczennika ożywił, starzec już w latach podeszły, przez króla na równi

Bracia Zmartwychwstańcy T. III.

niemal czczony z tym, którego ciało na wagę złota wykupił. Jemu dano było, jakby w imieniu Wojciechowem namaścić skron królewską... i od nikogo innego poświęconego wieńca nie chciał Bolesław przyjmując, tylko z rąk jego.

Na wzór obrzędu, z jakim koronowano cesarzów w Akwisgranie, duchowieństwo ułożyło ceremoniał przysły. Korona z Rzymu przysłana, włócznia św. Maurycego, dar cesarza Ottona, w berło oprawna, miecz błogosławiony, który Bolesław zawsze u boku nosił, służyć miał do koronacyi. Jabłko dano ukuć z bryły złota niewielkim kunsztem, ale go tylko silna dłoń króla podźwignąć mogła, tak było ciężkie. Ciężkie jak władanie krajem, ciężkie jak odpowiedzialność zań przed Bogiem.

Na kilka dni przed św. Wojciechem na gościńcu z Poznania do Gniezna lud płynął tak gęsto, jechało wojsko, szło wozów tyle, iż się przecisnąć było trudno. Z gości zagranicznych ojciec markgrafównej odmówił przybycia, składając się chorobą. Guncelina przyprowadziła ciekawość. Był tu posłańcem, co miał wypatrzyć wszystko i donieść dalej...

W Niemczech gniewy były srogie, zaciętość niesłychana, potwarze też rodziły się z niej najczarniejsze, nie wierzone w koronę z Rzymu ani w błogosławieństwo, zarzucano Bolesławowi samowolę i zuchwalstwo, bunt przeciwko władzy cesarskiej.

Bolesława mało się to zdawało obchodzić, wiedział, że raz włożona korona, siłą poparta, uznana być musi i poszanowana.

Dzień naznaczony, choć kwietniowy, wstał z jasną pogodą i słońcem. Podwórcę, wały, cały obwód zamkowy i łąki dokoła tysiącem ludu były pokryte. Świątynia gorzała światłami, które grób i ołtarz wielki otaczały, cały złotemi blachami obity, z krzyżem olbrzymim ze szczerzego złota, który Bolesław ofiarował. Droga od zamku do tumu wysłana było suk-nem purpurowem. W kościele naówczas szczupłym

zaledwie dostojnicy i starszyzna pomieścić się mogła, reszta otaczała go, zajmując obszerne podwórcę.

Gdy Bolesław cały złocistą szatą odziany, w płaszczu purpurowym, ukazał się w drzwiach dworca, rozległy się tysięczne okrzyki dokoła. Poprzedzał go, otaczał, szedł za nim orszak ogromny, w sobolich kożuchach, w łańcuchach, w pasach sadzonych, z mieczami u boku, z laskami w rękę dostojnicy... Za królem szło jego radnych dwunastu, za nimi królowa z niewiastami swemi w blasku młodości, dumna, wesola, szczęśliwa... We drzwiach dwu biskupów, Radzym i poznański powitali pana błogosławieństwem i wodą święconą i, ujawszy go pod rękę, wiedli ku ołtarzowi. Wstrzymał się jednak Bolesław u grobu Wojciechowego, bo opiece męczennika przepisywał całe powodzenie swoje. Tuż niesiono na poduszkach oznaki władzy, poświęconą koronę, jabłko, berło i miecz, które na ołtarzu złożono...

Rozpoczęły się wśród ciszy modlitwy i śpiewy, a Radzym drżącym głosem przemówił do króla, opowiadając mu o władzy, obowiązkach i ciężarach...

Szły za tem owe uroczyste zapytania i odpowiedzi, ważące jak przysięgi, i sama przysięga na ewangelii i przejęte modlitwy, psalmy, aż nareszcie namaszczenie, włożenie korony, oddanie berła, przypasanie miecza, który dobywszy król, na cztery świata strony przeszył nim powietrze, i śpiewy rozległy się wesołe, zwyczajne, głośnie. Bolesław siedział już na tronie, spoglądając dumnie dokoła. U wielkiego ołtarza Radzym niekrwawą składał ofiarę.

W czasie mszy jeszcze ciągnęły się modlitwy, dziękczynne. Już nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy nagle dzień jasny zmienił się w noc prawie. Czarnemi chmury okryło się słońce, wichur zawył wściekły, sygnęło gradem i ulewą...

Zbladł król siedzący na majestacie, zadrżeli wszyscy, kapłani tylko nie przerwali śpiewu, a Radzym ostatnią odmawiał spokojnie modlitwę... Słychać było

w oknach i blony kościelne bijącą burzę, parę błyskawic bladych przeszło powietrze, daleko grom rozległ się długo, odbijając i jakby tocząc po okolicy. Na chwilę ziemia, dachy, kielkująca zieloność wiosenna, wszystko okryło się szatą białą, zimową. Na obliczu ukorowanego, mimo męztwa, widać było wrażenie tej przestrogi, czy groźby niebieskiej. Czas jakiś nie ustawał wicher, zdając się wysilać na dach świątyni i jej ściany, które smagał i oblewał mroźnymi falami. Ostatnia modlitwa była skończoną, gdy burza gwałtowna zwolna uchodzić zaczęła. Niekiedy jeszcze ostatni szturm przypuszczała do świątyni i bezsilna omdlała, zmieniła się w wiatr słaby, który zdarł z niebios opony. Z za oszarpanych obłoków poczynął błękit przeglądać, ulatujące chmury zmieniły barwę i zbielały, złocąc się promieniami słońca. Coraz szerzej ukazywał się lazur pogodny, coraz bardziej rozrywały się chmury i słońce w całym majestacie swoim ukazało się zwyciężkie, w mgnieniu oka roztopiając białe krupy, któremi okrytą była ziemia, susząc zmokłe pola i przynosząc ciepło wiosenne.

Tym słońca promieniem zdała się nanowo jaśnieć i twarz królewska, na którą wróciła pogoda i zwycięzki wyraz spokoju.

Bolesław podniósł ukoronowaną głowę, aby natychmiast wstawszy unieść ją jeszcze przed ołtarzem i u trumny męczennika.

Gdy król przeprowadzany przez duchowieństwo ruszył nazad do drzwi kościoła, w podwórcach ozwały się trąby, rogi i wołanie wielkie radosne. Całe zastępy pancerników, miecze dobywszy, stały jakby w obrobie ukoronowanego.

Dzień to był wielkiego zwycięstwa po upokorzeniu wielkiem i przeciagnionem długo, zwycięstwa odniesionego nad cesarstwem, wyzwania jakby i wypowiedzenia mu wojny. W tych tłumach, co było Niemcom przyjaznego, przez nich wysłanego, gryzło wargi i bladło gniewem tłumionym. Guncelin we

zbroi wspanialej, cały świecący od złota i klejnotów szedł posepny w orszaku, nie umiając ukryć srogiego rozżalenia. Przepych ten niezmierny, seciny wojska, zbrojny lud, potęga nowego króla jadły mu serce. Pomiędzy duchowieństwem, nieznaczące miejsce zajmując, jakby się od oczu ukrywał, sunął się ks. Petrek z pokorą udaną i przejęciem kłamanem. I jego pierś ścisnęła się pod wrażeniem tego dnia uroczystego, zdającego się zwiastować dalszy szereg dni wielkości i potęgi. Niekiedy okiem i wejrzeniem bojaźliwym rzucił po tych tłumach, sięgnął daleko i wnet, jak oślepiiony wzrok na ziemię spuszczał. Czuł się zwyciężonym, gorycz mu zalewała usta i paliła wargi.

Twarz opata Arona, który był też w orszaku duchownych, otoczony mnichami swojego zakonu, nie zmieniła się wcale, nie widać było na niej ani uczucia tryumfu, ani obawy. Zawsze jeden, nieporuszony, spoglądał tylko na króla, jakby czytać chciał w twarzy jego. Ani burza nie uczyniła go trwożnym, ni słońce mu dało weselsze oblicze. Nie można było w nim poznać, ni domysleć się tego, którego sprawą i prawie wyłącznym owocem trudu był dzień dzisiejszy. Modlił się ze spokojem człowieka, dla którego wszystko co świat dać i odjąć może, obojętnem się stało, spodziewanem i zwyczajnem. Wzrok ks. Petrka ilekroć padł nań, zaogniał się, białka zdawały krwią zachodzić, oddychał ciężiej, piersi miał zemsty i nienawiści pełne.

Na dworcu wnet otoczyli króla wszyscy, niosąc mu dary i życzenia. Tu poznać było można, jak ten surowy i gwałtowny często król umiłowany był przez wszystkich. Wojacy szczególnie, którym w obozie był starszym bratem, zbliżali się doń jak do towarzysza broni, przejęci i poruszeni. Bolesław miał dla każdego uśmiech i wesołe słowo.

Dnia tego królowa jedna była nieco zapomniana,

lecz twarzą wesolą kłamała uszczęśliwienie wielkie, czekając swej chwili. Jakoż król w ostatku do niej się zwrócił, a była dnia tego taką krasą przyobleczone, że oczy wszystkich oderwać się od niej nie mogły. Siedzenie jej zgotowaniem było przy królewskim. U tegoż stołu cała zasiadała rodzina, dumna Ryksa, której piękność poważna o lepszą szła z zalotną Odą, Mieszko, Bezprym nawet, i w sukni duchownej skromny i pokorny Dobromir, syn Bolesława, który w Trzemesznie po dobrej woli z mnichami razem przemieszkiwał, a był tak szczęśliwy, że innego życia nie pragnął. Wziął on po matce i rysy twarzy, i przymioty duszy, pokorę, pobożność a łagodność.

Kochał go król, ale sercem litościwem tylko. Cóż mu było po synu, który orężem władać ani chciał, ani umiał?...

Bezprym i Mieszko, których stół rozdzielał, siedzieli niekiedy spoglądając ku sobie groźnemi oczyma; braterską w nich widać było nienawiść, od miłości braterskiej trwalszą.

Bezprym mierzył czasem oczyma Ryksę, czasem uśmiechał się do Ody. U tegoż stołu dano miejsce starszynie duchownej i Guncelinowi, który napróżno usiłował udać weselość. Król też nie patrzył na niego. Dnia tego zamknięty był w sobie.

Przepowiednia niebios ciążyła nad nim, słońce co przyświecało pochodowi, burza i ciemność, która obrzęd zakończyła, powrót światłości i pogody...

Duchowieństwo nawet skłonne było w zjawiskach takich upatrywać, jak we wszystkim, znaki i przestrogi Boże. Wierzyli w nieustanne mięszanie się potęg niebieskich w sprawy człowieka najpobożniejsi ludzie. Żadna czynność ważniejsza nie spełniła się bez zwiastowania jej znaczenia, bez upomnienia, bez groźby lub pociechy z góry. Burza też ta na umy-

ślach pobożnych zostawiła wrażenie głębokie i pocieszano się tem tylko, że po niej znowu wróciło jasne słońce.

Gwarna biesiada przeciągała się bardzo długo, nie tylko na dworcu, lecz w przybudowanych izbach stołowych pod namiotami, a dla pospolitego ludu pod gołem niebem. Ktokolwiek przyszedł dnia tego, został nakarmiony i napojony, nie odpychano nikogo, nawet najędźniejszego żebraka.

W jednej tylko odalonej izbie na grodzie, której drzwi stały niezamknięte otworem, radości ani biesiady ni życia nie było. Zajmował ją od lat wielu oślepy Odylon. W przededniu przybycia króla Stoigniew obawiając się, aby zuchwalstwem swem uroczystego nie zamięszał obrzędu, zmuszonym był zamknąć go i straż postawić. Starzec zagniewany, oszalały, który wiedział co się na grodzie gotuje, z gniewu i boleści miotając się zamknięty i bijąc o drzwi i ściany napróżno, padł nareszcie dobity rozpaczą i konał...

Rankiem Stoigniew, któremu znać dano, przyszedł opatrzyć trupa; znalazł go skostniałym.

Leżał na wznak z piersią obnażoną, z brodą rozwiązaną, z usty otwartymi, jakby w szyderskim ostatni raz rozdarły się uśmiechu, z pięściami zaciśniętymi, a u nóg jego chłopię co go wodziło, skulone płakało rzewnie.

W pustej izbie nie było więcej nikogo, na proggu szczebiotały wróble, zbierając rozsypane chleba krużyny. Niedaleko ztąd rozległo się wesele, tu była ciśza śmierci i pustka niedoli...

Z tych gromad, które zamek przepelniały, niekiedy zbłąkał się człowiek jaki przypadkiem pod drzwi półotwarte, zajrzał w głąb, stanął przestraszony, popatrzał na starca, którego ciało zsiniałe

czekało pogrzebu, na zachodzące się z placu chłopię... i uszedł.

Gdy od stołów ruszać się poczęto, a wstawał kto chciał, aby się zbliżyć do innych, podniósł się też Guncelin, bo mu tu ciężko było oddychać. Pił wiele, aby zalać gniew i jakby oliwy do ognia dolewał, palił on go coraz mocniej.

Sam nie wiedział prawie jak się znalazł we drzwiach otwartych, aby powietrzem chłodniejszym odetchnąć, szedł tak rozmarzony, że psów, płaczących mu się pod nogami, nie widział i kilka razy skowyczeniem ich dopiero ostrzeżony, opędzać się im musiał.

Już wychodził, gdy na progu nastęczyła mu się twarz znajoma. Stał przed nim ze skrzywionymi ustami sfaldowanymi dziwnie ks. Petrek. Znali się z sobą dobrze. Porozumieli się oczami i poszli w podwórze, ale i tu wrzawa mówić nie dawała, a ludu kręciły się gromadki wesole. Posunęli się dalej mileczący, a idąc tak coraz spoglądali na siebie, mówiąc oczyma, bo nie śmieli ustami... Guncelin pogardliwą twarz przybrał... Petrek szyderską.

— Cesarski przepych! niewidziana wspaniałość! Wielki pan nasz! — odezwał się tak, iż rozpoznać było trudno, czy urągał się, czy podziwiał, czy szczerym był czy obłudnym.

— Dzień uroczysty! dzień wesela i zwycięstwa... Żal tylko, że Bóg go napiętnował groźbą i przestrogą... Słyszeliście tę burzę... co nasze pieśni zagłuszyła?...

Guncelin głową tylko dał znak.

— Takie zjawiska nie przychodzą nadaremnie! palec Boży! palec Boży!... — mówił ks. Petrek wzdychając. — Żal mi naszego miłościwego pana... Patrzałem nań, gdy grom się dał słyszeć, zbładł i zadrżał. Był to głos Boży!.. tak... wszyscy uczyli, iż to było wołanie z niebios do upamiętania...

— Ale po tej groźbie — odparł Guncelin półgłosem — wróciło słońce i pogoda...

— Burza była straszna... — przerwał ks. Petrek, jakby w burzę wierzył tylko.

Szli tak unikając tłumów coraz dalej, jakby przejść się chcieli tylko. Za ścianą dworu dopiero Guncelin stanął, ręką wskazał w stronę komnat królewskich i rzekł cicho.

— Kruche to wszystko budowanie!... nie potrwa!...

Uśmiechnął się Petrek.

— Co najdłużej do końca żywota mniemanego króla... Siedzieliście miłościwy grafie u jednego stołu z Mieszkim i Bezprymem... musieliście widzieć, jak się jedli oczyma... Tak się jeść oni będą o pierworództwo i koronę... Patrzaliście na śliczną królowę Ode, i tej Pan Bóg da potomstwo... Cesarstwo ma tu sprzymierzeńców, a nie ma nikogo, coby miał moc walczenia z niem... Temu jednemu dana była potęga, aby skruszoną została... I w proch się rozsypała...

Mówił ks. Petrek, gdy właśnie u drzwi półotwartych stanęli, za którymi leżał trup Odyłona. Płaczące chłopię widać było.

Ksiądz zajrzał i cofnął się ręce łamiąc. Bładością twarz mu się i tak żółkła okryła.

— A toż nie jest znak prawicy Bożej, która śmierć zsyła na przestrogę wśród wesela?

Guncelin zajrzał.

— Żebak jakiś! — rzekł.

— Bratanek pański, któremu on wylupić kazał oczy — porywczo począł Petrek. — Znałem go, Odyłona się nazywał. Ile razy król miał przybyć do Gniezna, czuł swego wroga i wychodził przeciw niemu z przekleństwem. Dziś go ono zadławiło!...

Mileczący zatrzymali się czas jakiś, patrząc na leżącego trupa. Widok to był nadto przykry, by

długo ścierpieć go mogli, odeszli wracając ku pełnym podwórcom.

— Wszystko to nie na długo—przebąknął Guncelin. — Młoda niewiasta dla zmęczonego żywotem człowieka trucizną. Słodki jad z ust jej śmierć zaszczepli... Oczy mu się do niej palą...

Potwierdził Petrek.

— I ja tak mniemam... Kruche i wątle to budowanie... Trzeba stać na straży, aby w chwili potrzebnej być na stanowisku... Zawre tu walką, zawre wojną, ledwie mu się zamkną oczy...

Oszukano Ojca św. papieża, uwiedziono go — mówił dalej — zapewniły go przewrotne mnichy, że cesarz dał swe zezwolenie. Inaczejby Benedykt nie posłał tej korony... Kraść ją musieli złoczyńcy!... Opat Aron był duszą wszystkiego... Powiedzieć o tem. Cesarz Henryk szanuje tych przewrotnych zakonników, w Kluniaku na ołtarzu złożył jabłko, które mu papież ofiarował, obsypuje ich darami... Tak mu się wywdzięczają... Oni tu wszystkim... krajem zawładli, zakładają codziennie klasztory, mnoży się ich liczba... zapanują. Biskupów objęli, otoczyli... u króla pierwsi, a cesarstwu nieprzyjaźni.

Słuchał Guncelin z uwagą.

— Pobożny pan nasz cesarz Henryk i małżonka jego Kunegunda nie dają sobie na nich rzec słowa... Oni też dwoje żyją z sobą obyczajem niemal zakonnym — rzekł uśmiechając się Guncelin. — Świątobliwy to pan, ale nie do miecza cesarskiego stworzony... dla tego lada słowiański panek pod nosem mu przywdziewa koronę bezkarnie...

Głową potakiwał Petrek, nie śmiejąc ustami, gdyż cześć miał zbyt wielką dla dostojństwa cesarskiego, by rzec co miał przeciwko niemu.

Westchnienie tylko z ust mu się wyrwało.

Z tysiąca takich obrazów składał się jeden

wielki dnia tego. Obok, wesela i tryumfu snuła się troska i warzyły bezsilne gniewy, ale te ukrywać się i tać musiały. U stołu pańskiego dwaj powołani Jaksowie sprawiali służbę podczaszych, a ile razy który z nich kubek panu podawał, uśmiechał mu się Bolesław. Drożsi mu też byli, niż przedtem, jako te owieczki zbłąkane, które do stada wróciły.

I nie jeden dzień, ale całe siedem uczutowano tak w Gnieźnie, przy zawsze pełnych stołach, a coraz weselszej myśli. Skarbiec pański stał otworem, bo każdy odjeżdżający co przybywał pożegnac, obdarzonym być musiał wedle stanu i dostojństwa.

Już się miało ku końcowi uczty, a król do Poznania zabierał się powracać, gdy jednego wieczora wezwano ks. Petrka do opata. Ani wątpił, iż gdy wszystkich za wierne służby i dla pamięci dnia tego obdarzano, on także miał otrzymać dowód szczodrobliwości króla.

Wiadomo było wszystkim, że przez ręce opata Arona szły ofiary dla duchownych, nadania klasztorom i podarki.

Zastał przelożonego swojego w obszernej izbie na tumie, której stoły założone były kunsztownymi sprzętami, złotymi i srebrnymi naczyniami i sztabami złota, przeznaczonemi do kościołów, kilka kart, na których spisane były nadania dla duchowieństwa ziem i osad leżały też przygotowane. Opat przywitał go twarzą, jaką miał zawsze.

— Wezwałem was, ojcze — odezwał się — abym wam w imieniu króla podziękował za usługi, jakieście mu oddali. Przeznaczono wam tę ilość złota w nagrodę i... wszystkie koszta podróży...

Ostatnie wyrazy zdawały się tak niezrozumiałe ks. pisarzowi, iż zapytał—

— Podróży?... jakiej podróży?

Opat chwilę pomilczał.

— Miły ojcie — rzekł w końcu — sądzę, że wam będzie przyjemniej powrócić do Magdeburga, do przyjaciół waszych, niżeli tu dłużej zostawać...

Ks. Petrek pobladł.

— Nie przeczę — odezwał się głosem drżącym — iż mam przyjaznych w Magdeburgu duchownych... sąż już moje usługi tu niepotrzebne, lub miałaby wierność moja dla króla być podejrzaną?

Uśmiechnął się opat.

— Ojcie mój — odezwał się spokojnie — nie podejrzewaliśmy was nigdy, wiedzieliśmy od początku, komu służycie i wiarę trzymacie. Zostawiliśmy was na urzędzie tylko dlatego, iż woleliśmy mieć na nim osobę, której wiedzieliśmy, że się strzedz mamy, niżeli się obawiać nieznajomego... Dziś, gdy król koronę otrzymał, gdy wszystko odkryte... po cóżbyście dłużej pozostawać mieli? Cobyście im donosili?...

W miarę jak Aron mówił, stojący Petrek bladł coraz bardziej, drżał i o ścianę oprzeć się musiał, by nie paść.

— Potwarze to są wrogów moich! — zawołał — ale Bogu ofiaruję niesprawiedliwe posądzenie... On niech was sądzi...

To mówiąc w piersi się uderzył,

Opat Aron, jak gdyby na stole szukał co dla ks. Petrka było przeznaczone, karty usuwał i przedstawiał nagromadzone dary, nie słuchając odpowiedzi. Z głębi wyjął woreczek, rozwiązał go i wyjąwszy zeń zwitki, które pod drzewem Jaksowie odkopali, nie mówiąc na dłoni je podał protonotaryuszowi.

Oczy jego padły tylko na nie, ciężki oddech dobył się z piersi, odpowiedzi nie było. Dowód zdrady był nieodparty.

Nierychło począł pisarz bełkotać.

— W sumieniu czysty jestem... służyłem kościołowi i cesarstwu, którym wierność winienem. Jeżeli kto zdrajcą, to ci, których pobożny pan łaskami obsypuje, a ci przeciw niemu się zmawiają.

Opat wzgardził odpowiedzią.

— Konie i służba gotowe dla was — rzekł — zabierzcie złoto... Chceście chcieli, nie mogliście nam zła uczynić, a praca była pożyteczną... Więc płaca wam należy...

To mówiąc, opat posunął złota bryłę i głowę skinął na pożegnanie, ks. Petrek zagarnął w pojędatek i oddalił się w milczeniu...

IX.

E P I L O G.

Lat kilka upłynęło od koronacyi króla w ciszy niemal i pokoju. Rzadko na granicach ucierać się było potrzeba. Bolesław mógł owocu trudów swoich używać spokojny, lecz z każdym rokiem siwiał włos na skroni, więcej marszczkami orało się czoło, wielki król posepniał i smutniał.

Proroczym wzrokiem znać przyszłość gotującą się przeglądał.

Małżeństwo z Odą, które ożywiło i opromieniło dni jego na czas krótki, zaczynało ciążyć i niepokoić. Młoda niewiasta płochą była i miłowała rozrywki, król poważniał i śmiech mu nie był do twarzy.

Szczęście owo wyczerpywało siły, rodziło tęsknotę; przypominały się szczęśliwsze dni pożycia z nieboszczką królową Emnildą, do której Oda wcale nie była podobną.

Próżna, dumna, rozmiłowana w piękności swej, dla której szukała wielbicieli, myślała tylko o tem, by występować z przepychem i otoczyć się wrzawą. Z kolei ulubieńców na dworze wybierała i odpychała,

a gdy król marszczył się i żymał jątrzyła go, okazując tem większą wesołość i lekceważenie.

Miedzy nią a poważną i surową Ryksą, choć nie wybuchały spory, walka była ciągłą. Siostrzenica cesarska nie dawała ani uchybić sobie, ani się zepchnąć z należnego stanowiska. Oda usiłowała codzień jej dać uczuć, że ona tu była królową. Dwie niewiasty nie mówiły prawie do siebie, nie spotykały się tylko publicznie, a gdy wzrok ich się skrzyżował, zdawały wyzywać wzajemnie. Tak samo Mieszka nienawidziła Odę, gotowa przeciwko niemu stawić Bezpryma. Królowi, znając słabość jego, nieustannie poddawała dowody przeciwko Mieszkowi, jako był nieudolnym i bezwolnym, stawiać drugiego z mocy i odwagi. Lecz król milczał i na niewieście szczebiotanie nie obracał uwagi. Gniewało to królowę, a starań nie porzucała, pewną będąc, że słowa jej powoli Bolesława zmienia i nawróca.

Król przeciwnie: z wielkiej owej namiętności dla markgraflownej, coraz bardziej ostygał i obojętniał dla niej. Oddalał się od niej i nie zwierzał z myśli swych.

Gniewała się Oda wyrzucając mu, że ją wziął jak niewolnicę do łoża, nie jako królowę do boku, a Bolesław niemal potakując się uśmiechał.

Tak płynęły dni coraz cięższe.

Król też więcej teraz, niż kiedykolwiek zajmował się jakby zabezpieczeniem przyszłości. Ustanawiał strażę po zamkach na granicach, Mieszka wysyłał na oglądanie ich, troskał się o rzecz najmniejszą, ogłaszał rozkazy, wpajał miłość sprawiedliwości. Za młodszych dni bohater na polu wojny, chciał być prawodawcą i gospodarzem w podeszłym wieku.

Najuboższy lud pierwszy u niego miał posłuchanie, najmniejsza krzywda mu wyrządzona więcej go obchodziła, niż spory o szerokie ziemie i lasy pomiędzy rycerstwem.

Okazując miłość dla Bezpryma i o los jego tro-

skliwość, nie spuszczał król z oka Mieszka, przy każdej zręczności powołując go do boku i głosząc następcą swoim, tak, aby wola jego najmniejszej nie uległa wątpliwości.

Bezprym na oko posłuszny, zatajał myśli swe i—czekał.

To nieustanne zajęcie, podróże po granicach, sądy, lowy, gościny i przyjęcia trzymały króla na pozór w dawnej sile, ale ci co go otaczali widzieli jawnie, iż nie tym już był co niegdyś.

Na konia ciężko mu siadać było, myśl wesółą przy biesiadzie przysła rzadko, stary Zyg próżno się go starał rozechmurzyć. Królowa strojna i jaśniejąca wdziękami nie ściągała wejrzenia...

Czasem ktoś ze starych towarzyszy, gdy przybył z pokłonem i powieścią o wyprawach dawnych, trochę mu rozjaśnił czoło. Zyl tylko przeszłością, a o przyszłości myślał jednej.

Gdy z opatem był sam, pytał go codzień niemal:

— Ostoiż się dzieło moje?... Ma-li Mieszko siłę?... Rycerz jest mężny, lecz czy królem być potrafi?..

Pocieszał go Aron, ale często bardzo, gdy król się przed nim otworzył, ze zdumieniem widział w nim wątplenie wielkie i jakby widzenie przyszłości groźnej.

Od koronacyi niemal poczęło się to powolne dożywanie żywota i gotowanie się do zgonu, którego sama myśl wszystkich przerażała.

Bolesław widział, jaką duchowieństwo było siłą naówczas i jaką spójnią dla nowego państwa, więc im Mieszek słabszym mu się wydawał, tem silniejszymi chciał mieć tych stróżów i obrońców kraju. Nadania mnożyły się, rosła klasztorów liczba i biskupstw, wiązał się z Zachodem i kościołem powszechnym, by opierając na nim od cesarstwa być swobodnym.

Zarazem jednak bystry wzrok jego widział na własnym dworze dosięgające go wpływy tej władzy, której uznawać nie chciał, na równi się z nią stawia-

jąc. Dwór Ryksy cały był z Niemców złożony, Mieszko też do nich nawykał i w nich się lubował, niektórzy się kręcili około Bezpryma, inni otaczali Odę. Mimo starań wszelkich wszystko co się działo w Poznaniu odbijało się za Łabą i tętniało po cesarskich pałacach.

Posłańscy, żupanowie i rycerstwo, których Bolesław pociągnął ku sobie i miłował, łaski u Mieszka nie mieli! Naprawiać to chciał król, dając synowi ludzi sobie miłych, lecz z tymi on zimno się obchodził. Pasowany niegdyś rycerzem przez cesarza Mieszko Ignął do obyczaju niemieckiego i Zachód mu się uśmiechał tak jak Ryksie.

W końcu drugiego roku zasłabł król. Nie była to choroba — sił mu brakło, życie uchodziło, wyczerpywało się, sam czuł że gasnął powoli. Nie ogarniał go strach o siebie, lecz o państwo tylko... Śmierć jako spoczynek była dlań upragnioną, nękała go troska wielka o przyszłość. I pytał opata ciągle zadumany:

— Ostoi się dzieło moje?

Czując się już słabym król przypominał, jako po śmierci Mieszka sam się został, zmuszony dobijać zwierzchnictwa, które mu należało; chciał by wszyscy wiedzieli wolę ojca ostatnią.

Była znowu wiosna i świat stał w majowych szatach, gdy na niebiosach jednej nocy zdumiony lud, przerażone duchowieństwo ujrzało wschodzącą wielką gwiazdę nieznaną, od której ognista jakby miotła sterczała...

Zjawisko to zwiastowało naówczas klęskę... a duchowni pocichu opowiadali, iż zwykło się było okazywać jako oznajmienie o zgonie mocarzy. Chrześciance biegli do kościołów, reszta pogan na uroczyskach składała ofiary, błagając bogów o odwrócenie klęski.

Gdy król ujrzał tę gwiazdę na niebiosach, drugiego dnia rozesłał gońców do władcyków i przedniej-

szych panów, do rady i wodzów, ażeby się do Gniezna bierali.

Jednemu opatowi Aronowi wiadomem było, co ów wielki wiec miał znaczyć, za jego bowiem radą i przyłożeniem się król zjazd zwoływał. Czuł się już codziennie słabszym, oczy mu wpadały jakby je siła jakaś do wnętrza wciągała, policzki wychudły, ręka drżała, gdy był spokojnym. W gniewie tylko odzykiwał moc dawną, lecz gdy ten minął, opadał więcej niż zwykle.

Nie było innego lekarza nad włocho benedyktyna, który coś chwycił z salernitańskiej mądrości, tego sprowadzono aby radził i dawał królowi leki z ziół, które sam przyrządzał; te chwilowo zaledwie nieco go pokrzepiały. I jak po gniewie, tak po nich słabł Bolesław więcej.

Gdy na dzień zjazdu udać się miał do Gniezna, przywieziono mu czarnego konia, zaśmiało się do niego oko pańskie i z pomocą dwu komorników dosiadł go rażno, lecz trzy zaledwie mile ujechawszy, spoczywać musiał.

Obok króla, który jechał dworem wielkim, znajdował się Mieszko; nie było przykazania dla Bezpryma, który się zżywał.

Ze wspaniałością ruszono do starego grodu, gdzie już zgromadzonych gości Stoigniew od dwu dni przyjmował.

Spodziewano się uroczystości wielkiej, o której zawczasu różne wieści chodziły. Mówiono nawet, że za żywota rządu chciał zdać na Mieszka i kazać go koronować, aby mógł się przypatrzeć, jak rządzić będzie.

Pierwszego wieczora, choć podróżą zmęczony, odżył Bolesław wśród swoich i zasiadł do wieczornej uczty, jak za lepszych czasów, ciesząc się, śmiejąc, a kubki kazać napełniać, ale gdy legł, uczuł się ciężkim. Na następny dzień wstał słabszym, dopóki mnich będący u jego boku, napoju z ziołami wzmacniającemi mu nie dał.

Wszyscy tedy i król sam w poczcie wspaniałym, koronę wdziawszy, z berłem w rękę, miecz wielki kładąc nieś przed sobą, udał się do katedry, u której drzwi duchowieństwo nań czekało. Arcybiskup mszę świętą odprawiał, której Bolesław u grobu męczennika klęcząc słuchał.

Gdy się nabożeństwo ukończyło poprowadzono króla do tronu, stanął na stopniach jego Mieszko, niżej dostojnicy i dwunastu panów rady..., cisza wielka się stała, aż przemówił pan.

Mówił jako namaszczonego władzcę, iż czując się zgonu blizkim, chce aby królestwo zamieszane nie było i aby pod jednym zostawało panem... którym Mieszko był wyznaczony. Prosił o wierność synowi a posłuszeństwo należne, zalecając mu, aby sprawiedliwie i pobożnie rządził, ubogi lud otaczał opieką, krzywd jego nie cierpiał, czujnie granic bronił, nieprzyjaciela odganiał — i co krwią swoją i ludu on zjednoczył trudem wielkim, w całości utrzymał.

Słyszając te słabnącym głosem wymawiane wyrazy, starsi niemal płakać zaczęli, a gdy król prosił ich, by stali przy synu jego, okrzyknęli jako jeden mąż, przyrzekając wierność i poszanowanie. Mieszko pokłękawszy, ucałował rękę ojcowską, a duchowni do ołtarza szli i hymn dziękczynny zanucili.

Tak się skończył dzień uroczysty, ucztą smutną niemal, bo król pod wieczór zasłabł i owładnął nim strach jakiś nagłego zgonu, a chciał w Poznaniu jak ojciec umierać i leżeć obok niego.

I gdy zebrani ucztowali, odszedł król zawczasu, Mieszka im jako pana w swoim miejscu zostawując, który posepnie i nieochoczo z gośćmi się zabawiał.

Pan był mężstwa wielkiego i obyczajów gładkich, lecz serca nie miał do rycerstwa swojego, ani ono do niego i starzy w nim rubasznego ojca, jak w Bolesławie nie znajdowali. Niektórzy nań zdala już wówczas patrząc, niemcem go przezywali.

Nie było więc wczorajszej u stołu ochoty, a stary król legł na posłaniu.

Gdy nazajutrz rano konia Bolesławowi przywieziono, a siadać nań miał, ledwie się dźwignął, uśmiechem swoich pozdrowił i jakby pożegnał. Patrzali nań wszyscy niemal ze łzami i wiedli go okrzykami za okopy, niektórzy u konia idąc, nogi mu i kraj szaty całując.

Trzeciego dnia dopiero, wolno jadąc stanął król nad Cybiną. Tu zsiadłszy u dworca, wprost na łóżko poszedł, znużonym się czując nad miarę.

Stał u wezglowia opat i Sieciech stary, Bolesław spojrział na nich.

— Gdzie to te czasy, mili moi, gdym ja trzy dni i nocy z konia nie zsiadając, nie zrzucając zbroi, ledwie kawałem mięsa i kubkiem kwaśnego piwa grzeszne ciało pokrzepił, a czułem się silnym i ręka mi nie zadrżała...

Zamilczeli wierni towarzysze.

Weszła królowa z wesołością na twarzy, ale ją odprawił nazad mówiąc, że spoczywać miał. Od tego dnia nie wstał król, i mimo rad a leków mnicha gorzej się czuł coraz, wiedząc, że śmierć nadchodzi.

Trwoga ogarnęła jednych, niepokój drugich, niecierpliwość innych, zawrzało na grodzie. Gromadka wiernych już łóżko królewskiego nie opuszczała. Przybył z Gniezna Stoigniew, siedział opat nieodstępnie, służył Sieciech... Kiedy niekiedy wsunął się Bezprym, popatrzał, a nie otrzymawszy słowa odchodził. Królowę też Odę przyjmował Bolesław milczeniem obojętnym, co ją niemal do gniewu pobudzało, bo smutną być nie umiała. Smutek jej w złość się obracał.

Dnia 15 czerwca król chwilami przytomnym był, a niekiedy tak mówił dziwnie, jak gdyby snem jakimś i marzeniem był napastowany. Słuchali przytomni z trwogą i podziwieniem. Nie mówił bowiem o niczem tylko o wojnie, obronie, kraju, o sprawiedliwości i tem, co w życiu dawniej go zaprzątało. I mo-

wa ta chorego zdawała się silniejszą a piękniejszą, niż gdy całe był zdrowym. Szeptem się ona kończyła i snem głębokim, w czasie którego stali wszyscy nieporuszeni, niemi, nie śmiejąc tchnąć, a nie mogąc go opuścić.

I w dniu następnym, choć słabszy Bolesław, poznawał wszystkich, mówił przytomnie, z duchownym o sumieniu swem radził, wziął ostatnie błogosławieństwo, a potem znowu półsenny mruczał zaledwie zrozumiałemi wyrazy...

Nikt już nie miał najmniejszej nadziei. We dworze panował niepokój większy coraz. Oda, której król słusznie opisał wiano, pocichu skarby swe zbierać i ściągając nakazała. Oczyma suchemi patrzyła na małżonka, nie żałowała go wielce, ale gniewała się nań że umierał, zawód jej czyniąc.

Trzeciego dnia zbudził się król rzeźwiejszym. Był to niemal cud, zażądał napoju, mnich mu podał lek ów wzmacniający, lecz ten mu już obrzydł, frankońskiego wina zapragnął bez żadnej przymieszki i zaprawy. Dano mu go, napił się chciwie i orzeźwiał. Podano mięso, wziął je do ust, pożył i wyrzucił. Radowali się niektórzy, mówiąc mu, iż zdrowie powraca, on im odpowiedział, że śmierć nadchodzi... Jakoż ku wieczorowi dnia 17 czerwca znowu przyszły sny i widzenia.

Strwożyli się ci co słuchali.

Drzwi sypialni były zamknięte, nakazał król słabym głosem, ażeby je otwarto i żeby wszyscy ktokolwiek zapragnie pożegnać pana swojego, był przypuszczonym. Biegła więc służba dając znać po grodzie i kto chciał cisnął się do królewskiego łóżka. Stali już około niego Oda królowa, Mieszko z Ryksą i małym Kazimierzem, Dobromir i Bezprym, dwunastu panów rady i wojewodów okalało go. Sieciechowi kazał pytać, czyliby kto nie miał doń żalu i prośby. Przystępowali niektórzy, ale tylko z bólem i płą-

czem. Przypominając innych powoływał sam i jeszcze ich obdarzał.

Widząc zgon nadechodzący z płaczem się odezwał Sieciech aby wydał król rozkazanie, jak chciał i gdzieby go pochować miano, ile dni obrzęd miał trwać i jaką żałobę wdziać polecał...

— Nie troszczę się jak i gdzie mnie położycie, zdaję to na miłość waszą. Z ojcem spocząć chcę... Uczcijcie mnie lepiej niż pogrzebem, spełnieniem myśli i pragnienia mojego około tego państwa, którem życiem mojem budowałem, krwią lepiłem... niech nie odejdzie od potomstwa korona, niech kwitnie i rośnie co zasiałem...

Zawołali wszyscy, iż życia też dla rodu jego państwa dać są gotowi, a wołanie powstało wielkie, wśród którego: Ojciec i pan nasz... brzmiało.

Gdy się uciszyło, król oczy miał zamknięte; wśród cieży ci, co bliżej stali, słyszeli tylko, jak mówił jeszcze:

— Widzę... widzę przyszłą kraju tego dolę... Stoi ona przed oczyma mojemu... Duch mój przegląda przyszłość... Kwitnącym go zostawiam i spokojnym, niezgodą i waśń rozerwą go i zakłócą... Krwi wiele, drogiej krwi wytoczy się w wojnach bratnich, przyjdą klęski srogie, wrogowie najdą i spustoszą. Ród mój i potomstwo widzę wygnane, z pokorą przytułku żebrające u obcych, u nieprzyjaciół, którychem miał pod nogami mojemu... Rozszarpia oni państwo, upadną krzyże, spustoszeją świątynie pańskie, swawolne kupy rozpustują na gruzach... krew i mord, plomie i zgłiszczą!

Ręką król oczy zasłonił.

— Gdybym nie miał umierać—jęknął—widzenie toby mnie dobiło...

Umilkł na chwilę i uśmiech mu wszedł na usta.

— Wschodzi nowa jutrzeńka!... słyszę śpiew radosny i witanie! Ród mój powraca, spokój z nim i Boże błogosławieństwo... Spokojny umieram...

To mówiąc westchnął, ręka opadła, otworzył oczy, wzywając duchownych co go otaczali i o modlitwy prosił, klękli wszyscy u łóża... Usta mu się poruszały jeszcze chwilę, potem z wolna przymknęły powieki, twarz blednąć zaczęła, otwarły wargi, uleciała dusza z oddechem ostatnim.

Krzyk przerażający, którym zamek, gród i miasto rozległo się całe, dał się słyszeć. Król nie żył...

Z wielką wspaniałością, jaka przystała królewskiemu zwłokom, złożono ciało Bolesławowe obok króla na tumie w Poznaniu. Zbiegł się kraj cały na pogrzeb tego, który dwadzieścia pięć lat ciężkiego trudu poświęcił stworzeniu państwa, wprzód duchem ujętego, niżeli ciałem jednym się stało.

Ze starych kronik, których karty zachowały podania owych czasów, wiem, jak powszechny żal był po Bolesławie.

„Przez cały rok — pisze Gallus — nikt w Polsce biesiady nie sprawiał, nikt ze szlachty, mężczyzna ani białogłowa, ani dźwięku gęśli w gospodach, ani piosnek dziewczęcych i weselości na ulicach słychać nie było. Wszyscy przez rok tak się zachowywali... ale płacz po Bolesławie, mężów szlachetnych i kobiet nie skończył się aż z ich życiem. Ze zgonem jego pokój, wesele, obfitość na długo z Polski ustąpiły“.

O losach dwu braci Jaksów niewiele dopowiedzieć nam pozostaje.

Z ciężkiej próby życia w młodości wyszli oni gorzkiem doświadczeniem zahartowani, zbrojni męztwem i umysłu stałością. Wyrośli na mężów godnych zacnych przodków swoich. Andruszka, który płacąc przywiązanie greczynki wkrótce ją zaślubił, niedługo domowego pilnował ogniska, w drugim roku zachorowała i zmarła mu żona, a owdowiawszy nie chciał

w powtórne wchodzić śluby. Życie mu też spokojne na wsi nie smakowało, puścił Jurdze Gródek zielony, a sam powrócił do pancernych, do życia wojskowego, do którego był nawyknięt. W kraju zewsząd zagrożonym wojną rąk dzielnych było potrzeba.

Jurga ożeniony wkrótce z Teodorą, córką Sieciecha, osiadł w Jaksowych borach, ale i ten, choć szczęśliwy doma, ziemianinem spokojnym długo być nie umiał. Obu rycerski chleb był jednym, którym żyżyć mogli. Dopóki w kraju ciszej było, siedział przy żonie, zaledwie znać dano o nieprzyjacielu, ruszał w pole, wytrwać nie umiając na ławie, gdy inni szli do boju. Zaraz też po śmierci tego, którego imienia postrach trzymał nieprzyjaciół zdala, i po zgonie pobożnego cesarza Henryka, który rokiem wprzód zmarł jeszcze nowy cesarz Konrad wypowiedział wojnę sąsiednim plemionom słowiańskim i Polsce, a smutne przepowiednie umierającego aż nadto prędko się sprawdziły.

Oto Bezprym zbiegł naprzód do wuja na Węgry, potem u cesarza poszedł szukać poparcia praw swoich pierworodztwa. Słabe znalazłszy poparcie na Węgrach, które dla siebie wojować i zawojowywać chciały, w cesarzu zyskał opiekuna, Polska została zewsząd napastowaną, zdobycze Bolesławowe wydzielano jej od granic dalekich. Mieszek z całem mężstwem swym napadom obronić nie umiał.

Niemcy z którymi walczyć był zmuszony, opasywali go, wdzierali mu się wpływem i zabiegami w dom jego własny.

Zaraz po zgonie króla, opat Aron, który już dawnego zachowania i łaski nie miał u Mieszka, może dlatego, że Bolesław nazbyt mu ufał i umiłował go, ustąpił z dworu powracając do Tyńca. Wprędce potem zjawił się ks. Petrek na dworze królowej, będąc jej mocno zaleconym, ofiarował swe pisarskie usługi. Na pozór zkromne bardzo pełnić obowiązki, choć czynności jego jawne nie były, krzątał się pilnie

służąc tym, którym był duszą i ciałem zaprzędanym. Z jego namowy królowa, jeszcze za życia męża, z obawy i wzgardy dla polaków, otaczać się zaczęła Niemcami, których dwór códzien liczył więcej tak, że w końcu sami niemal na nim zostali.

Trudną dla Mieszka była walka z temi, co w jego radzie i domu mieli najgorętszych wolenników i pokątnych donosicieli.

Smutne nastaly czasy, których brzemienia spadkobierca króla Bolesława podźwignąć nie mógł. W zamęcie, codzien się zwiększającym, wśród klęsk, które każdy dzień przynosił, jasnej myśli do wyjścia zabrakło, troska i boleść resztę przytomności odjęła.

Niestuszenie gnuśnym Mieszka nazwano, lecz nieudolnym był w istocie do utrzymania nawet tego, co ojciec stworzył i zdobył. W gruzy rozsypywało się to dzieło wielkie, a nawet nawrócenie Polski, dwu panowaniami utwierdzone, zachwiało się rozprężeniem ogólnem. Królowa chcąc mieć lud za sobą, gdy moźnych odepchnęła, wyprawiała mu igrzyska, wśród których stare pogańskie pieśni i igrzyska wracały.

Przyszła chwila, gdy po śmierci nieszczęśliwego Mieszka, po ujściu Kazimierza, nadziei zwycięztwa i środków nie było, kraj cały został przez pogan wybiegłych z lasu zalany. Kościoły burzono, wywracano zamki, chrześcijan mordowano. Oba Jaksowie wrócić musieli na swój gródek bronić imienia ostatka, życia swego i rodziny.

Z garstką wiernej czeladzi i resztką wojska swego zamknęli się w Jaksowych borach, gotując do rozpaczliwej obrony. Dnie i noce czuwać musiano nieustannie w niepewności, kiedy te tłumy, co się po całej Polsce na łup i zdobycze puściły rozpasane, przyjdą pod gródek, ażeby go zrównać z ziemią.

Niemal cały ród Jaksów zgromadził się tu do nich, aby sił rozproszonych nie wystawiać na nie-

bezpieczeństwo. Inne zamki opuszczone stały na łasce bożej, tylko Jaksowych borów, w których znaczne skarby zgromadzono, bronić postanowili. Do mocniejszego też niż gdzieindziej oporu gotowali się zrozpaczeni, tak, że niewiasty nawet sposobiły się do walki i gotowe były przywdziać zbroje.

Jurga i Andruszka mieli czas wysypać okopy, wystawić ostrokoły i zaborole, zaopatrzyć gródek w żywność dla dosyć licznej załogi i obmyśleć dobrze co czynić mieli, aby rodzinę swą obronić.

Nierychło też gromady owe rozwścieczone przeciw chrześcijanom ważyły się napaść na gród pilno strzeżony. Opatrywano go zewsząd, podsyłano ludzi, aby załogę ku sobie przeciągnąć, lecz Jurga i Andruszka oko mieli na wszystko. Nie ważył się ów tłum bezładny rozpocząć daremną z rycerstwem walkę. Sądzone, że w końcu głodem i niedostatkiem ich zmogą. Tak upłynęło kilka miesięcy w życiu nieustannej trwogi. Kiedy niekiedy śmielszy ktoś w kilkadziesiąt koni wypadał w lasy za zwierzyną, w pola, z których zabierano wyrwane naprędce zboża. Choć gęb do karmienia było wiele, starczyło jednak od głodu.

Czasem przyciągały gromady i szły niemal pod sam gród, przypatrując mu się; odpędzano je strzałami i nie ważyli się kusić o zdobycie. Wieści zaś od Poznania, od Krakowa nie mieli Jaksowie, bo tam czesi pustoszyli ogniem i mieczem i ludność wypędzali nawet tysiącami, przesadzając na swoją ziemię.

Nie było pana, nie było Boga, nie było życia... pustynia jedna i zgliszcza, a wśród nich wałęsające się tłumy upojone.

Lakomstwo na zdobycz, której się u Jaksów spodziewano, wreszcie rozproszonych napastników w jedną zbiło gromadę. Kilka tysięcy czerni, najrozmaiciej zbrojnej, bez wodzów prawie, bez ładu, strasznej liczbą tylko, wylało się jednego wieczora jesieni pod gród Jaksów i całą dolinę, wśród której leżał, obozo-

wiskiem zajęło. Niewiasty patrząc z wietrzników domostw płakały licząc i nie mogąc przeliczyć tych tłumów, których wrzaski śmierć się zapowiadać zdawały. Niektórzy, bliżej podbiegając, usiłowali przerazić groźbami i lajaniem. Nie strwożyli się Jurga i Andruszka, a ludowi swojemu za okopami siedzieć cicho nakazawszy, czekali.

Nazajutrz o świcie rzuciła się tłuszcza chmurą wielką na ostrokoły, usiłując je podpalić lub wywrócić, ale taka chmura strzał i oszczepów posypała się gdy się zbliżyli, tyle trupów padło, że napastnicy cofnąć się musieli.

Więc leżeć postanowili obozem i wytrwawszy dni kilka, gdy żywności zasposobionej braknąć zaczęło, po naradzie w połowie się rozeszli, zostawując, część tylko, aby gródka pilnowała.

Tejże nocy na śpiących wyskoczywszy Jurga z Andruszką niespodzianie i okrutną w nich rzeź sprawili, a gdy się gromady chwyciły do obrony, mieli czas na gród się schronić. Zwiększyło to zajądłość daremną. Ze dniem rzucili się oblegający na wał znowu i walka u ostrokołów zawrzała wściekła. Lano ukrop, walono kamienie i kłody, trupem usłano dokoła okopy, a z południa cofnęli się napastnicy i położyli w dolinie spoczywać. Nie dali im Jaksowie nawet ran obwijać, znowu z gródka czyniąc w biały dzień wycieczkę. Choć liczbę znacznie mniejszą, lecz ludzi mieli do boju nawykłych, dobrze zbrojnych, z których każdy szedł na dziesięciu, ufając żelazu jakim był odziany!

Spędzono precz tłumy owe w lasy i słyhać o nich ani nazajutrz, ni dni następnych nie było. Nie ufali jednak temu obleżeni, pewni będąc, że z nowemi siłami powrócą. Zyrun, dowódca tych gromad, opodał je nanowo ściągawszy w lasach, pocichu z niemi przypelzał z nocą pod gródek, pewien będąc, że go bezbronnym zastanie. Tu ich czekano w cichości, i gdy się do ostrokołów skradali i pełznąć poczęli

jak mrowie, wnet sypnęły się kamienie, rzucono kłody, tak, że znowu odbiedz było trzeba.

Bronili się szczęśliwie bracia nie tygodni, ale miesięcy kilka, jakiegoś końca, jakiegoś miłosierdzia oczekując Bożego. Gdy się to zbyt już długo przeciągnęło, a głucha zawsze otaczała ich cisza, radzili w końcu, by żony i dzieci na wozy zabrawszy, dostatek i mienie, opasać dokoła swoim ludem i tak z zamku wyciągnąć, obronną ręką przerzynając się za Wisłę, gdzie spokój miał panować. Już niemal postanowionem to było i dnia tylko wyczekiwano pogodnego, a Andruszka i Jurga srodze bolejąc nad swoją ojcowizną, jeszcze się ociągali, gdy nadbiegł mały oddział synów władyków i żupanów, który im zwiastował, że Kazimierz z posiłkami cesarskimi szedł znowu ład i pokój w Polsce przywracać.

Na to więc zeszło to potężne Chrobrego państwo, że Niemcy zbawcami jego być mieli, że w niem nowo wiarę szczepić, prawo stanowić, kościoły stawiać i uszczuplone granice umacniać było potrzeba.

Skarby wszystkie do Czech uprowadzono niezbożnym łupem, inne Ryksa uchodząc powiozła z sobą, rozerwali je swoi i cudzy, nie pozostało nic nad pamięć wielkiego króla, który się w potomku nie odrodził.

Jakowie byli pierwszymi, co stanęli przy wnuku jego, pomagając do odbudowania w gruzy rozsypanego królestwa. Stał złupiony i zburzony Poznań, pustką i popieliskiem leżało Gniezno, w Gdyczu żywy mieszkaniec nie został, w łykach ich do Czech uprowadzono.

Andruszka i Jurga musieli o domowych sprawach zapomnieć, aby młodemu królowi służyć, któremu sług brakło, gdy wszystko z nowa poczynąć musiał.

Oba też doszli do dostojęństw znacznych, do majątności wielkich i ród ich później się rozmógł a rozmnożył na liczne gałęzie.

Majątności ich we wszystkich prawie ziemiach rzeczypośpolitej, i potomstwo, które od włości różne nazwiska przybierało, znaleźć można w wiekach późniejszych. Wszyscy byli niemal ludzie rycersey, lub w kościele wysokie piastujące dostojęństwa, mało który spokojnie na zagonie usiedział i koło roli się zabawiał.

W radzie i w polu miejsce ich było, a wszyscy się znaczyli, jak przodkowie ich krwią gorącą i umysłem żywym, dwojgiem przymiotów, które sprawiają, że z niemi łącno nieszczęśliwi na głowę padają, a szczęśliwi wysoko idą do góry. Urósł też ród, aż póki rzeczy ziemskich kolej nań nie przyszła, by z innemi razem na stronę ustąpił.

KONIEC.

